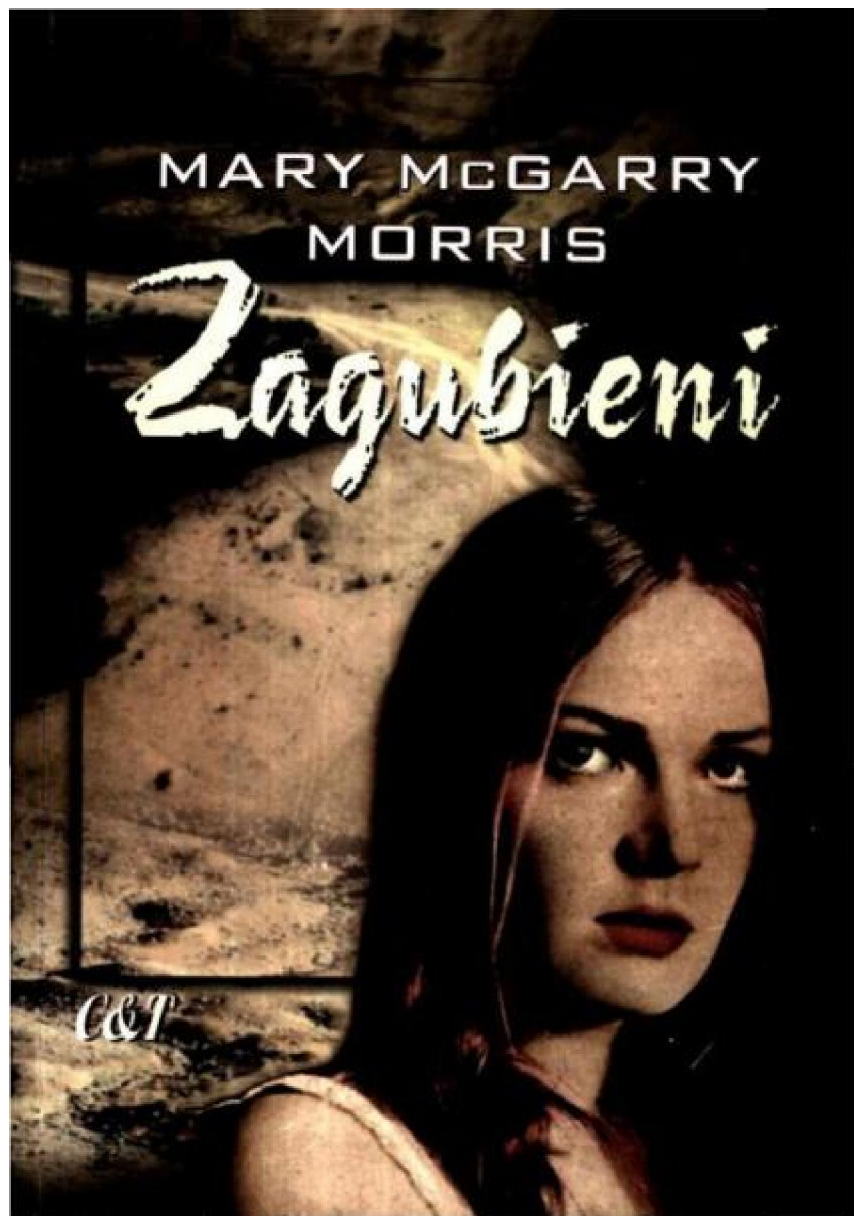


MARY MCGARRY
MORRIS

Zagubieni

C&T



MARY MCGARRY
MORRIS

Zagubieni

Przekład:

Małgorzata Hesko-Kołodzińska

C&T
TORUŃ

Tytuł oryginału: VANISHED

Copyright © 1988 by Mary McGarry Morris

Copyright © for the Polish edition by „C&T”, Toruń 2000

Copyright © for the Polish translation by Małgorzata Hesko-Kolodzińska

Opracowanie graficzne:

MAŁGORZATA WOJNOWSKA

Redaktor wydania:

PAWEŁ MARSZAŁEK

Korekta:

MAGDALENA MARSZAŁEK

Skład i łamanie:

KUP „BORGIS” Toruń,

tel. (056) 660-22-85

ISBN 83-87498-57-2

Wydawnictwo „C&T”

ul. Św. Józefa 79,

87-100 Toruń,

tel./fax (056) 652-90-17

Toruń 2000.

Wydanie I.

Ark, wyd. 13, ark, druk. 13,5.

Druk i oprawa:

Wąbrzeskie Zakłady Graficzne Sp, z o.o.,

ul. Mickiewicza 15,

87-200 Wąbrzeźno.

*Margaret, mojej matce,
która słyszała Głos każdej duszy*

Prolog

To prawdziwa historia. Rozpoczyna się w pewien letni dzień w stanie Vermont, na wąskiej górskiej ścieżce, kilka kilometrów od Flatts, nieopodal Atkinson. Grupa usmolonych, spoconych robotników wygładza świeżo położony asfalt. Słońce strasznie grzeje, a mężczyźni są w ponurym nastroju. Większość ranka przepracowali w zupełnej ciszy. Choć drobny mężczyzna w brązowej koszuli i brązowych spodniach nie bardzo rozumie, co się stało, wie, że rozdrażnienie reszty może w każdej chwili obrócić się przeciwko niemu. Dlatego pracuje sam, z dala od grupy.

Po pewnym czasie robotnicy zaczynają rozmawiać. Opierają się na grabiach i po cichu przekazują sobie, co słyszeli. Niewiele potrzeba, żeby ogarnął ich wisielczy humor. Wkrótce jeden z młodszych mężczyzn, Bud, napomyka coś o nieboszczyku, Jamesie E. Johnsonie, o jego na wpół spalonych spodniach i tym, że w kroczu miał mnóstwo zużytych zapalek.

Wtedy do grupy zbliża się T. Garth. To bliski krewny Johnsona, a także mąż jego ciotki. Na twarzy ma olbrzymie wągry. Jego oczy miotają płomień.

– Morderstwo z zimną krwią – burczy. – Powinni byli zastrzelić ją na miejscu – dodaje, po czym wypluwa kłęb flegmy, która skwierczy na gorącym asfalcie niczym smażone jajo.

Bud przyciska pięści do boków.

– Cholerna walnięta suka – mówi T. Garth i ponownie pluje.

Tym razem ślina ląduje na bucie Buda.

Bud coś mówi i nagle T. Garth chwyta czerwoną bandanę na jego spoconej szyi i przyciąga go do siebie.

Hazlitt Kluggs wkracza pomiędzy przeciwników i ich rozdziela. Kluggs to brygadzysta i teść drobnego mężczyzny. Kilkoma słowami uspokaja obu robotników i zagania ich z powrotem do roboty.

Nieco niżej na drodze drobny mężczyzna wciąż uderza metalowym kilofem w rozgrzany asfalt. Jego kroki są ostrożne i wyważone dzięki przymocowanym do podeszew kwadratowym płytkom z metalu. Kiedy nie uważa, potyka się i przewraca. Mimo upływu lat wciąż zapomina, że ma je na nogach. Ledwie zdaje sobie sprawę ze scysji, która właśnie zaszła, oraz z jej powodu. To go nie dotyczy. Jak większość spraw.

Słońce pnie się coraz wyżej, a w głosach ludzi słyhać złość, gdy tak pchają walce i ciągną ciężkie, stalowe grabie po rozpalonej powierzchni asfaltu. Hazlitt Kluggs szybko podnosi wzrok. T. Garth i Bud znowu się starli.

– Ej, T. – woła Hazlitt do mężczyzny z wągrami. – Co powiedział wariat do mały katarzyniarza?

– A skąd mam wiedzieć! – warczy Garth. – Spytaj zięcia.

– Ej, Wallace – krzyczy wobec tego Hazlitt. – Co powiedziałeś do mały katarzyniarza?

Wszyscy się śmieją. Z oddali Wallace uśmiecha się niewyraźnie. Nie słyszał, co powiedział Kluggs. Obserwował swój cień przy pracy. Lubi swój cień. Najbardziej lubi go po południu, kiedy w zachodzącym słońcu cień jest taki długi i smukły. Czasem wyobraża sobie, że składa się z dwóch części – z dwóch Aubrey'ów Wallace'ów – tego, z którego teraz się śmieją i z drugiego, tajemniczego i szybkiego, o pewnym, cichym kroku.

Nadeszło południe. Robotnicy odkładają uwalany smołą sprzęt i kolejno podchodzą do wiader z wodą, aby wylać ją na twarze i opłukać mydlinami ręce. Piątkowe południe to najprzyjemniejsza część tygodnia. Wtedy wszyscy ładują się na największą z ciężarówek i zjeżdżają z góry do Idy, na hamburgery i piwo.

– Jedziesz? – woła Hazlitt do Wallace'a. Ten przecząco potrząsa głową.

– Daj spokój! – Hazlitt macha na niego ręką.

– Nie mogę – mówi Wallace zdecydowanym tonem, który wywołuje uśmiech reszty mężczyzn.

– A to czemu? – pyta Hazlitt, choć dobrze wie, dlaczego.

– Przez Hyacinth – mówi niespokojnie Wallace. – Miarkuje się.

– A cóż to u diabła znaczy? – odkrzykuje Hazlitt.

Wallace przygryza wargę i myśli przez chwilę.

– Jeśli zmiarkuje, że piłem piwo, to ją krew zaleje – odpowiada tak poważnie, że mężczyźni nie mogą się dłużej powstrzymać. Wszyscy wybuchają śmiechem.

Nikt nie śmieje się głośniejsze od Kluggsa. Jeśli wierzyć pogłoskom, skrycie lubi on tego małego dziwaka. Nie wie, że od chwili, gdy ciężarówka zniknie za zakrętem, nigdy więcej go nie ujrzy.

Aubrey Wallace siada wygodnie na puszcze lepiku, a na kolanach kładzie pudełko z lunchem. Obserwuje odjeżdżającą ciężarówkę. Z dużej odległości można by go wziąć za dziecko. Jest niski i ma drobne rysy, a ręce i ramiona krótkie, choć silne. To nieśmiały mężczyzna o łagodnych, brązowych i nieufnych oczach. Nawet włosy ma gładkie i delikatne jak włosy dziecka.

Czasami zachowuje się tak niezręcznie, że można odnieść wrażenie, jakby robił to celowo. Żona Wallace'a, Hyacinth, jest o tym przekonana. Tylko tak może wytłumaczyć to, że poślubiła tego prostaka. Wystrychnął ją na dudka, ot, i tyle. Nie wiedziała, że jego milczenie wynikało z tego, że nie miał nic do powiedzenia. Tak jak dziecko, Wallace nie kryje w sobie żadnej prawdziwej tajemnicy, poza owym dziecięcym zdziwieniem sprawami, których nie zna lub nie potrafi zrozumieć. Nigdy nie podróżował dalej niż do kresu tych gór. Nie dlatego, żeby nie chciał, po prostu nie przyszło mu to do głowy. Po co miałby to robić, skoro wszystko, czego potrzebuje, jest tutaj?

Kiedy tylko ciężarówka znikła z jego pola widzenia, Wallace zdejmuje pokrywkę z pudełka i wyjmuje zawiniętą w torebkę chrupiącą kanapkę z serem.

– Ale gorące – mruczy do siebie, rozwiązując supeł na torebce. – Pewnie. Diabelnie gorące. – Rozgląda się wokół, po czym dodaje nieco głośniejsze. – Wystarczająco gorące? – Potrząsa głową i chichocze. – Pewno. Gorące jak diabli. Jak majtki Gorcey.

Nie bardzo wie, kto to jest Gorcey, ale tak mówią wszystkie inne chłopaki. Do siebie, oczywiście. Nigdy do niego.

Ludzie rzadko z nim rozmawiają. Ale to dobrze. Rozmowy go denerwują. Najczęściej tak bardzo stara się wymyślić, co powinien powiedzieć, że kiedy nadchodzi jego kolej, wszystko zapomina albo rozmowa przybiera nowy obrót, którego nie zauważył i kiedy on wciąż tkwi myślami przy śmierdzącej kozie Carsona, inni mówią już o chorej matce wielobnego Brassey'a.

Hyacinth rzadko się do niego odzywa, podobnie jak ich dwaj synowie, Arnold i Answan. Ostatnio, kiedy usiłuje opowiadać im o ważnych sprawach, tych, o których mówił mu ojciec, dziwnie na niego patrzą. Tak jak ich matka, zimno i jakby przez mgłę. Ubiegłej nocy próbował wytłumaczyć Arnoldowi, że gdyby chłopiec wystawiał obie nogi spod kołdry, nie moczyłyby łóżka. Arnold popatrzył na niego

w ten sposób i wtedy Wallace powiedział: „To prawda. Tak to się skończyło. I matka przestała mnie lać za każdym razem, kiedy rano łóżko było mokre”.

Starannie żuje kanapkę przednimi zębami i patrzy na rozgrzaną drogę. Jego lśniące wilgocią oczy są skupione niczym ślepia wiewiórki, na czymś nieokreślonym w oddali. Powinien dziś coś zrobić – coś dla żony. Ale, do diabła, nie wie co. Mruży powieki i usiłuje sobie przypomnieć. To miało coś wspólnego z umiarem. Po robocie wracaj prosto do domu, powiedziała. Ktoś umarł.

Starął się nie słuchać.

znaleźli ciato... tam gdzie je zaciągnęła... pewnie taszczyła je przez całą noc i jeszcze pół dnia, skoro było tak daleko...

Jego synowie słuchali z pełnym skupienia przerażeniem. Ich kasza stwardniała na kamień, kiedy zarzucali matkę pytaniami.

Ale dlaczego własnego tatę? Był zły? Co zrobił?

– Bóg raczy wiedzieć – odmruknęła z ustami pełnymi szpilek.

Obrębiała właśnie czarną suknię, którą ktoś z kościoła wysłał świeżo owdowiałej pani Johnson. – Niektórzy tatusiowie są źli – ciągnęła. – Ale to nie powód, żeby im rozwalać głowy. Wystarczy trzymać się od nich z dala i starać się być lepszym niż on...

Wtedy zupełnie mu się poplątało i przestał rozumieć, co powiedziała wcześniej. O kim mówiła? O nim czy o nieboszczyku? Nie mógł być pewien.

Jego oczy zamieniają się w szparki i przestaje żuć. Z oddali, przez wzgórze, tam, gdzie wierzchołki sosen rzucają cień na drogę, idzie ku niemu dziewczyna w białym stroju. Kiedy podchodzi bliżej, promienie słońca lśnią na niej niczym blask w ciemnościach. Jest bosa i ubrana jedynie w obszerną męską koszulę, pod którą nie ma niczego (widać to już stąd) oprócz majtek.

Przez długą, osobliwą chwilę stoi nad nim i milczy. Patrzy, jak Wallace żuje i pośpiesznie przełyka suchy kęs, przez co oczy zachodzą mu łzami. Jego spojrzenie krąży nerwowo pomiędzy nią a błękitnym pikapem teścia. Najchętniej wbiegłby do wozu i pozamykał drzwi od środka. Kiedy w końcu dziewczyna się odzywa, jej suchy, chropowaty głos razi go niczym dźwięk ciągniętych po betonie grabi.

- Jest tu taki jeden, Bud?
- Nie.
- To gdzie wybył?
- Do Idy.

- Cholera!
- Pojechali na hamburgery.
- Niedobrze mi, proszę pana.
- No i na piwo. – Mruga nerwowo. – Do hamburgerów.
- Od trzech dni nic nie jadłam. Słabo się czuję.
- Ida jest blisko. Jakieś osiem czy dziewięć kilometrów. Mają tam dobre hamburgery.
- Mogę ugryźć pana kanapkę? Proszę...

Wallace wyciąga przed siebie resztkę rozmięklej kanapki, którą dziewczyna niemal mu wrywa. Odchodzi kawałek i na wpół odwrócona, rzuca się na jedzenie. Wallace daje jej też jabłko, dwa batoniki i resztkę kawy. Ona pochłania to wszystko bez słowa. Nawet nie dziękuje. Potem prosi o wodę do obmycia stóp, nie dość, że ubabranych, ale też pełnych świeżych zadrapań i oparzeń. Jej ręce są pokryte strupami i brudne, a długie rudawe włosy potargane i zmatowiałe.

W wiadrach nie ma już wody, więc Wallace wskazuje ręką las po drugiej stronie drogi. Tam dalej jest rzeka, mówi jej i mruga powiekami, zdumiony, że jego własny głos brzmi tak wyraźnie i spokojnie. Trzeba iść tą ścieżką, dodaje.

Ona twierdzi, że boi się znowu zgubić. Jej głos brzmi teraz miękko, niczym głos małej dziewczynki. Pyta, czy mógłby jej pokazać drogę.

Prowadzi ją kawałek przez las, do rozległej, płaskiej skały tuż nad wodą. Dziewczyna siada i zanurza nogi w rzece. Wallace staje za nią i myśli o tym, że gdzieś ją już widział. Nagle dziewczyna ześlizguje się ze skały i rozkładając ręce, brnie z prądem. Woda sięga jej teraz do piersi. Kawałek dalej odwraca się i nagle – gdy słońce odbija się na czystej wodzie, która lśni na podbródku dziewczyny niczym pęknięte szkło – Wallace uświadamia sobie, co mu przypomina. Obrazek z książki. Obrazek z wróżką. Przeszywa go dreszcz. Niekiedy wieczorem, gdy żona czyta chłopcom, on nasłuchuje z przedpokoju, z równym zapalem i zachwytem, co oni.

Czasem gdy Hyacinth jest wściekła na dzieciaki, wymyśla własne złe zakończenia. Wszystkie księżniczki umierają, żaby na zawsze zostają zabami i tylko złe macochy żyją sobie długo i szczęśliwie. Chłopcy nigdy nie protestują, nigdy się nie odzywają – nie mają odwagi. Ponura cisza w ich sypialni zawsze go przeraża. Przytłacza go tak, że staje się coraz mniejszy. Przez całą noc leży obok żony i tylko czeka na odpowiednią chwilę, by wśliznąć się do pokoju dzieci, obudzić je

i zmienić zakończenia na właściwe – takie, jakie powinny być. Ale nigdy tego nie robi, nigdy nie wstaje z łóżka. Mrok to nie jego pora.

Rankiem, gdy wchodzi do kuchni, nawet nie podnoszą głów znad misek z kaszą. Po tych nocach zawsze wydają mu się inni – wynędzniali i postarziali. Jak gdyby po tych złych zakończeniach budzili się z jakąś nową cząstką matki w sobie – nie wyglądają jak ona, myśli, ale stają się właśnie tacy. Jak gdyby nocą, opowiadając te historie, przyciskała swój ostry kciuk do miękkich ciał dzieci i przedstawiała im kości, układała ich skórę w podobne do swoich twarde, cienkie zmarszczki. Nawet ich tęczówki, niegdyś brązowe jak jego własne, zaczęły pokrywać się plamkami jak jej oczy, zmęczone i pozbawione wyrazu niczym szare kamyki pod rurą ściekową.

Dziewczyna płynie teraz z powrotem. Usiłuje wejść na skałę, ale wciąż ześlizguje się do wody. Wallace drapie się po siedzeniu. Widzi wszystko pod jej mokrą koszulą. Choć taka wiotka, dziewczyna ma bardzo duże piersi.

– Ej, proszę pana! – wrzeszczy teraz. – Proszę mi pomóc!

Wallace przykuca na skałę i wyciąga poplamioną smołą rękę, kiedy nagle dziewczyna skowycze dziko i padając na plecy, pociąga go do wody.

Po chwili jest już na skałę i patrzy na niego. Ale on o tym nie wie. Myśli, że tonie. Potem myśli, że wszystko mu się śni. Jego ręka przestaje bić o powierzchnię, nogi nieruchomieją, gdy idzie jak kamień na dno rzeki. W jego butach wciąż tkwią metalowe płytki.

Kilka minut później dziewczyna wciągnęła osłabionego i krztuszącego się mężczyznę na skałę. Wallace ma wrażenie, że jakaś jego część umarła. Mózg dudni mu w czaszce. W uszach mu dzwoni. Jej głos sączy się przez drzewa i światło jak śpiew ptaka o poranku, bez krztyny sensu, ale delikatnie niczym pobłyskująca rosa. Wallace przygląda się, jak dziewczyna odwiązuje metalowe płytki od jego butów. Nie przywykł do niczego, co jest łagodne i delikatne.

Kiedy ruszają przez las, dziewczyna przeprasza.

– Nie twoja wina, że nie umiem pływać – odpowiada jej.

– No, tak – przytakuje ona. – Ale nie powinnam była pana wciągać do wody.

– Tak to wygląda z jednej strony – mówi Wallace.

Kiedy wychodzą na drogę, czuje ulgę, że brygada jeszcze nie wróciła. Siada na puszcze lepiku, a dziewczyna wspina się na wóz Kluggsa.

– Proszę pana! – woła. – Przejedźmy się.

„No, już! Złaż stamtąd” – chce powiedzieć Wallace. Ale dziewczyna urucho-
miła już pikapa i przejeżdża obok niego. Wallace zrywa się z puszki i rusza w
pogoń za autem. Dziewczyna śmieje się, kiedy tak biegnie obok niej, błagając, by
się zatrzymała. Chce mu się płakać. Ona zwalnia, żeby mógł się z nią zrównać, po
czym znowu przyspiesza, śmiejąc się przez ramię, gdy on pędzi za nią.

– Długo dasz radę biec? – wrzeszczy przez okno i znika za zakrętem.

Brakuje mu tchu. Jego serce wali jak oszalałe, ale Wallace wciąż biegnie w
swoich ciężkich przemoczonych butach. Bez tej ciężarówki jestem już martwy,
myśli. Martwy. Dysząc gna po wijącej się drodze. I nagle, tuż za zakrętem, ona
czeka na poboczu, czeka na niego. Nie otwiera po swojej stronie, ale przechyla się
i odblokowuje drugie drzwi, żeby go wpuścić. Kiedy Wallace wdrapuje się do
środką, dziewczyna rusza, a on, wciąż walcząc o oddech, tłumaczy jej, że nie po-
trzeba mu kłopotów z Hazlitem ani z żadnym z Kluggsów, ale ona już jedzie.

Dziewczyna ciągle jedzie. Wciśnięty w fotel Wallace usiłuje wymyślić wiary-
godną opowieść dla Hyacinth i swojego teścia o grubym karku. Kto jednak uwie-
rzy, że dorosły człowiek mógł zostać porwany przez czternasto- czy piętnasto- czy
szesnastolatkę. W ciągu ostatniej godziny podała mu trzy różne daty urodzenia i
tyle samo imion. W końcu zdecydowała się na Dotty.

Zamyka oczy i zapewnia sam siebie, że lada chwila zdoła wybrnąć z tego bała-
ganu. Kiedy tylko dotrą do telefonu, zadzwoni. Jak tylko się zatrzymają, żeby
mogła pójść do łazienki, odjedzie i ją zostawi. Jednak tego nie robi. Cholera. Po
części dlatego, że nie może znieść myśli o tym, że dziewczyna zostanie zupełnie
sama Bóg wie gdzie. A poza tym ona zawsze zabiera ze sobą kluczyki.

Pierwszej nocy śpią na pace. Dziewczyna rozkłada ręce i nogi pod gwiazdzistym
niebem i proponuje mu, żeby sobie ulżył. Przynajmniej tyle mogę zrobić, mówi.
Nie, dziękuję, odpowiada jej, płonąc ze wstydu. Chce jej wytłumaczyć, że nie jest
z tych, że ma żonę i czterdziestkę na karku, i dwóch synów, ale, słodki Jezu, język
tej dziewczyny pochłania jego słowa i oddech. A to, co ona wyprawia...

Całą noc nie śpi, tylko leży obok niej. Pasma jej miedzianych włosów spływają
mu na twarz niczym welon. Dziewczyna pachnie słono i słodko, jak jego młodszy

dzieciak nocą. Dotąd nigdy tak się nie czuł. Prawie jak święty. Po raz pierwszy w życiu mrok wydaje mu się cudownym miejscem.

Następnego dnia dziewczyna pozwala mu prowadzić. Wallace czuje się zagubiony, beznadziejnie zagubiony. Nawet nie wie, w którym są stanie. Jakiś czas wcześniej jechali przez New Hampshire. Teraz jednak wszystkie pojazdy mają numery rejestracyjne z Massachusetts. Rura wydechowa się obluźowała, a on umiera z głodu. Mijają miasteczko za miasteczkiem. Zdążył już stracić poczucie czasu.

W końcu w jednym z tych miasteczek zjeżdża z głównej drogi w boczną uliczkę i mówi jej, że muszą wracać. Zaraz jak tylko zdrutuje rurę wydechową. Żadnych jeśli, i, czy ale, no i przykro mu z powodu ubiegłej nocy, mówi. Tak to czasem bywa, wszystko dzieje się niespodziewanie, zanim człowiek pomyśli, co jest dobre, a co złe, i tak właśnie wytłumaczy to Hyacinth i reszcie Kluggsów.

Słyszac to, dziewczyna wyciąga kluczyki ze stacyjki, wyskakuje z wozu, biegnie wzdłuż ulicy i w końcu znika za rogiem. On może tylko siedzieć i czekać. Wkrótce dziewczyna wyłania się zza rogu i wsiada do ciężarówki z bochenkiem chleba, niebieskim słojem pełnym dziesiątków i dziewczynką z bladą różową kokardką w wypłowiałych włosach. Kiedy mała spogląda na niego, natychmiast wybucha płaczem.

– Kto to? – wypytuje Wallace.

Najpierw dziewczyna mówi, że to jej siostra. Potem, że dostała ją od pewnej pani. Potem, że ją znalazła. On tak się boi, że niemal moczy spodnie. Ilekroć spogląda na dziecko, mała zaczyna płakać. Wallace patrzy więc prosto przed siebie. Dziewczyna wrzeszczy, żeby jechał. Jedź, mówi, albo oboje skończymy w więzieniu.

Jedź! Jedź już!

Teraz ma dwie historie do opowiedzenia. Jedną o sobie, a drugą o małej dziewczynce. Nie może jednak spokojnie myśleć. Doty zbyt go przeraża. Łatwiej jest jechać tam, gdzie ona każe, skręcać, kiedy powie, żeby skręcił, i robić to, czego zażąda...

1.

Przeleciało pięć lat. I z milion kilometrów. Ugrzązł na dobre i wiedział o tym, ugrzązł we śnie czy koszmarze sennym, albo w jednej z opowieści Hyacinth, i zdawało się, że nigdy już nie zdoła się z tego wydostać, nie zdoła uciec od własnego wyboru. Mimo że z czasem pokochał dziewczynkę, którą nazywali Canny, wciąż tęsknił za synami. Kiedy jednak myślał o swoim dylemacie, stawał oko w oko z bezradnością tak obezwładniającą i paraliżującą, że w głowie huczał mu tylko głos należący do niej, do Hyacinth, jak opowiadała własne zakończenie: *Nic się już nie da zrobić. Nie po takim czasie. Nic się nie wyprostuje. Siedzi w tym po uszy.*

Po uszy, po uszy, po uszy, wybijało rytm jego serce, wybijało go przez całą noc, gdy Wallace czekał w dwóch nieoświetlonych pokojach, ze wzrokiem utkwionym w drzwiach, w niewidocznym korytarzu i schodach, i jeszcze dalej, w długiej, pustej ulicy. Nadstawił uszu, słysząc pierwszy odgłos jej obcasów, ten stukot wysokich obcasów, i szorstki głos mężczyzny topniejący w pełnym pieszczoty śmiechu Dotty.

W chwili, gdy weszła, powiedział jej, że muszą jechać. Tu nie było bezpieczeństwa. Już nie.

Klnąc, złapała swoje płyty. Usłyszał, jak wrzuca je do pudła obok stołu. Jeden z albumów z głuchym odgłosem spadł na ziemię.

Wallace zamarł.

W ciemnościach Canny otworzyła szeroko oczy. Nie mógł jej dojrzeć, ale przyspieszony oddech małej podpowiedział mu, że jest gotowa do drogi. Wcześniej spała na kanapie. Była całkiem ubrana, nie miała na sobie tylko gumowych sandałów, które Wallace kazał jej zapakować do woreczka.

– Cholera – mruknęła Dotty i podniosła płytę. Z pudłem w objęciach ruszyła w stronę Wallace'a.

– Już nic nie pomieszczę – wyszeptał. – Bagażnik jest pełen.

– No to rzuć je na tylne siedzenie – odszepnęła Dotty.

– Tam jest tyle miejsca, co dla Canny – powiedział.

– Zabieramy te płyty – rzekła z naciskiem.

Dziewczynka usiadła i zwiesiła nogi przez oparcie kanapy.

– Pudło jest za duże – powiedział Wallace. – Weź mniejsze.

– A gdzie, u diabła, znajdę mniejsze pudło o czwartej w nocy?

– W piwnicy – szepnął, wiedząc, że Dotty i tak tam nie zejdzie.

– Nie pójdę tam – odparła, podnosząc głos. – Ty idź i je przynieś.

– Ciii. Usłyszają cię – powiedział nerwowo.

– No i dobra! Pieprzę, że usłyszają!

– Cicho.

– Chcę do łóżka – jęknęła. – Padam z nóg.

– Cicho! Prześpisz się w...

– Nie uciszaj mnie, pierdoło. Pewnie i tak wszystko zmyśliłeś.

– Nie. Naprawdę nie, Dot.

– Chryste Panie – jęknęła. – Ilekroć zaczynam się dobrze bawić, zawsze to samo. Musimy przez nią wyjeżdżać.

– Kiedy to prawda. Była tutaj. Spytaj Canny. – Głos mu drżał. – Jedliśmy kolację, gdy zapukała. Zapytałem: „Kto tam?”, a ona: „Z kuratorium”, a ja na to: „Czego pani chce?”, a ona: „Macie dziewczynkę w wieku szkolnym. Muszę się dowiedzieć, czemu nie chodzi do szkoły”.

– Mam nadzieję, że kazałeś jej się...

– Powiedziałem: „Nie, proszę pani, nie ma tu żadnej dziewczynki”, a ona na to: „Mówiono nam co innego, panie Wallace”. Znała moje nazwisko i w ogóle! Powiedziała: „Mówiono nam, że pan i żona nie posyłacie małej do szkoły, a to niezgodne z prawem”. Już się nie odezwałem, a kiedy poszła, od razu spakowałem nasze rzeczy.

– Chryste Panie – wyjęczała Dotty. – Mam tego dosyć. Trzymaj.

Jęknął i aż się zgiął pod ciężarem pudła, którym go obarczyła.

– Ale tam jest tylko trochę miejsca dla Canny – zaprotestował bez przekonania.

– Dobra! – wyszeptała z furią. – W takim razie jadą płyty, a Canny zostaje. Tego chcesz?

W tej samej chwili rozległ się tupot dziecięcych nówek.

– Mamo? – szepnęła Canny, wyciągając w ciemności ręce. – Mamo!

– Jest tu – uspokoił ją Wallace. – Koło drzwi.

Dotty roześmiała się z niepokojem. Dźwignęła małą i zaczęła ją huścić na biodrze.

– Może wyjdziemy na chwilę? – wyszeptała jej do ucha.

Canny otoczyła chudymi ramionkami szyję Dotty, gdy wszyscy troje schodzili na palcach po skrzypiących schodach. Mijając pokój gospodyni, Wallace wstrzymał oddech. Gdyby udało im się niespostrzeżenie stąd wydostać, zaoszczędziliby pieniądze przeznaczone na czynsz.

Zostawili otwarte drzwi wejściowe, po czym pobiegli chodnikiem za róg. Wczesnym wieczorem Wallace zostawił auto na szczycie wzgórza. Dotty przykleiła i usadziła Canny na tylnym siedzeniu, na stosie kołder i poduszek. Wallace upchnął obok pudło z albumami i delikatnie, bardzo delikatnie popchnął drzwi. Gdy się zamknęły, on i Dotty wśliznęły się na przednie fotele i także zatrzasknęły drzwi. Z jedną ręką na dźwigni skrzyni biegów, a drugą na ręcznym hamulcu, Wallace zwolnił bieg i odblokował hamulec. Wstrzymał oddech i nie rozglądał się na boki, lecz patrzył prosto przed siebie. Nagle w gęstych, upalnych ciemnościach rozległo się kocie miauczenie. Na ten dźwięk Dotty obróciła się i wychyliła z auta. Wallace wyobraził sobie jej dłoń na klamce i nogi na chodniku. Przymknął powieki i rzucał głową naprzód i do tyłu, jak gdyby to mogło mu pomóc uruchomić wóz. Wreszcie obciążone do granic możliwości opony ruszyły. Powoli. Z trudem. Bardzo powoli. Dotty wciąż oglądała się za siebie. I oto nagle jechali, nabierali szybkości, skręcali, mknęli coraz szybciej, aż na dole wzgórza samochód wreszcie ożył.

Drzwi trzasnęły, motor zawył, światła zabłysły, opony zawirowały, a Aubrey Wallace parsknął nerwowo. Obejrzał się na Dotty, która ponuro wyglądała przez okno. Czuć było od niej piwo i słodkie perfumy. Beknęła cicho, po czym popatrzyła na Canny.

– Spójrz na nią, śpi jak zabita – westchnęła. – Co ją obchodzi moje główne życie.

Opuściła boczną szybę i wystawiła rękę przez okno. Wiatr igrał z włosami dziewczyny, omiatając nimi jej twarz. Gdy ich nie odgarnęła, Wallace domyślił się, że Dotty płacze. Za parę kilometrów jej przejdzie. Znowu wyruszyli, więc wkrótce złapie rytm. Jak zawsze.

Kiedy się w końcu odezwała, jej głos zabrzmiał głucho i bezbarwnie.

– Wiesz, w ilu różnych miejscach byliśmy w zeszłym roku?

– Nie.

Popatrzyła na niego.

– W ośmiu – powiedziała.

Pokiwał głową. Jakoś nigdy nie pomyślał, że aż w tyłu.

– Dla ciebie to mogłoby być i osiemdziesiąt – stwierdziła, nie spuszczać z niego wzroku.

Wallace pochylił się nad kierownicą i wbił wzrok w lśniące, srebrzyste światło reflektorów. Dotty zapaliła papierosa. Nozdrza Wallace'a wypełniły się dymem i zawilgotniały.

– Rok wcześniej w pięciu. – Dotty zaciągnęła się tak głęboko, że w świetle przejeżdżającego auta jej twarz wydawała się pusta i koścista niczym trupia czaszka. – A jeszcze rok wcześniej w czterech – dodała, wydmuchując dym.

Popatrzył na nią z niepewnym uśmiechem i wytarł nos wierzchem dłoni. Dotty zawsze wprawiała go w zakłopotanie.

– W tym tempie niedługo nie będziemy musieli nawet rozładowywać wozu. – Zerknęła przez ramię na Canny, która jęknęła przez sen. – Wygląda, jakby miała gorączkę.

– Nie czuje się dobrze. – Wallace spojrział w lusterko. – Mówiła, że boli ją głowa.

– Dokąd jedziemy?

– Wszystko jedno – odparł. – Pomyślałem, że będziemy jechać, aż trafimy na jakiś jarmark.

Dotty oparła głowę na siedzeniu.

– Dziś, jak wracałam do domu i zobaczyłam, że wóz jest gotowy do drogi, poczułam nagle, że powinnam iść dalej. Iść przed siebie i pozwolić wam odjechać beze mnie.

– Nie pozwoliłbym ci.

– Właśnie – powiedziała ze znużeniem. – Tak też myślałam.

Pochyliła się i przekręciła gałkę radia aż do oporu. Nagła eksplozja dźwięku przestraszyła dziewczynkę, która drgnęła gwałtownie.

– Mama – odezwała się cicho, ale Dotty nie słyszała.

Kołysała rytmicznie głową i potrząsała ramionami, jednocześnie pstrykając długimi palcami o jaskrawo pomalowanych paznokciach. Podśpiewywała znane sobie słowa głośnym, niskim głosem:

Hej, samotna pani

Jeszcze cię ktoś pokocha

Z miłości będziesz szlochać

Samotna pani

Wallace zacisnął ręce na kierownicy. Jego spojrzenie powędrowało do lusterka wstecznego, w którym ujrzał odległe błękitne światełko. Od razu pomyślał o gospodyni. Wysłała za nimi pogoń, żeby odzyskać pieniądze za zaległy czynsz.

– Cholera – wymamrotał, gdy światełko zaczęło się przybliżać.

– *Samotna pani, wracaj do domu* – śpiewała Dotty. Sięgnęła do tyłu i poklepała Canny po policzku.

– Cholera – mruknął znowu Wallace.

– Co z tobą, do diabła? – parsknęła Dotty.

– Gliny.

– Chryste Panie! – Odwróciła się. – Jak szybko jedziesz, do cholery? – wrzasnęła, gdy błękitne światło było już całkiem blisko i usłyszeli wycie syreny.

– Siedemdziesiąt pięć – odparł, ocierając napływający do oczu pot.

– Ty durniu! – krzyknęła na widok zbliżającego się radiowozu. – Już po nas!

Gdy policja zrównała się z samochodem, Dotty skuliła się na siedzeniu, zasłaniając twarz rękami.

– Tego chciałeś? No to masz! Masz! Zastrzelą nas! Zastrzelą nas na śmierć, głupi sukinyśnu!

– Mamo! Mamo! – krzyknęła przerażona Canny. – Nie pozwól, żeby nas zastrzelili!

– A niech to zrobią! Niech to zrobią i wreszcie będzie po wszystkim!

– Mamo!

– Zamknąć się, cholera! – jęknął Wallace. – Obie się zamknijcie! – wołał, usiłując przekrzyczeć radio i ich wrzaski.

Nagle samochód policyjny śmignął do przodu i zniknął, niczym szybka, zwinna ryba w głębinie.

– Odjechali! Odjechali! – krzyknął Wallace, zjeżdżając na pobocze.

Dotty nie przestawała szlochać. Wallace wyłączył radio i ścisnął jej ramię. Ręce wciąż mu drżały.

– Nie chodziło im o nas! Odjechali – powtarzał w kółko. Wciąż płakała z twarzą ukrytą w dłoniach.

– Przestań, Dotty – poprosił.

– Cholerne gliny! – parsknęła Canny, a jej koścista klatka piersiowa wznosiła się szybko i opadała. – Cholerne sukinyńskie gliny.

Wallace złapał ją za przegub.

– Uważaj na to, co mówisz – ostrzegł.

- Żałuję, że żyję – zawodziła Dotty. – Żałuję, że żyję.
- Wszystko dobrze, mamó. – Canny wytarła oczy, po czym głęboko odechnęła. – Jestem tylko ja i tatuś. Spójrz, mamó. Tylko my.
- Dłużej tego nie zniosę – łkała Dotty. – Zawsze w strachu. Zawsze uciekam.
- No już, mamó, wszystko będzie dobrze – powiedziała Canny i pogłaskała długie włosy Dotty.
- Nie będzie! Mnie nigdy nic nie wychodzi. Ani kiedyś, ani teraz.
- Będzie, mamó! – Mała pocałowała Dotty w czubek głowy.
- Zawsze chciałam tylko się trochę zabawić – szlochała dziewczyna. – Tylko tyle, choćby raz.

Wallace zamknął oczy. Był zmęczony.

- Zabawimy się, mamó – upierała się Canny. – Każemy tatusiowi poszukać cyrku czy wesołego miasteczka i przejedziemy się na wszystkich karuzelach. Zabawimy się, zobaczysz!
- Mówisz poważnie? – wyprostowała się Dotty. – Na wszystkich karuzelach?.
- Tak – przytaknęła Canny.
- Nie stchórzysz, jak ostatnio? – Dotty roześmiała się przez łzy. – Pamiętasz? Mówiłaś, że zaraz puścisz pawia.
- Nie stchórzę – obiecała dziewczynka.
- Nawet przed kolejką górską? – Dotty otarła łzy ręką spodnicy.

Canny z powagą pokiwała głową, po czym ponownie opadła na siedzenie obok pudła z płytami.

Gdy Wallace wjechał na autostradę, napotkał w lusterku spojrzenie dziecka. Mimo zmęczenia Canny uśmiechnęła się do niego. Znienacka ogarnęło go dziwne pragnienie. Chciał jej coś powiedzieć. Coś cudownego. Coś pięknego. Znowu na nią zerknął.

- Canny? – odezwał się cicho.
- Co, tato? – mruknęła sennie.
- Nic. – Wbił spojrzenie w ciemną drogę przed sobą. Już kilka kilometrów dalej zaczął śnić – śnić na jawie, tak jak kiedyś, gdy był mały. Tyle że wtedy nazywali to urokiem. Lubił te chwile – nigdy z nimi nie walczył. Było tam zasłonięte okno, przez które sączyły się wszystkie głosy i twarze, jakie znał. Właśnie tu, w samym centrum nauczył się istnieć; tu, gdzie była cisza – cisza tak absolutna, że

wręcz namacalna. Tutaj znajdowały się też te wszystkie sprawy, które były mu obce czy też niezrozumiałe, i tu się nie liczyły. Właśnie w tym miejscu trzymał Hyacinth, Answana i Arnolda, i mały biały domek o niebieskich drzwiach, i stukniętą dziewczynę ze sznycami na rękach, która tuliła niechciane – podobno – przez nikogo dziecko.

- Dokąd teraz jedziemy?
- Po prostu jedź. Coś wymyślę.
- Ale gdzie jechać?
- Tam! Skręć tam i jedź tą drogą...
- A teraz?
- Po prostu jedź, do cholery!

Po prostu jedź. Skręcaj, kiedy ona każe. Po jakimś czasie Wallace ledwie kojarzy, które stany mijają. Dziecko rośnie i pięknieje. Nazywa go tatusiem.

- A ja kto jestem? – chichocze Doty.
- Mama – mówi mała. – Mama.

Wymawia to tak, jakby śpiewała piosenkę, która kołaczy mu w głowie dniem i nocą.

- Mama – powtarza dziewczynka i zamyka oczy.

Niekiedy nocą Wallace budzi się zlany zimnym potem i ona tam jest. Ta druga, w brązowej sukience, opiera szorstkie, czerwone ręce na spadzistych biodrach. Stoi w drzwiach. Jest tak jasno, że Wallace niezbyt dobrze widzi jej twarz. „Gdzie byłeś? – wciąż wypytuje. – Cały czas czekaliśmy. Gdzie byłeś?”

Dziwne jest to, że Wallace nie wie. Ale tutaj to się nie liczy. Bo przecież był tu przez cały czas, ale pewnie, spróbujcie jej to wytłumaczyć.

2.

W *Błękitnym Kambuzie* nie było jadłospisu, jedynie przyklepione do ścian, ręcznie wypisane tablice, kasy i dystrybutory mleka. DOMOWE FRYTKI – 85 centów... KASZA Z DWOMA JAJKAMI – 1 dolar 45 centów... JAJKO Z BEKONEM – 1 dolar 55 centów... WSPANIAŁE JEDZENIE. DOSKONAŁA KUCHNIA... NA SPRZEDAŻ – PIES OBRONNY. ATAKUJE NA KOMENDĘ – 65 DOLARÓW ALBO NAJLEPSZA OFERTA. PYTAĆ OBOK.

Do tablicy przyczepiono pomietą fotografię owczarka niemieckiego z obnażonymi kłami i oczyma przepelnionymi nienawiścią. Wallace starał się nie patrzeć na zdjęcie. Psy go przerażały. Wszystkie psy, nawet kundel Hyacinth. Kiedy miała dosyć Wallace'a, pozwalała psu spać na łóżku – po stronie męża. Wtedy Wallace sypiał na kanapie. Po pewnym czasie stało się coś dziwnego. Zaczął odczuwać zazdrość o tego psa, jak gdyby był on mężczyzną, rozwalającym się w pościeli Wallace'a, z głową na jego poduszkach i łapami na plecach Hyacinth. Nawet chłopcy woleli odzywać się do tego psa niż do własnego ojca...

Dotty usiadła między Wallacem i Canny przy długim, stalowym kontuarze. Gdy się zatrzymali, spała kamiennym snem. O tak wczesnej porze pijała jedynie kawę. To Canny domagała się jedzenia już w chwili, gdy otworzyła oczy.

W lokalu nie było kelnerek, jedynie wysoki, siwowłosy mężczyzna ze szmatą owiniętą wokół sterzącego brzucha. Z dała od nich pochylał się nad gazetą.

– Już idę – mruknął i przewrócił stronę, po czym znowu wymamrotał coś pod nosem.

Canny zaczęła bujać się od niechcienia na skrzypiącym taborecie. Dotty wykrzywiła usta, gdy kołyszący się coraz szybciej stółek zaczął przeraźliwie zgrzytać. W końcu Dotty złapała małą za ramię i zmusiła ją, by przestała. Wallace ostrożnie przenosił spojrzenie z protestującej Canny na mężczyznę, który właśnie składał gazetę. W zeszłym miesiącu Dotty uderzyła dziewczynkę tak mocno, że podbiła jej oko i rozkrwawiła nos. Tydzień później zrzuciła ją z krzesła. Upadając, Canny przygryzła sobie język. W obydwu przypadkach Dotty płakała jak szalona i nie chciała wypuścić dziecka z objęć. Czasem wydawało mu się, że Dotty składa się z wielkiej miłości i wielkiego gniewu, pomiędzy którymi zostało już tak niewiele jak w świeczce dopalającej się z obu stron.

W świetle zwisających z ceglanego sufitu fluorescencyjnych jarzeniówek twarz Dotty wydawała się spuchnięta i zupełnie pozbawiona krwi. Dłoń dziewczyny drżała, gdy Dotty osłaniała oczy przed światłem i spojrzeniem barmana. Mężczyzna stanął nad nią i czekał na zamówienie. W ustach obracał niedopałek cygara. Mrugnął do Canny, która popatrzyła na Dotty. Dziewczyna rozmyślnie kazała mu czekać, tak jak wcześniej on zmusił ją do oczekiwania.

- Kawę. – Ziewnęła w końcu. – Czarną.
- I już? – spytał barman.

Nie odpowiedziała, tylko zbyła go zniecierpliwionym gestem.

- Dwie kawy – dorzucił Wallace, chcąc przyspieszyć obrót spraw. – I sok

dla niej. – Machnął głową w stronę Canny, która wydłubywała sobie ropę z oczu. – I płatki kukurydziane.

Przechylił się i za plecami Dotty oderwał ręce Canny od twarzy. Zawsze łapała jakieś zakażenie, zwłaszcza w okolicy oczu, które, jak widział, znów wyglądały na zaczerwienione i chore.

Barman oddalił się nieco i zaczął nalewać kawę ze zmatowiałego szklanego dzbanka.

– Suche! – zawołał nagle Wallace.

Barman odstawił filiżankę.

– Co suche? – spytał, odwracając głowę przez ramię. Dotty zachichotała głośno.

– Płatki... Ona nie lubi z mlekiem – wyjaśnił zmieszany Wallace.

– Mają pączki – powiedziała z nadzieją Canny, pokazując palcem piramidę pączków pod zniszczoną żółtawą przykrywką z plastiku.

Wallace potrząsnął przecząco głową. Canny oparła się o ladę.

– Mogłybyśmy się podzielić – wyszeptwała.

Znowu potrząsnął głową.

– Proszę, tatusiu – przymilała się.

– Kup jej pączka – jęknęła Dotty, i wciąż nie otwierając oczu, pomasowała sobie nasadę nosa.

– Nie mam drobnych – syknął Wallace.

Barman stał w pobliżu i grzebał w pudle po butach pełnym sztucców, aż znalazł trzy łyżeczki, które położył na ladzie przed nimi.

– Proszę, tatusiu! – Głos Canny poniósł się niebezpiecznie. – Mam dziesięć centów!

– To za mało – powiedział przez zaciśnięte zęby. – Poza tym ostatnim razem zwymiotowałaś w samochodzie.

– Cholera! – jęknęła Dotty i ukryła twarz w dłoniach, a barman się uśmiechnął.

– Nie rozchoruję się, tatusiu, obiecuję! Proszę! Proszę cię, tatusiu!

– Nie, do diabła! – wyszczał, patrząc prosto przed siebie. – I przestań prosić!

– Chryste Panie! – warknęła Dotty i otworzyła czerwoną torebkę. – Masz! – Wyciągnęła dwudziestodolarówkę i rzuciła ją na ladę obok kawy. – Kup jej tego cholernego pączka, dobra?

– Z dżemem, cukrem czy zwykły? – zapytał barman z uśmiechem.

Wallace widział, że faceta cieszyło jego zażenowanie. Tak jak wielu ludzi. To było coś, co kryło się w jego spojrzeniu, lśnieniu oczu, szybkie i gwałtowne niczym pazurki gryzoni drapiących po nocy w ścianę.

– Nie, już dziękuję – rzekła Canny ze spuszczonego wzrokiem.

Wallace wpatrywał się w dwudziestodolarowy banknot. Doty schwyciła go i wcisnęła z powrotem do torebki.

– Znalazłam go – powiedziała. – I przestań na mnie tak patrzeć – warknęła, zanim zsunęła się z taboretu, żeby pójść do damskiej toalety.

Canny machnęła ręką, aby Wallace przysunął się bliżej.

– To nie facet – szepnęła mu do ucha. – To tylko proszki. Widziałam, jak je sprzedawała.

Pokiwał głową i wyprostował się na taborecie. Doty zawsze miała jakieś pieniądze. Nie wiedział już co gorsze – to, że mężczyźni płacą jej za to, żeby z nimi chodziła, czy te prochy. Po niektórych była naprawdę szczęśliwa, po innych chciało jej się spać. A po jeszcze innych wściekała się, tak jak wtedy z Canny.

Barman przyniósł Canny sok pomarańczowy i małe pudełko płatków kukurydzianych. Wallace uśmiechnął się widząc, jak dziewczynka odrywa fragment górnej części kartonika. Zapomniał już, że uwielbiała takie pudełeczka. Kiedyś kupił jej cały zestaw, każde pudełko z innymi płatkami. Trzymała je przez dwa tygodnie, każdego ranka zjadając jedynie odrobinę płatków.

Doty wyszła z damskiej łazienki. Przyczesła włosy, użyła też szminki i kredki do oczu. Kiedy usiadła, odlepiła podkoszulek od mokrych, dopiero co umytych pach.

Sącząc kawę, ożywiła się nagle.

– Ej! Gdzie to jest? – spytała i wskazała palcem na tabliczkę przytwierdzoną do pojemnika z mlekiem.

– Gdzie co jest? – spytał barman i podniósł wzrok znad gazety.

– Hortonville – odparła Doty. – Jarmark w Hortonville – przeczytała, patrząc na tabliczkę.

– Jakież trzysta, czterysta kilometrów na północ – powiedział.

– Co to, jakiś większy targ?

– Po prostu jarmark – karuzele i występy. – Wzruszył ramionami. – Nigdy tam nie byłem. Żona tak. Lubi takie targi. Zawsze zwozi do domu śmiecie i różne bzdety.

Doty spojrzała na Wallace'a i uśmiechnęła się nagle.

– Właśnie tym się zajmujemy – poinformowała barmana. – Jeździmy na pchle targi. Sprzedajemy te bzdety, które pana żona zwozi do domu – dodała z dumą.

– Tak? – Barman pochylił się w ich stronę. Potarł brzuch i go poprawił. – To znaczy, że muszę was winić za te figurki i puste butelki po perfumach, które według niej mają być kiedyś warte fortunę. – Roześmiał się głośno.

– Proszę się nie śmiać. To się ponoć zdarzało – powiedziała Dotty. Potrząsnęła głową, odrzucając włosy z ramion. – Nigdy nie wiadomo, na co się trafi.

– Prawda? – stwierdził barman i założył ręce za plecy, tak że brzuch sterczał mu niemal nieprzyzwoicie.

– Kiedyś jedna moja znajoma kupiła pierścionek. Zapłaciła za niego dwa dolce, więc chociaż był ładny, nie bardzo go cenila – ciągnęła Dotty z przejęciem.

Jej twarz zaróżowiła się nieco, oczy pojaśniały, a w głosie pojawiła się zadyszka. Do tego dłonie trzepotały niczym małe białe flagi. Odrzuciła włosy i przejechała językiem po wargach.

– Któregoś wieczoru jeden facet powiedział: „Dam ci dwadzieścia dolarów za tę błyskotkę”. A ona na to: „Jasne, bierz go”, bo to było przecież więcej, niż zapłaciła. No i facet poszedł z pierścionkiem, a my przez cały wieczór popijałyśmy drinki na jego koszt i śmiałyśmy się, i było nam głupio, że go tak naciągnęłyśmy. No i nagle ten gość wrócił z grubym plikiem banknotów i powiedział..

Wallace wbił spojrzenie w zacieki na dnie filiżanki. Setki razy słyszał tę historię. Czasem to był pierścionek z brylantem. Czasem gruba złota bransoleta. Czasem facet z plikiem banknotów miał wyrzuty i dokładał dziewczynom pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt dolarów. Innym razem dziewczyna zaczynała się awanturować, gdy zdała sobie sprawę, że wypuściła z rąk tak drogocenny przedmiot, i Dotty musiała zająć się całą sprawą.

W każdym razie on i Canny mogli się odprężyć, gdyż Dotty znów była sobą – paplała i wybuchała tym dziwnym śmiechem, który zdawał się zawisać w przestrzeni tak, że jeszcze kilka godzin później, kilka dni później, wciąż towarzyszył Wallace'owi niczym odległy krzyk jakiegoś rannego stworzenia.

Oboje, Dotty i barman wybuchnęli śmiechem.

– No, tak! – Mężczyzna wycelował w nią palec i nim potrząsnął. – Kiedy pani weszła, pomyślałem, że skądś panią znam.

Poprawił brzuch, po czym oparł się na ładzie i wbił spojrzenie w Dotty. Nagle strzelił palcami.

- Raquel Welch, zgadza się? – rzucił.
- Zgadza się! – zapiszczała.
- To ją mi pani przypomina – powiedział barman. – Z wyjątkiem tych rudych włosów.

Dotty roześmiała się radośnie. Ludzie wciąż jej to powtarzali. Zapaliła papierosa.

- No dobrze – uśmiechnęła się i machnęła ręką w stronę Wallace'a. – A teraz on – kogo panu przypomina?

Pod badawczym spojrzeniem barmana Wallace zaczął nerwowo rozglądać się po pomieszczeniu. Dotty wiedziała, że nie znosił tej zabawy.

- Powiem pani, kogo mi nie przypomina – zarechotał barman. – Roberta Redforda, Cary'ego Granta, Johna Wayne'a, Burta Reynoldsa...

- No, nie! – zachichotała Dotty, wierząc się na taborecie. – Niech pan spojrzysz uważnie.

Barman pochylił się jeszcze bardziej i wbił spojrzenie w wąską, nieogoloną twarz Wallace'a. Wallace zamrugał powiekami. Oddech barmana pachniał tak samo jak oddech Dotty – przetrawionym alkoholem.

- Nie wiem – powiedział w końcu barman. Potrząsnął głową i spojrział na Dotty.

- Willie Nelson! – krzyknęła. – Ale bez warkoczyków!

Barman zmrużył oczy i przechylił głowę. Wallace westchnął, przenosząc wzrok na Canny. Palcami wybierała z pudełka płatek po płatku i wkładała je sobie do buzi.

- Wie pani, że faktycznie – stwierdził barman. – Te krótkie włosy mnie zmyliły.

- I wredne malutkie oczka – dodała Dotty.

- Mamo! – zbesztala ją Canny, a barman wybuchnął śmiechem.

Wallace chciał już iść, ale Dotty zamówiła jeszcze jedną kawę. Zapaliła kolejnego papierosa i przeciągnęła się leniwie. Barman postawił przed nią filiżankę, po czym zaczął szorować ladę.

- Raquel jest chyba wyższa niż pani – powiedział, przybrawszy mądry wyraz twarzy, jak gdyby to, co mówił, w ogóle miało jakiegokolwiek znaczenie, jak gdyby było choć trochę ważne.

- A skąd! – zaprzeczyła Dotty, zachwycona, że znowu podjął ten temat. – Jesteśmy tego samego wzrostu. Metr siedemdziesiąt pięć.

Barman skrzyżował ramiona i obrzucił ją uważnym spojrzeniem.

– A oczy? – spytał. – Ona ma brązowe, prawda?

– Takie same, jak ja – odparła Dotty i dmuchnęła na gorącą kawę. – Zielone.

Wzrok barmana powędrował na podkoszulek dziewczyny, na którym błyszczą-
ce czerwone litery układały się w napis „PRECZ Z ŁAPAMI”.

– Też takie same – zaśmiała się Dotty. Barman zaczerwienił się lekko.

– A ty? – zwrócił się do Canny. – Kogo przypominasz?

Canny wzruszyła ramionami.

– Nie jesteś podobna ani do Raquel, ani do Williego. – Pochylił się i
uszczyptał ją w nos. – Nie z tymi wielkimi niebieskimi oczami i jasnymi włosami.

– Ile płacę? – warknął Wallace i zsunął się ze stołka.

– Dwa dolce – odparł barman, nieco zaskoczony tą nagłą zmianą nastroju.

Dotty zeskoczyła z taboretu i wyszła z baru. Canny złapała swoje pudełko z
płatkami i pobięła za nią.

Barman stanął w oknie i drapał się po brzuchu. Przyglądał się, jak wchodzi do
zdezelowanego chevroleta. Tylne szyby i bagażnik auta oblepione były nalepkami,
a na dachu piętrzyły się pudła. Kiedy się cofali, a następnie skręcili obok restaura-
cji, Dotty posłała barmanowi całusa.

– A to dla ciebie – odezwała się po chwili i otworzyła torebkę.

– Mamo! – pisnęła Canny i przechyliła się przez siedzenie. – Nie widziałam,
żebyś je kupowała – powiedziała, sięgając po oblanego lukrem pączka.

– Ten dupek też nie widział – zaśmiała się Dotty.

Zanim Wallace zdążył się odezwać, przycisnęła palce do jego ust, żeby zlizał
lukier.

O czwartej po południu znajdowali się dopiero jakieś trzydzieści kilometrów za
restauracją. Najpierw trzasnął pasek klinowy i Wallace musiał maszerować sześć
kilometrów do najbliższego miasta i tyle samo z powrotem, już z nowym paskiem.
Kiedy go założył, przejechali zaledwie kilka kilometrów, zanim wyparował płyn z
chłodnicy i silnik się przegrzał.

Szedł teraz po poboczu z wiadrzem wody i puszką koncentratu chłodzącego w
dłoniach. Był kompletnie wyczerpany. Bolały go ramiona, a przekrwione oczy
piekły od palącego słońca. Gorący asfalt parzył go przez cienkie podeszwy starych
czarnych trampek. Prawą nogą powłóczył bardziej niż zwykle. Obok przejeżdżały

samochody, strzelając żwirem, który uderzał go po łydkach niczym śrut. Wallace jęknął, gdy ujrzał przed sobą strome wzniesienie. Kiedy zaczął się po nim wspinać, noga mu drżała, a każdy krok powodował dotkliwy ból w goleniu.

Kiedy był chłopcem i dopiero co trafił do Domu, pewnego ranka wzdłuż łóżek przechadzał się lekarz, i nagle zaświecił latarką w oczy Aubrey'a. Sprawdził kartę informacyjną, odrzucił koldrę chłopca i kazał mu wyprostować prawą nogę. Już po paru minutach mocował na niej metalową obręcz, a jej tylną część włożył pod piętę Aubrey'a. Przymocował pasy, przykręcił śruby i zniknął tak szybko, że Aubrey natychmiast zasnął, pewien, że był to sen – aż do chwili, gdy zadźwięczał dzwonek i okazało się, że chłopiec potrzebuje pomocy, żeby wstać z łóżka.

– Na co mu to? – zapytał ojciec podczas ostatniej wizyty.

Dyżurny pielęgniarz nie potrafił odpowiedzieć. Tacy niedzielni opiekunowie niewiele wiedzieli. Ojciec zapytał zatem Aubrey'a.

– Nie wiem – odparł chłopiec.

– Musisz wiedzieć – upierał się ojciec. – Nie możesz tak leżeć, pozwalając, żeby przymocowali ci coś takiego, i nie zapytać, po co... Chyba że jesteś głupi.

Kilka lat później inny lekarz, pocąc się ze zdenerwowania, zdjął urządzenie, które miał dostać Barney Hobbs. Tyle że wtedy Barney'a Hobbsa dawno nie było w Domu, a Aubrey już zawsze powłóczył swoją bezwładną i bezwłosą nogą. Bez swojej obręczy strasznie cierpiał. Nie tylko znowu musiał nauczyć się inaczej chodzić, ale nowa lekkość go przerażała. Niekiedy miał wrażenie, że żadna z części jego ciała nie jest wystarczająco prawdziwa czy mocna, żeby utrzymać go na powierzchni ziemi.

Gdy wszedł na szczyt wzgórza, zadrzał nagle pod ciężarem wiadra. Spojrzał w dół, lecz nie ujrzał tam żadnego auta, jedynie początek kolejnego wzgórza, jeszcze wyższego niż to, na które właśnie się wspiął. Wallace odstawił wiadro i zdjął baseballową czapkę, żeby wierzchem dłoni przetrzeć pot zalewający mu oczy. Z sąsiedniego wzgórza zjeżdżała właśnie fioletowa furgonetka ze złotymi zasłonkami w oknach. Za kierownicą siedział dumnie wyprostowany mężczyzna. Oczy Wallace'a rozszerzyły się w bolesnym zdumieniu, gdy na fotelu pasażera ujrzał młodą kobietę o nagich ramionach. Jej długie, ciemne włosy zatrzepotały na wietrze, gdy auto przejechało obok Wallace'a. „Dotty”, usiłował powiedzieć, lecz jego gardło było wysuszone i ściśnięte. Napływające do oczu łzy zmąciły mu wzrok. Znowu zaczął się wspinać po tym zniekształconym, nieforemnym wzgórzu, a woda wylała się z wiadra i spływała mu po nodze. Wiedział, miał absolutną pewność,

że kiedy dotrze na szczyt, jego przekłete, stare auto ukryte w krzakach będzie zupełnie puste. Jasne, że będzie.

To była chwila, której się zawsze obawiał – to porzucenie, które wśród wszystkich tajemnic i nieznanych mu spraw dotyczących Dotty było czymś absolutnie pewnym, aksjomatem, do którego wciąż powracał, tak że perspektywa utraty dziewczyny stała się tak realna i bolesna niczym ból jego ukruszonych i gnijących zębów, grozący mu przy każdym kęsie, gorącym czy zimnym, słodkim czy kwaśnym, przy każdym głębszym wdechu czy wydechu. Teraz dyszał ciężko, gdy biegł do pustego samochodu. Pewnie, że będzie pusty, pusty jak to spokojne centrum jego własnego istnienia, ta dziwna i nieskomplikowana cisza. Wszystko poza tym było bajką, słowami z jakiejś historii, tak jak głos w słuchawce nie był niczym więcej niż tylko tym – głosem w słuchawce. Z jakiegoś powodu Wallace dzwonił wyłącznie późną nocą. Może ze względu na obu chłopców. Może bał się, że usłyszy ich głosy i że dotrze do niego okropieństwo tego, co zrobił. Nigdy nic nie mówił, słuchał tylko; no bo niby co mógł powiedzieć? Jak miał wyjaśnić, że nigdy sam nie uporządkował tego wszystkiego we własnej głowie? Mógł tylko myśleć: *Tak wyszło. To wszystko. Pewne rzeczy po prostu się zdarzają i nic nie można na to poradzić.*

– Wiem, kto dzwoni – mówiła. – Nie oszukasz mnie. Prześtań nas męczyć. – A pewnej nocy wyszeptwała tym swoim rehotliwym głosem jędzy, którym posługiwała się, gdy opowiadała bajki: – Wszyscy zniknęli. I ona, i obaj chłopcy. Wynieśli się i ślad po nich zaginął, więc przestań dzwonić.

Więc przestał. Przestał dzwonić i zaczął przygotowywać się na dzień, w którym odejda Dotty i Canny. Canny, która nie należała do niego, ale w pewien sposób należała, jak usiłował wyjaśnić to kiedyś Dotty. Była jego, była wszystkim, co miał, tak jak i on był wszystkim, co ona miała w całym świecie.

– Nieprawda, ma jeszcze mnie – odpaliła mu Dotty, i choć wiedział, że to nieprawda, zabrał te słowa i złożył je w tym cichym miejscu, razem ze starym numerem; tam Piedmont 8-6705 i „ma jeszcze mnie”, pasowały do siebie i zdawały się prawdziwe.

– Gdzieś ty, kurwa, był? – zawołała Dotty przez okno.

Zajrzał do środka i z ulgą dostrzegł, że Canny śpi z głową na kolanach dziewczyny. Na skroniach dziecka perlity się krople potu, a usta były blade i wyschnięte. Wallace włożył rękę przez okno i dotknął czoła Canny.

– Jest spocona – zauważył.

– Pewnie, że jest spocona. – Dotty odtrąciła jego dłoń. – Gdybyś ty smażył się w tym gównianym wozie przez cały dzień, też byłbyś spocony.

Napełnił chłodnicę wodą i dodał płynu chłodzącego, po czym delikatnie zamknął maskę tak, by nie obudzić Canny. Dotty przyglądała mu się przez przybrudzoną szybę. Kiedy Wallace wsiadł do auta, wciąż patrzyła przed siebie.

– Myślisz, że jest chora? – zapytał.

– Nie, nie myślę, że jest chora – odparła z niechęcią.

– Wygląda, jakby była – powiedział i przekręcił kluczyk. Odetchnął, gdy usłyszał wycie silnika. – Może powinniśmy gdzieś przenocować, żeby się solidnie wyspać – zawołał, przekrzykując hałas.

– Jedziemy do Hortonville – przypomniała mu. – Obiecałeś.

Wallace wjechał na autostradę. Wczorajsza jazda i dzisiejszy marsz kompletnie go wyczerpały. Ale przecież byli w drodze do Hortonville, gdziekolwiek ono leżało, i już. Tak jak zawsze, ona chciała gdzieś jechać, a on ją tam zawoził. Z jednej autostrady skręcał w inną, aż w końcu wszystkie wyglądały tak samo – może w pewnym sensie były jedną i tą samą drogą, przebiegająca przez identyczne miasteczka o różnych nazwach, takich jak Moundsville i Hayestown, miasteczkach pełnych takich samych zmęczonych ludzi, pędzących po takich samych zmęczonych ulicach i zniszczonych chodnikach, do takich samych zmęczonych mieszkań i domów. Tam Wallace, Dotty i Canny spędzali noc albo zostawali na dłużej, aż Dotty chciała znów ruszać w drogę z jakiegoś powodu lub kaprysu – bo jest zbyt gorąco, zbyt zimno, gospodyni się wtrąca albo jakiś facet dziwnie na mnie patrzył, jak gdyby mnie znał; wyrzucała to z siebie biegając i w pośpiechu pakując pudła i torby, których nigdy nie wyrzucali, tylko sprzedawali ich zawartość. Nawet Canny stała się specjalistką w odjazdach. Zawsze trzymała misia, książeczki do kolorowania i kredki w solidnej torbie, którą potrafiła spakować w mgnieniu oka.

– Dokąd jedziemy? – pytała wtedy.

– Spytaj mamę – odpowiadała.

Gdzie jesteście? Spytaj mamę. Kiedy tam dojedziemy? Spytaj mamę.

– Czy ty nic nie wiesz, tatusiu? – mówiła Canny takim samym cichym, czujnym, niechętnym tonem jak jego chłopcy.

Wkrótce ujrzeli tablice prowadzące do Hortonville. Wisiały na słupach telefonicznych, stodołach, nawet w radiu mówili o jarmarku.

- Jarmark w Hortonville – obwieścił spiker wysokim, nosowym głosem.
- Mówi jak ty, Aubie – roześmiała się Dotty, wskazując palcem na radio.
- Największy pchli targ na całym świecie, czynny całą dobę! Karuzele, strzelnice i bingo! Zrobicie zakupy i odpoczniecie, a wasze dzieci postrzelają na strzelnicy. Zaspokójkcie pragnienie w naszym ogródku piwnym! Wstęp wolny! Przedsiębiorców informujemy, że wciąż mamy stragany do wynajęcia.

Dotty pogrzebała w schowku, po czym wyciągnęła stamtąd mapę i przybliżyła ją do twarzy.

- Jezu, prawie nie widzę numerów dróg – mruknęła.
- Może trzeba ci sprawić okulary – powiedział Wallace i zerknął w lusterku na Canny, która znowu zasnęła.

Na ostatnim postoju wyciągnął płyty z pudła, rzucił je na podłogę i przykrył kocami. Teraz Canny mogła się przynajmniej wyciągnąć. Narzekała na ból brzucha i pociła się jeszcze bardziej niż przedtem.

- Ja w patrzalkach! To by dopiero wyglądało! – zaśmiała się Dotty, sunąc palcem po mapie.

- Ładnie by ci było – powiedział, bardziej do siebie niż do niej. Podobałaby mu się. W okularach wyglądałaby... Nie mógł znaleźć odpowiedniego słowa. Schludnie? Nie, nie tak. Bardziej jak uporządkowana. Coś w tym rodzaju.

- Skręć tam! – Wyciągnęła niespodziewanie rękę.

Kiedy wziął ostry zakręt, Canny jęknęła i zaczęła kaszleć.

- Nie, w lewo – powiedziała Dotty.

- Nie podoba mi się to. – Zerknął przez ramię na Canny, po czym skręcił w prawo.

- Chryste Panie! – jęknęła Dotty. – Powiedziałam w lewo, a ty zjeżdżasz w prawo!

Właśnie wtedy Canny usiadła. Była cała czerwona. Wallace dostrzegł w lusterku jej ciężkie spojrzenie. Bez słowa znowu opadła na siedzenie. Pewien, że zemdlała, sięgnął ręką do tyłu, ale nie mógł dosięgnąć dziewczynki. Tuż obok drogi znajdowało się centrum handlowe. Wallace skręcił tam i zatrzymał się na parkingu.

- Jest cała rozpalona – oznajmił, dotykając czoła Canny. Wyciągnął z kieszeni dolara i potrząsnął nim przed nosem Dotty. – Idź, kup jej aspirynę i jakiś napój.

Dotty odchyliła głowę i zamknęła oczy.

– Ty idź – westchnęła. – Nie mam siły.

– Masz! – Zaczął szukać kolejnego dolara. – Sobie też kup coś do picia.

– Jestem zmęczona – powiedziała.

– A ona jest chora! – odparł bezradnie, przenosząc spojrzenie z pieniędzy na Dotty i z powrotem.

– Jest chora – powtórzyła Dotty słabym głosem. Wciąż nie otwierała oczu. – Zimno jej. Ma mokre majtki. Odparzyła sobie pupę. Cieknie jej z nosa. Chryste Panie! – jęknęła i otworzyła drzwi. – Mam tego wszystkiego dosyć.

– To nie jej wina – powiedział cicho, gdy był pewien, że Dotty już go nie usłyszy.

Przyglądał się, jak szła przez zakurzony parking z czerwoną torebką zwisającą z ramienia, a jej drobne, okrągłe biodra kołysały się nad długimi, szczupłymi nogami w błyszczących sandałkach na wysokich obcasach. Kiedy zbliżył się do niej młody mężczyzna w czarnym podkoszulku, wszystkie części jej ciała nagle ożyły; szyja wyprostowała się, ramiona zadrżały, a pośladki jakby wypięły się i zaokrągliły pod cienką spódnicą.

– Weź dla niej napój z lodem! – zawołał nagle Wallace. – Byle nie z winogron! Nie cierpi winogron.

Pół godziny później wróciła z dwoma kubkami napoju.

– Gdzie aspiryna? – wrzasnął przez okno.

– Zamknij się! – syknęła i rzuciła spojrzenie tęgiemu mężczyźnie w srebrnej marynarce, który wyszedł za nią ze sklepu. – I co się tak wydzierasz – jęknęła, wsiadając do samochodu.

Otworzyła torebkę i wysypała mu na kolana dwie buteleczki aspiryny dla dzieci. Z torebki wyleciały też dwie nowe szminki, kredka do oczu, róż, maskara, lakier do paznokci i złoty cień do powiek – wszystko kradzione.

Wallace ukląkł na siedzeniu i podał Canny cztery aspiryny i napój imbirowy, którym je popiła. Uśmiechnęła się niemrawo, z wdzięcznością, i natychmiast zapała w sen.

– Czemu to tyle trwało? – zapytał, gdy znów znaleźli się na autostradzie.

– Nie mogłam znaleźć aspiryny – odparła Dotty, przyciskając mapę do ust, żeby usunąć z nich nadmiar szminki.

– Zapłaciłaś za to wszystko?

Dotty oderwała wzrok od małego lusterka i uśmiechnęła się do Wallace'a.

– Jak wyglądam?

On także się uśmiechnął. Wcześniej Dotty uczesała włosy w warkocz. Wyglądała lepiej niż wszystkie znane mu gwiazdy filmowe. Zamrugła, a zachodzące słońce wydobycło złote refleksy na jej powiekach. Wtedy Wallace pomyślał, że jest nawet ładniejsza niż w dniu, w którym się spotkali, i że wyrosła na piękną kobietę.

– Wyglądam do dupy – stwierdziła i odłożyła lusterko. Opuściła osłonkę na szybę i zamknęła oczy. Po drugiej stronie osłonki było zdjęcie, które Dotty wycięła ze starego numeru National Geographic, znalezionej na jednym z jarmarków. Kosmonauta z fotografii stawiał pierwsze niepewne kroki na powierzchni księżyca. Canny uważała, że ten obrazek jest przerażający, a i Wallace za nim nie przepadał. Takie rzeczy jak planety czy spacer po księżycu fascynowały Dotty. Kiedyś jechali przez równą dobę tylko po to, żeby obejrzeć start rakiety. Dotty powiedziała, że to był najpiękniejszy widok w jej życiu. Kiedy obserwowali znikający w chmurach ognisty ogon, Dotty wyjaśniła Canny, że właśnie tak duch opuszcza ciało zmarłego człowieka. Zupełnie jak rakietę. Canny chciała wiedzieć, dokąd idzie taki duch.

– Do czarnej dziury – odparła Dotty.

– A gdzie to jest?

– Tego nikt nie wie.

Jeszcze wiele tygodni później Canny miała koszmary. Wallace też się przestraszył. Nie lubił nawet słowa „duch”. Duchy były zjawami i jeszcze przez wiele nocy tłumnie nawiedzały jego sny.

Do Hortonville zostało jakieś sto dwadzieścia – stwierdziła Dotty i wrzuciła mapę do schowka. – Pod warunkiem, że znowu nie zabłądzisz.

– Nie zabłądę – bąknął nieśmiało.

Po odjeździe z centrum handlowego Dotty zasnęła, a on skręcił nie tam, gdzie trzeba, i przejechał z powrotem jakieś sto kilometrów.

– W ogóle nie masz zmysłu orientacji – narzekała. – Można by pomyśleć, że po takim czasie i tylu kilometrach w końcu go w sobie wyrobisz.

Roześmiał się. Jego ustawiczne błądzenie było stałym tematem ich żartów.

– Mówię poważnie – dodała.

Aż zmrugał oczy, słysząc nieprzyjemny ton w jej głosie.

– Jakżeś ty sobie radził, zanim mnie poznałeś? – popatrzyła na niego. – Co? Wallace wzruszył ramionami.

– Chyba jeździłem po znajomych drogach – wymamrotał.

Najwyraźniej do czegoś zmierzała. Słyszał to w jej głosie, w jej słowach, które uderzały w niego niczym szybkie ryby o powierzchnię wody.

– Założę się, że zanim mnie poznałeś, nigdy nie wyjeżdżałeś z Atkinson.

Nie odpowiedział. Canny usiadła i ziewnęła przeraźliwie.

– Gdzie jest Atkinson? – zapytała, pochylając się ku nim.

– Nawet nie z Atkinson – roześmiała się urągliwie Dotty. – Ale i z Flatts. To właśnie stamtąd pochodzi twój staruszek.

Poklepała Canny po policzku.

– Już nie masz gorączki! – Rozpostarła szeroko ramiona, żeby Canny mogła się na nią wdrapać.

– Gdzie jest Flatts? – Dziewczynka rozsiała się na kolanach Dotty.

– W zimnych, ośnieżonych górach, gdzie mieszkają Kluggsowie, Mooneyowie i Wallace'owie, i gdzie płodzą dzieci ze swoimi siostrami i matkami. – Zaśmiała się i oparła brodę na wilgotnej główce Canny.

– Ale gdzie to jest? – upierała się Canny. – W którym stanie?

– Flatts to stan umysłu – odparła Dotty i zapaliła papierosa.

– Ale mnie chodziło o jeden z pięćdziesięciu stanów – jęknęła cichutko Canny i pomachała ręką, żeby rozpędzić dym.

Wallace patrzył prosto przed siebie. Wiedział, że lada moment Dotty zacznie wydzierać się na małą.

– Jak te stany, w których byliśmy – ciągnęła Canny. – Floryda, Nowy Meksyk, Tennessee. Rozumiesz? Który to stan tatusia?

– A skąd mam to wiedzieć? – Dotty zaciągnęła się głęboko.

– Przecież wiesz! – nalegała Canny.

– Tylko nie zaczynaj mi tu jęczeć! – ostrzegła małą Dotty i zepchnęła ją z kolan na siedzenie pomiędzy sobą a Wallacem.

– Wcale nie jęczę – nadąsała się dziewczynka. – Powiedz mi, jaki to stan.

– Vermont – odparła Dotty, a Wallace otworzył szeroko usta.

Popatrzyła na niego i wzruszyła ramionami.

– A co tam – mruknęła.

– Ty też stamtąd jesteś, mammo?

– Nie – roześmiała się Dotty i tak długa tarła kostkami palców o głowę Canny, aż dziewczynka zapiszczała. – Jestem istotą z kosmosu. Przyleciałam tu latającym spodkiem. Lataliśmy i lataliśmy nad całym krajem, żeby znaleźć najprzystojniejszego i najmądrzejszego faceta na Ziemi. Pewnego dnia tak mnie znudziło całe to latanie, że powiedziałam kierowcy – to znaczy pilotowi: „Posadź tę kupę złomu, Zeebor. Biorę pierwszą parę spodni, jaka mi się nawinie”. – Dotty zaśmiała się i klepnęła Wallace'a w ramię. – No i proszę!

Canny i Dotty zachichotały radośnie. Wallace zdrzął. Po plecach przebiegł mu dreszcz, gdy pomyślał o tamtym dniu i o tym, że dziewczyna wyłoniła się tak zupełnie znikąd. Otworzył szeroko oczy. Przyszła boso po rozpalonym asfalcie, jak gdyby unosiła się w powietrzu. Jak unosiłaby się w powietrzu istota z kosmosu. Kiedy podeszła, utkwiała w nim spojrzenie niczym kot w swojej ofierze.

– Jak się chodzi po śniegu, tatusiu? – spytała Canny.

Samochód za nimi zatrząbił, gdy Wallace nagle zmienił pas i zjechał na pobocze.

– Zaraz wracam – powiedział.

Wyskoczył z samochodu i pobiegł wzdłuż wąwozu, rozpinając po drodze roz-porek. Chwilę później powlókł się z powrotem do auta. Ostatnio piekło go tak bardzo, że miał ochotę krzyknąć za każdym razem, gdy oddawał mocz. Za bardzo się wstydził, żeby powiedzieć o tym Dotty, a ostatni raz poszedł do lekarza, gdy jeszcze mieszkał w Domu.

Dotty właśnie zmieniała ubranie. Zdjęła stanik i rzuciła go na tylne siedzenie. Canny otwierała dla niej dwa plasterki opatrunkowe. Wallace wydłubał brudek z rysy na kierownicy i starał się nie patrzeć na obnażone, piersi Dotty. To znaczy, nie chciał, żeby Canny myślała, że on kiedykolwiek przygląda się nagiej Dotty – nie, żeby to miało znaczenie dla Canny albo samej Dotty. Miało znaczenie dla niego. Miało dla niego znaczenie to, co myśli o nim Canny.

Dotty przycisnęła po plasterku do obu różowych sutków.

– Nie będzie bolało, kiedy się je oderwie? – zapytała Canny, obserwując ją uważnie.

– Zależy, kto będzie odrywał – roześmiała się Dotty, po czym wciągnęła na siebie białą dzersejową sukienkę z olbrzymią, czerwoną papugą z przodu. Uniosła ramię. Spod pachy zwisała jej metka z ceną.

– Oderwiesz ją? – poprosiła dziewczynkę.

Canny złapała plastikową nitkę między zęby i ją przegryzła.

– Trzydzieści dolarów! – wykrzyknęła, spoglądając na metkę.

- To była cena do negocjacji – roześmiała się Dotty i wyrzuciła metkę przez okno.
 - Nie ukradłaś jej, mamó, prawda? – zachichotała Canny.
 - Oczywiście, że nie! – powiedział surowo Wallace. – Twoja mama nie zrobiłaby czegoś takiego.
 - Pewnie, że nie – dodała Dotty, usiłując zachować powagę.
- Nawet Canny z całych sił starała się nie wybuchnąć śmiechem.

3.

Dotty twierdziła, że Hortonville leżało nieopodal Waszyngtonu. Od pięciu lat Wallace nie dotarł tak daleko na północ. Co kilka kilometrów doganiały ich i mijaly policyjne samochody. Dotty twierdziła, że to jego wyobraźnia, ale on był pewien, że nigdy nie widział aż tylu gliniarzy na jednym odcinku drogi. Zwolnił do siedemdziesiątki i skulił się za kierownicą, nasuwając daszek baseballowej czapki na sam nos.

Wraz z nadejściem nocy Dotty stawała się coraz bardziej pobudzona. Śpiewała lećące w radiu piosenki, strzelała palcami i tupała, a kiedy kończył się jakiś utwór, szybko zmieniała stacje, tak, aby ani przez chwilę nie było cicho. Nienawidziła ciszy. Mawiała, że gdy jest zbyt spokojnie, można usłyszeć, jak planety wysyłają między sobą fale dźwiękowe, a martwe dusze usiłują nawiązać kontakt z kimś na Ziemi.

Mimo otwartych okien w zagraconym aucie było bardzo gorąco. Nocne powietrze wydawało się naładowane energią emanującą z Dotty. Przez ostatnie pół godziny dziewczyna nie zamykała ust. Z radia dobiegały dźwięki rockowej muzyki, a jej rytm pulsował w skroniach Wallace'a. Dotty ledwo mogła usiedzieć na miejscu. Wierciła się jak dziecko, zakładała nogę na nogę albo kładła je obie pod siebie na fotelu, krzyżowała ramiona, opierała głowę na zagłówku, po czym podrywała się nagle i z westchnieniem wystawiała rękę na zewnątrz, wprost w wilgotną, atramentową noc.

Śmiech Dotty przypominał pękające cienkie szkło. Wallace nie musiał na nią patrzeć, by wiedzieć, że jest cała zarumieniona. Przy niej poczuł się mały i pusty, i nagle zdał sobie sprawę, jaki jest zmęczony, jaki obolały, nieogolony i niezręczny.

Piekły go oczy, a gardło paliło, ilekroć przełykał ślinę. Miał wrażenie, że brakuje mu powietrza do oddychania – Dotty zużyła cały zapas.

Canny rzuciła się gwałtownie na tylnym siedzeniu, po czym przekręciła się na drugi bok i jęknęła z niewygody.

– Tatusiu – mruknęła przez sen.

Ściszył radio, spodziewając się, że Dotty ze złością odkręci gałkę aż do oporu, ona jednak zajęta była rozczesywaniem włosów. Kącikiem oka widział szybkie ruchy jej wilgotnych białych ramion. Miał wrażenie, że po każdym pociągnięciu szczotki z włosów dziewczyny sypią się drobne iskierki.

– Ładnie wyglądam? – zaszcebiotała nagle. – A moje włosy? Potrzebuję więcej lakieru... Nie minęliśmy miasta, prawda? Zamknij okno – zepsuje mi się fryzura... Canny! Obudź się! Obudź się, jesteśmy prawie na miejscu....

Uklękała na siedzeniu, po czym wyciągnęła rękę, żeby potrząsnąć Canny. Chwilę później usiadła spokojnie i wyglądała uważnie przez okno, obserwując mijane przez nich światła. Naraz pojawiła się tablica z napisem HORTONVILLE – 5 KM. Dotty z trudem złapała powietrze i znowu zaczęła czesać włosy. Podniosła najpierw jedno, potem drugie ramię, aby wetrzeć w pachy jeszcze więcej dezodorantu. Następnie wyciągnęła z torebki szklany flakonik z atomizerem i spryskała szyję zapachem dojrzałych na słońcu róż. Nerwowo otwierała i zamykała torebkę, po czym pochyliła się i zaczęła stukać ostrymi, błyszczącymi paznokciami o deskę rozdzielczą. Wallace pomyślał, że zachowuje się zupełnie jak kanarek jego chłopaków, straszący piórka i drżący z niecierpliwości w oczekiwaniu na chwilę, w której otworzą się metalowe drzwiczki klatki.

Dotty wyprostowała się nagle. Gdzieś przed nimi strumienie światła rozświetlały ciemną noc.

– Jesteśmy! – krzyknęła i znowu potrząsnęła Canny. – Tam! Patrz!

Jarmark błyszczał tysiącami światel, tętnił muzyką i ludzkimi głosami, które zdawały się wznosić i opadać, i znowu wznosić niczym szumiące morskie fale.

Zaspana Canny usiadła. We fluorescencyjnym świetle na parkingu jej twarz wydawała się koścista i szara. Dziewczynka skrzywiła się i przetarła oczy.

Pchli targ stanowił jedną z atrakcji całego jarmarku. Pomiędzy karuzelami i innymi urządzeniami ustawiono setki kramów i ciężarówek. Wallace zazwyczaj sprzedawał towar bezpośrednio z bagażnika. Gdy padały pytania dotyczące tego, w jaki sposób wszedł w posiadanie rzeczy, wystarczyło, że zatrzasnął klapę i mógł

już odjechać. Czasem, niezbyt często, na targach pojawiali się policjanci w poszukiwaniu kradzionych towarów. Jemu zdarzyło się to tylko raz, na szczęście wtedy była z nim Dotty. Na swój nerwowy sposób zaczęła flirtować z gliniarzem, który nawet kupił od Wallace'a jedną z plastikowych skrobaczek do osiadającego na szybach lodu – w czterdziestostopniowym upale, kilka kilometrów na południe od Tamy.

Kiedy jechali wzdłuż rogatek jarmarku, z oddali słychać było głosy nawoływaczy, które uderzały o okna niczym wystrzępione serpentyny.

...chcecie szybciej?... chodzi, mówi, pełza na brzuchu... pięć paczek Cameli na czerwone... niż szybkość światła... z wybiciem północy karuzele... Poszedł przyprowadzić tę małą po prawej – właśnie tę! Tę z małpką... Tylko piątaka – tylko piątaka – tylko piątaka...

– Magiczny Lot! – piszcząca Dotty, odczytując nazwy mijanych karuzel. – Latający Gad! Podniebna Szpila! Chryste Panie, to jest takie wielkie, że nie widzę, gdzie się kończy... Wir Cudów! Patrz, Canny, Czarna Dziura...

Canny popatrzyła na Wallace'a ciężkim wzrokiem.

– Niedobrze mi – wyszeptła mu w ucho.

Ze strachu przed gniewem Dotty udawał, że nie usłyszał.

– Boli mnie brzuch – jęknęła dziewczynka.

Dotty gwałtownie odwróciła się w jej kierunku.

– Zamknij się! Mam dosyć tego, że zawsze wszystko psujesz!

– Nic jej nie będzie – odezwał się szybko Wallace. – Prawda, Canny?

Mała zamknęła oczy i pokiwiała głową.

– Oby – mruknęła Dotty i znów skierowała całą swoją uwagę na wirujące tłumy i kręcące się karuzele.

– Nigdy nie widziałam aż tylu naraz – wykrztusiła.

– Niewiele mi zostało do sprzedania – przypomniał jej Wallace.

– Spójrz na tych wszystkich ludzi – powiedziała Dotty, uśmiechając się przez okno do młodych mężczyzn w barwnych koszulach i krawatach na gumkę, i do ich szerokich w biodrach, wyblakłych kobiet, wystrojonych i kręcących się bezustannie między stoiskami, skubiących wate cukrową, o spojrzeniach rozmarzonych i jakby nieobecnych. Wszystkie marzyły tylko o tym, że kupić coś taniego i ładnego, co nie byłoby zbyt zniszczone czy tandetne.

– Tylko się gapią, i nic więcej – warknął Wallace i zwolnił, aż znalazł miejsce z dala od innych handlarzy, tak, żeby nie wdawać się z nimi w pogawędkę.

Zanim jeszcze zdążył wyłączyć silnik, Doty wyskoczyła z auta. Stała obok drzwi i wygładziła sukienkę na biodrach. Canny wygramoliła się z samochodu i oparła się o dziewczynę. Zanim odeszły, Wallace zmusił Doty, aby obiecała mu, że nie pozwoli małej jeść za dużo świństw.

– Pochoruje się – zawołał za nimi. – Zwłaszcza po smażonym...

Obserwował, jak szły w stronę centralnej alejki, gdzie diabelskie koło kręciło się jak szalone. Przy Doty Canny wyglądała jak miniaturowy tramp. Miała na sobie gumowe sandaalki, brudną różową wiatrówkę z oderwanym kołnierzem i pomarańczowe spodnie, tak wielkie, że trzepotały niczym spódnica wokół jej chudych kolan. Wszystkie te ubrania pochodziły z pojemników Armii Zbawienia. Wallace ściągnął czapkę i podrapał się w głowę. Właśnie wtedy Canny odwróciła się i pomachała do niego, lecz zanim zdążył podnieść dłoń, obie zniknęły z jego pola widzenia.

Wyciągnął z bagażnika dwa pudła i ustawił ich zawartość na brudnej, rozgrzanej masce. Większość z tego stanowiły zwykłe śmiecie – gipsowe figurki do malowania, kilka kaset z kolędami, parę zielonych plastikowych doniczek, wysłużony sprzęt do wędkowania i kilkanaście drewnianych wieszaków. Główną atrakcją stoiska miało być dzisiaj osiem puszek oleju silnikowego HiGrade, które Wallace zwinął na ostatniej stacji benzynowej. Teraz wyciągnął białe nalepki i przykleił cenę na każdej puszcze – jeden dolar. Na innych towarach były już metki z poprzednich targów. Niektóre rzeczy nie schodziły już od tak dawna, że miały po cztery albo i pięć metek.

Północ już dawno minęła, a Wallace zdołał jedynie sprzedać osiem puszek oleju, i to dwie godziny wcześniej. Od tego czasu nikt się nie zatrzymał, aby choć zerknąć na towar.

Centralna aleja jarmarku przeredzała się w miarę upływu czasu. Karuzele zdawały się coraz wolniej obracać, nawet krzyki nawoływaczy były słabsze i pełne zmęczenia. Wallace stał przy aucie i co chwila rzucał ukradkowe i szybkie spojrzenia w stronę zaparkowanych przy głównej alei samochodów. Gdziekolwiek popatrzył, wydawało mu się, że widzi Hyacinth, której zjawa czaiła się gdzieś w jego podświadomości i teraz, ramię w ramię z jego poczuciem winy i strachem, z daleka przybierała postać policjantów, przyczajonych psów, rozmaitych nafaszerowanych narkotykami oprychów, a nawet pijanego starucha, który klnąc i złorzecząc przeszedł obok Wallace'a.

Włos zjeżył mu się na karku. Zawsze tak było, gdy zbyt długo zostawał sam.

Bez Dotty i Canny czuł się słaby i przestraszony. Czuł, jak sztywnieją mu kolana, a samotność, podejrzliwość i strach zaczynają rozbijać się w jego głowie przy akompaniamencie pisków tak przeraźliwych, że nie pozostawiały miejsca na żadne myśli. Wrósł tu w ziemię, nie mógł się ruszyć. Dotty wzięła w posiadanie jego umysł, a dziecko serce – wiedział, że jeśli nie powrócą, będzie tu tak stał już zawsze.

Po obu jego stronach dwóch zaspanych handlarzy uprzętało stoiska i ładowało nie sprzedany towar na samochody.

- Kiepsko dziś idzie – zawołał jeden do drugiego.
- W ogóle nie idzie – parsknął ten drugi, po lewej stronie Wallace'a.

Dotąd Wallace ignorował ich pogawędki. Ich słowa wpadały w jego osamotnienie niczym dziwne, obce dźwięki, do których nie mógł dopasować żadnych obrazów.

Wcześniej handlarze widzieli jak młoda kobieta o dużych piersiach wysiada z pokrytego rdzą auta, a jej miękkie biodra kołyszają się pod opiętą sukienką. Za kobietą stąpał nieprzytomny, wyrwany ze snu cień dziecka o brudnych jasnych włosach i umorusanych nogach. Musieli zauważyć, jakim spojrzeniem odprowadzał obie postacie niski mężczyzna – jego wzrok był jednocześnie ożywiony i pełen strachu, a zarośnięte policzki zapadały się jeszcze bardziej w miarę, jak kobieta i dziecko odchodziły coraz dalej. W chwili, gdy zniknęły, obaj mężczyźni musieli zauważyć szybką, gwałtowną, a jednocześnie dziwnie ociężałą reakcję mężczyzny – zgarbił się, przywarł do samochodu, gdzie stał i teraz, nieruchomy i bezcielesny niczym cień.

Popatrzyli na niego, i niemal jednocześnie wzruszając ramionami, zebrali resztę towaru – wachlarze z pawich piór, tandetne obrazy przedstawiające Elvisa Presleya, Jezusa Chrystusa i Johna F. Kennedy'ego. Mężczyzna z lewej zamknął bagażnik, po czym odwrócił się do Wallace'a.

– Był pan we wszystkich tych miejscach? – zapytał i wskazał ręką nalepki i kalkomanie na zderzakach.

Wallace w tym samym momencie przebiegł na drugą stronę auta, runął na kolana, po czym przekręcił się na plecy i wśliznął pod samochód, tak że wystawały mu tylko nogi. I zaczął walić kamieniem w rurę wydechową. Gdyby mężczyzna odezwał się ponownie, Wallace nic by nie usłyszał, tak gorliwie udawał, że naprawia coś w wozie.

Nagle poczuł, że coś chwyta go za kostkę. Uniósł gwałtownie głowę i po drugiej stronie podwozia ujrzał wpatrzoną w siebie bladą twarzyczkę.

- Tatusiu! – wykrztusiła Canny.

Wyśliznął się spod samochodu i z ulgą zauważył, że obaj mężczyźni już odjechali. Canny miała czerwone oczy i ciekło jej z nosa.

– Gdzie byliście, do cholery? – zrzędził, mnąc w rękach sztywną i zasmarowaną chustkę do nosa, aż w końcu znalazł czysty kawałek. – Gdzie mama?

Przyglądał się alejce, podczas gdy Canny wydmuchiwała nos.

– Nie mogłam znaleźć samochodu, tatusiu – powiedziała, wciągając głęboko powietrze. – Pomyliłam parkingi.

Stał na czubkach palców i nad dachem samochodu zerknął na alejkę.

– Którędy ona idzie? – dopytywał się. – Nie widzę jej...

– Kazała ci powtórzyć, że przyjdzie za jakiś czas – wyrzuciła z siebie Canny i wykrzywiła usta. – Powiedziała, żeby czekać.

– Ale już prawie w pół do trzeciej! – jęknął.

– To nie moja wina – zaprotestowała Canny, a jej oczy napełniły się łzami. – Nie chciała iść.

– No to trzeba było z nią zostać! A jeśli ucieknie? – wrzasnęła, przestępując z nogi na nogę, jak gdyby przygotowywał się do biegu w kierunku alei.

– Ale ten pan... On... – zająknęła się Canny, po czym zwiesiła głowę i wzruszyła bezradnie ramionami.

Wallace stał teraz bez ruchu. Spod w półprzymkniętych, zmęczonych powiek przyglądał się Canny. Ręce bezwładnie zwisały mu po bokach. Zerwał się lekki, ciepły wietrzyk, wydymając mu obszerne spodnie.

– Jadłyśmy lody i faworki – mówiła Canny. – Potem poszłyśmy na Cudowny Bicz, a później na Skaczącą Jaszczurkę. Strasznie szybko się kręciło, o tak – pokazała mu ręką – i leciało do góry, a potem do dołu. O, tak! Wtedy zwymiotowałam. Jak leciało w dół. Powiedziałam mamie, że mi niedobrze i nie mam już siły jeździć, a ona się wściekła. To z powodu tej Czarnej Dziury. Tam były meteory i taka kosmiczna muzyka, i przyglądałyśmy się przez chwilę. Mama podpuszczała mnie, żebym tam poszła. Mówiła, że ta dziura jest specjalnie zaprojektowana, jak statki kosmiczne dla kosmonautów, i że tam nikt nie choruje, więc ja też się nie pochoruję...

Znowu wzruszyła ramionami, ale tym razem wyglądało to tak, jak gdyby zarżała. Jej głos stawał się coraz bardziej piskliwy.

– Wtedy przyszli ci dwaj w kowbojskich kapeluszach. Mama się na mnie wściekła. Powtarzała, że cały dzień jej obiecywałam, że będę jeździć karuzelą, i że nigdy nie dotrzymuję obietnic, i że to niesprawiedliwe. Jeden z tych panów roześmiał się i powiedział, że mama zachowuje się jak mała dziewczynka, a ja jak jej

mama. – Canny zaśmiała się nerwowo. – A mama na to: „Bo tak jest”. I jeden z nich powiedział, że przejedzie się z mamą, a ja mogę poczekać z jego kolegą na rampie. Więc poczekałam, a kiedy wrócili, ten który był ze mną, poszedł z mamą, a ten pierwszy został. Posadził mnie na poręczy i położył tak jakoś rękę, tatusiu... – Popatrzyła na Wallace'a, ale on nie zrozumiał.

Dotty nie było ani na Czarnej Dziurze, ani na diabelskim młynie. Wallace nie mógł jej dojrzeć na żadnym z urządzeń. Canny była już zmęczona chodzeniem i przepychaniem się przez tłum.

– Poczekajmy w samochodzie – prosiła. – Chcę spać, tatusiu, proszę.

Kiedy po raz drugi przemierzali aleję, dziewczynka zachwiała się, po czym przywarła do niego i jęknęła. Miała zaczerwienione policzki i spojówki, a jej czoło płonęło pod jego dłonią. Przechodząca obok kobieta zmarszczyła brwi i zde gustowana potrząsnęła głową.

– Jestem taka zmęczona – rzekła słabym głosem Canny i oparła się o Wallace'a, podczas gdy on zaglądał do Piwnego Ogródka, który okazał się betonowym budynkiem na końcu alei. Ze swojego miejsca Wallace widział jedynie stoliki, krzesła, a także morze rozłożonych nóg i podrygujących stóp. Z głośników ryczała głośna muzyka country.

Canny wdrapała się za nim po schodach i wspólnie przedarli się przez dym i hałas pijanych głosów, aż dobrnęli do odległego kąta, gdzie Dotty siedziała pomiędzy dwoma mężczyznami w kowbojskich kapeluszach. Jeden z nich obejmował ją ramieniem, a jego tłusta dłoń spoczywająca na brzuchu dziewczyny wyglądała jak włochata łapa. Drugi mężczyzna miał ziemistą cerę i tępe rysy Indianina. Gapił się be zmyślnie na kufel z piwem, podczas gdy Dotty przyciągnęła do siebie brodę jego towarzysza i delikatnie musnęła ustami jego wargi.

– Przepraszam... Przepraszam... – mamrotał Wallace mijając kolejne stoliki, a Canny deptała mu po piętach. Kiedy dotarł na miejsce, zwiesił głowę i wyszeptał bardzo cicho: – Musimy iść...

Dotty uśmiechnęła się, przymykając ciężkie powieki, na których rozmazał się tusz, po czym oparła głowę na ramieniu mężczyzny.

Wallace odchrząknął i przełknął ślinę.

– Canny jest chora. – Starał się mówić tylko do dziewczyny.

– Zostaw mnie w spokoju – jęknęła Dotty.

Mężczyzna zabrał dłoń z jej brzucha, ale ona złapała ją i położyła tam z powrotem.

Indianin wyszczerzył zęby, a spojrzenie jego ciemnych, tępych oczu krążyło niespokojnie między przyjacielem a Wallace'em.

- Chodź, Dotty – powiedział cicho Wallace.
- Możemy już iść, mamó? – pisnęła Canny i przetarła oczy.
- Chodź lepiej tu, mała. – Indianin rozłożył ramiona.

Canny mocniej przywarła do Wallace'a.

- Na litość boską, zabierz ją stąd – syknęła Dotty przez zaciśnięte zęby.

Ludzie przy stoliku obok odwrócili się w ich stronę.

- Kto to? – spytał mężczyzna obok Dotty.

Zanurzył twarz w jej włosach, na co ona zachichotała i wyszeptala mu do ucha coś, co wywołało jego nagły wybuch śmiechu.

- Musimy już iść – rzekł Wallace i podniósł ze stołu jej torebkę.

Ona też wyciągnęła po nią rękę, podobnie jak kompan obok.

– Połóż to – warknął mężczyzna, celując w Wallace'a palcem wskazującym niczym pistoletem.

Dotty zaśmiała się nerwowo, Indianin także. Facet obok Dotty wstał i złapał Wallace'a za ramię. Indianin zachichotał, gdy mężczyzna szarpnął Wallace'em, niemal wywracając go na stół.

– Zostaw go! – zapiszczała przeraźliwie Canny. Odwróciły się ku nim wszystkie okoliczne głowy i przez chwilę słychać było jedynie głos dziewczynki: – Ty gruby skurwielu! Zostaw go! Puszczaj go!

Złapała kufel i uderzyła nim w skroń napastnika. Jęcząc, mężczyzna puścił Wallace'a i opadł na krzesło. Spod jasnego ronda jego kapelusza sączyła się krew. Po chwili opuścił głowę na pierś.

– Mamó! – krzyknęła z przerażeniem w głosie Canny, gdy mężczyzna usiłował wstać, a następnie runął na stolik, rozwalając go na dwie części. Szklany dzbanek i kufle rozprysnęły się na betonowej posadzce. Kobiety przy sąsiednich stolikach zaczęły krzyczeć i podskakiwać, podczas gdy Indianin pochylał się nad swym jęczącym przyjacielem.

Przez pierwszą godzinę Dotty i Canny tylko szlochały, podczas gdy Wallace pędził na oślep przed siebie. Nie zwracał żadnej uwagi na znaki drogowe. Zależało mu tylko na tym, aby jak najbardziej zwiększyć dystans między autem a policją w Hortonville. Dotty siedziała skulona, z twarzą ukrytą w dłoniach.

- Zabiłam go? – zaszlochała z tyłu Canny.
- Pewnie tak! – parsknęła Dotty.
- Co się teraz stanie? – płakała dziewczynka. – Co zrobią gliny?
- Zastrzelą cię! – wrzasnęła Dotty.
- Jedź szybciej! – Piszcząc, mała zarzuciła ręce na szyję Wallace'a.

Kiedy przejechali już jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów, Wallace zatrzymał się na całodobowej stacji benzynowej i kupił torbę lodu, którą owinął ręcznikiem i położył na rozpalonym czole Canny. Dziewczynka była całkowicie wyczerpana. Zdołała jedynie przełknąć kilka łyków kupionej przez niego coli, żeby popić aspirynę.

– No, masz – namawiał małą, szturchając ją lekko puszką. – Wypij jeszcze trochę.

Nie odpowiedziała. Przysypiała. Jej buzia lśniła od potu. Dotty pochyliła się i ściągnęła przez głowę sukienkę.

– Ten facet, którego uderzyła – zaczęła, odrywając powoli plasterki bandaża z każdego sutka – chciał mi załatwić zdjęcia próbne. Mówił, że ma znajomości. – Wyrzuciła plastry przez okno i westchnęła. – Całe życie o czymś takim marzyłam, a ta gówniara rozwalila mu łeb.

– Masz. – Wyciągnął koc w jej stronę. Zignorowała ten gest i znowu zaczęła płakać.

– Nic mi nie wychodzi, Aubie – chlipała. – Nic... Z autostrady zjechały na stację dwa auta.

– Zakryj się – powiedział i jednocześnie uruchomił silnik. Skrzywił się, wjeżdżając na autostradę, podczas gdy coraz ostrzejszy głos Dotty sączył się przez otwarte okna niczym smuga dymu.

– To kula u nogi! Pieprzona kula u nogi! Rzygać mi się chce od tego wszystkiego! Muszę mieć coś z życia, Aubie, albo zwariuję! Słyszysz mnie? – wrzeszczała, bębniąc pięściami w deskę rozdzielczą. – Muszę mieć coś z życia, do cholery! Już nie mogę! Nie mogę! Nie mogę!

– Przestań! – błagał. – Przestań natychmiast!

– Przestanę! – zawyła, po czym złapała kierownicę i wykręciła ją tak gwałtownie, że samochód zjechał na sąsiedni pas. – Skończę z tym wszystkim... Z tym całym pieprzonym życiem...

Stracił jej rękę z kierownicy, a w gardle uwiązał mu krzyk. Kręciło mu się w głowie na myśl o tym, że gdyby jechał tędy drugi samochód, już byłoby po nich. Obejrzał się na Canny. Wciąż spała.

Dotty siedziała sztywno wyprostowana. Milczała zawzięcie i skrzyżowała ramiona na nagiej klatce piersiowej. Przez te wszystkie lata przywykł już do jej wybuchów. Najbardziej przerażało go to pełne nienawiści, lodowate milczenie.

Wtedy przypominała mu Hyacinth, która kiedyś przez siedem tygodni i sześć dni nie odezwała się do niego ani słowem, ani też nie wspomniała nawet o nim w rozmowach z innymi, co mu z dumą obwieściła, gdy jej przeszło.

Teraz Dotty zaczęła mówić miękkim, pełnym tęsknoty głosem, który sprawiał, że przesywał go dreszcz. Bez problemu potrafiła przejść od szaleństwa do spokoju, od nienawiści do łagodności. Przed chwilą chciała zabić ich oboje, teraz zaś przysunęła się tak blisko, że jej pierś dotykała ramienia Wallace'a.

– To byłoby takie proste, Aubie – wyszeptała, a jej usta delikatnie drażniły mu ucho, jak skrzydła ćmy.

Czuł się skołowany i ogłupiały. Znowu o tym mówiła; o tym samym, o czym tak często ostatnio wspominała.

– Pamiętasz ten dzień, kiedy ją zabraliśmy, a ty przyczepiłeś kartkę o niej na stacji? – przypominała mu. – Pamiętasz?

Wallace sztywno pokiwał głową.

– Moglibyśmy zrobić to samo. Tyle że pomyślałam sobie... moglibyśmy zostawić ją w kościele. Kościół...

– Cicho!

– Przecież śpi – nie zrażała się Dotty. – Kościół byłby idealny. Zostawilibyśmy ją z karteczką, w której napisalibyśmy, co o niej wiemy, i pojechalibyśmy do Hollywood, Aubie! – Ścisnęła jego ramię piersiami. – Pomyśl o tym! Tylko ty i ja!

Wyprostowała się i wskazała palcem tablicę przed nimi, na której następny zjazd oznaczono jako „Międzystanową 1, Północ”.

– Skręć tu! – zażądała.

Przejeżdżająca obok ciężarówka zatrąbiła entuzjastycznie.

– Załóż bluzkę! – Wallace starał się przekrzyczeć hałas ciężarówki, której kierowca uśmiechał się, patrząc na nich z niedowierzaniem.

– Skręć, to załóżę! – odparła, po czym założyła ręce za głowę i wyprostowała się.

Kiedy skręcił, wciągnęła na siebie podkoszulek, po czym zarzuciła ramiona na szyję Wallace'a i pisnęła radośnie, odczytując:

– NOWY JORK, NOWA ANGLIA, DROGA NA PÓLNOC.

Po czole ściekał mu pot. Nie mógł logicznie myśleć. Stopami ledwie dotykał pedału gazu, a jednak jechali bardzo szybko. Dotty przysnęła, oparta o jego ramię. Jej włosy łaskotały mu nozdrza. Walcząc z ogarniającą go sennością, trzymał oczy jak najszerzej otwarte.

Gdy tak siedział wyprostowany za kierownicą, nagle dziwna myśl przysłała mu do głowy. Pomyślał sobie, że nawet gdyby zamknął oczy i zdjął ręce z kierownicy, a nogi z pedałów, to i tak, niezależnie od wszystkiego, dojechaliby na miejsce.

4.

Nagle w jego świadomość wdarło się światło poranka. Na tle szarego nieba słońce wyglądało jak rozlane żółtko jaja.

- Jak to jest? – spytała Dotty.
- Co?
- Znaleźć się tak daleko na północy?
- Nie wiem. Niewiele o tym myślałem – przyznał niechętnie.

Dotty roześmiała się radośnie.

– Mnie z tym dobrze. – Wzięła głęboki oddech. – I ładnie pachnie. Jak ubrania na sznurku – czyste i wykrochmalone.

Canny drgnęła gwałtownie na tylnym siedzeniu.

– Mama? – zawołała dziwnym, pełnym paniki głosem.

Dotty uklękła na fotelu i wciągnęła małą na kolana.

– Biedactwo, cała jesteś mokra – westchnęła, wyzymając przemoczoną kurtkę Canny.

– Łód się rozpuścił – wyjaśniła przepaszając Canny.

– Gorączka minęła. – Dotty przytuliła policzek do zmierzwionych włosów małej. Rączka dziecka powędrowała do karku Dotty, do miękkich włosków, które Canny uwielbiała głaskać. – Dobry z ciebie dzieciak, wiesz? – rzekła wtedy Dotty zachrypniętym głosem.

Canny skuliła brudne nogi i umościła się wygodnie w ramionach Dotty.

– Byłaś takim rozkosznym maluchem – westchnęła Dotty.

– Dużo płakałam?

Dotty parsknęła śmiechem.

- Tylko wtedy, gdy patrzyłaś na tatusia. – Znowu się roześmiała.
 - Jak wyglądałam? – dopytywała się Canny.
 - Byłaś najładniejszym dzieckiem, jakie widziałam. Miałaś duże, niebiesciutki oczy i nosek jak guziczek, i usta zupełnie jak okrągłe serduszko. Twoje włosy były miękkie i kręcone, a latem tak jasne, że prawie białe. Gdziekolwiek byliśmy, ludzie mówili, że powinnaś występować w reklamach, taka byłaś ładna.
 - Ciągle jestem ładna? – spytała z nadzieją w głosie Canny.
- Przechyliła głowę i popatrzyła na Dotty.
- Przez chwilę ta przyglądała się jej uważnie.
- Powiedziałabym, że teraz jesteś ładna w inny sposób.
 - Jestem taka ładna jak ty? – zapytała ciszej dziewczynka, a jej buzia wykrzywiła się w grymasie.
 - Jasne, że tak – stwierdziła Dotty.
 - Czy kiedy urosnę, będę wyglądała jak ty? – dociekała Canny.
 - Będiesz wyglądała jak ty – roześmiała się Dotty.
 - Ale ja chcę wyglądać tak jak ty, mamó – zmarszczyła brwi dziewczynka.
- Wallace odchrząknął. Nie rób tego, pomyślał. Nic nie mów. Nie mów jej, że...
- Nie chciałybyś wyglądać tak jak ja, moja mała – stwierdziła gorzko Dotty.
- Chryste, ja sama już nie wyglądam jak ja...

Zdziwił się, gdy Dotty stwierdziła, że znajdują się w New Jersey. Czytała głośno tablice rejestracyjne wszystkich mijających ich samochodów. Oprócz tych z New Jersey i Nowego Jorku widziała też dwa pojazdy z Maine i Connecticut.

- Patrz – szturchnęła go z ożywieniem. – Tam jedzie Vermont.

Wallace wpatrywał się w drogę przed sobą. A jeśli to była ona? A jeśli podniósłby wzrok i ujrzałbyś, po tych wszystkich latach, na pasie obok, i niezależnie od tego, jak szybko by jechał lub w którą stronę by skręcił, ona jechałaby tuż obok. Przed oczyma stanął mu jej granitowy profil na pasie obok – od stanu do stanu, od wybrzeża do wybrzeża...

Gwałtownie skręcił z autostrady w boczną drogę i zatrzymał się dopiero przed małym sklepem spożywczym. Dał Canny dwa dolary i kazał jej kupić trzy pączki i dwa kartoniki mleka. Tuż za ich autem ustawiła się ciężarówka. Kierowca poszedł przez parking za Canny i przytrzymał jej drzwi do sklepu.

- Zaraz wracam – odezwała się Dotty. – Rozprostuję tylko nogi.

Złapał ją za nadgarstek, nim jeszcze zdążyła otworzyć drzwi.

- Musimy porozmawiać, Dot, zanim wróci Canny – powiedział.
- O czym?
- O odwiezieniu jej z powrotem.
- I co dalej? – popatrzyła na niego zimno.

Odwrócił wzrok. Nie był pewien, co chciał powiedzieć.

- No?

Zastanawiał się przez chwilę.

- Co podamy na tej kartce? – zapytał.
- Chyba to, że chcielibyśmy, aby pomogli jej wrócić do rodziny. – Wzruszyła ramionami.
- A niby kto miałby ją tam zwrócić?
- Ludzie, którzy ją znajdują! – odparła ze złością.
- Mówiłaś przecież, że zapomniałaś nazwy miasteczka...
- Jak podam, że to w Massachusetts, ludzie je znajdują. Jakoś się domyślą. –

Popatrzyła na niego. – Chyba że są nienormalni albo co.

Canny podbiegła do auta i wręczyła Dotty kartonik mleka i pączki. Kiedy zaczęła otwierać drzwi, Wallace pokręcił przecząco głową.

- Mama i ja rozmawiamy – wyjaśnił. – To prywatna rozmowa.
- Nie będę słuchać – powiedziała Canny.
- Zaczekaj tam – polecił jej. – Idź, usiądź sobie na wzgórzu i zjedz pączka.
- Nie! Trawa jest mokra! Zimno mi, tatusiu – jęczała, przytrzymując kartonik z mlekiem pod brodą, tak, by móc otworzyć drzwi.

Wallace wyciągnął rękę i je zatrzasnął. Canny wpatrywała się w niego z napięciem.

- Idź tam – powiedział, wskazując porośniętą trawą pagórek nad szosą.

Patrzył, jak mała wspina się na zbocze i siada twarzą do auta.

- No i? – zapytała Dotty rozbawiona jego niezwykłą surowością w stosunku do Canny. – Co jeszcze chcesz wiedzieć?

Wbił spojrzenie w poważną, małą dziewczynkę, drżącą i jedzącą pączka.

- A jeśli ci ludzie, którzy ją znajdują, wcale nie będą chcieli jej zawieźć do domu? – Popatrzył na Dotty. W jego głosie brzmiał niepokój – A jeśli ją zatrzymają?

Dotty wbiła słomkę w swój kartonik z mlekiem.

– Może to będą jacyś mili ludzie – powiedziała pomiędzy kolejnymi łykami.
– Jakaś miła rodzina z dziećmi, psem i ładnym domem.

Ugryzła pączka, a okruch ciasta przylepił się do kącika jej ust.

– A jeśli nie będą? Jeśli nie będą mili, znudzą się nią i wyrzucą ją gdzieś po drodze, i wtedy znajdą ją inni, i jeśli się okaże, że oni też jej nie lubią, i wciąż będą ją wyrzucać i przygarniać... – W jego oczach pojawił się strach. – I przez ten czas kartka się pobrudzi, i nikt nie będzie mógł jej przeczytać, a może nawet się zgubi...

– No to może zostawię cię razem z nią, Aubie? Kiedy będą was przygarniać i wyrzucać, ty zajmiesz się kartką. – Zgniotła kartonik i wyssała resztkę mleka. – Napiszę kartkę drukowanymi literami – dodała z pogardą. – Dużymi literami, żebyś i ty mógł przeczytać.

Przez chwilę zastanawiał się nad tym, po czym potrząsnął głową.

– Nic z tego nie będzie – stwierdził ponuro. – Nikt nie chce dorosłego faceta w rodzinie.

Dotty zakrztusiła się mlekiem i rozkaszała tak gwałtownie, że jej oczy wypełniły się łzami, a z nosa pocięła jasna wydzielina.

– A jeśli samochód się zepsuje? – ciągnął. – Co wtedy zrobisz? A może pojedziemy prosto do Hollywood, we trójkę? Mógłbym jeździć na jarmarki, a ty znalazłabyś jakieś mieszkanie i występowałabyś w filmach, miała brylanty i futra, i może tam nie trzeba metryki, żeby dziecko poszło do szkoły. Kupiłbym Canny takie fikuśne pudełko na drugie śniadanie i termos do kompletu – może taki z Kopicuszkciem, i każdego ranka robiłbym jej kanapki i pakował je do torebek, i odprowadzałbym ją potem do szkoły...

Zamrugał gwałtownie. Dotty biegła już po drodze. Nawet nie zauważył, kiedy wyskoczyła z auta.

– Canny! – krzyknął i z otwartymi drzwiami ruszył wzdłuż pobocza. – Wsiadaj! Szybko!

Canny już zbiegała ze wzgórza. Wdrapała się do samochodu i zatrzasnęła za sobą drzwi. Kilkadziesiąt metrów przed nimi Dotty z wyciągniętym kciukiem maszerowała poboczem.

– Skurwysyn! – wrzeszczała na każdy mijający ją samochód.

Wallace zwolnił nieco, dostosowując się do jej kroku.

– Wynoście się stąd! – wrzasnęła na nich.

– Mamo! – zawołała Canny.

Stała na fotelu, po czym wychyliła się przez okno i zarzuciła ręce na szyję Dotty.

– Ty bachorze! – krzyknęła Dotty, usiłując oderwać ją od siebie. – Puść mnie... Natychmiast mnie puść... Proszę....

Canny znowu musiała poczekać poza autem. Tym razem stała przy drzwiach od strony Wallace'a i trzymała się klamki. Okna samochodu były zamknięte i zaczynały zaparowywać od szlochania Dotty. Dziewczyna zmusiła Wallace'a, aby obiecał jej, że pojedą prosto do Massachusetts i zostawią Canny w pierwszym lepszym kościele.

- A co potem? – zapytała przez szyby.
- Potem zawrócimy i wyruszymy do Hollywood – powtórzył cicho.

Canny zapukała w szybę.

- Mówiliście minutę – przypomniała im.
- Obiecujesz? – Dotty chlipnęła spazmatycznie.

Wallace skinął głową.

Canny zaczęła stukać palcami w okno.

- Proszę, tatusiu! – zawołała z twarzą przyciśniętą do szyby.

- Obiecuję – powiedział.
- Przysięgasz? Przysięgasz na życie swojej żony?
- Przysięgam.

– To się nie liczy – stwierdziła Dotty i wydmuchała nos. – Mówiłeś, że i tak jej nie lubiłeś.

- Mówiłem, że ona mnie nie lubiła.

Sięgnął do tyłu i odblokował drzwi, żeby Canny mogła wejść.

- Trzymaj – powiedział, podając małej serwetkę. – Masz lukier na twarzy.

Canny posłusznie wytarła usta i policzki. Kipiała z wściekłości, ale nie odważyła się odezwać. Wiedziała, że nie powinna się wychylać, gdy Dotty miała jeden ze swoich napadów.

– Jak jej było na imię? – Dotty nałożyła szminkę na usta i przytknęła do nich chusteczkę. – Zapomniałam.

Wallace włączył się do ruchu.

- Hyacinth – powiedział po chwili.

Dotty ukłękła na fotelu i uśmiechnęła się szeroko.

- Powiedz, jak miała na nazwisko. Uwielbiam sposób, w jaki to mówisz.
- Kluggs – odparł i skrzywił się lekko, a ona zachichotała.
- Jak wyglądała?
- Chyba nie najlepiej.

– Powiedz, jak! – pisnęła radośnie.

Canny spoglądała raz na niego, raz na nią.

– Nie wiem. Była niska. – Wzruszył ramionami. W lusterku napotkał spojrzenie Canny. Wiedział, że marzyła o tym, aby zapytać, kim jest Hyacinth, ale nie miała odwagi zepsuć radosnego nastroju Dotty.

– A jej zęby?

– Były krzywe i wystające – odparł cicho.

– A jak chodziła? Powiedz.

– Jak kaczką... – Popatrzył na nią zmieszany. – Mówiłem ci to setki razy, Dotty.

– Tak, ale lubię, kiedy o tym opowiadasz. – Usiadła, objęła nogi rękami i oparła brodę na kolanach. Wyglądała teraz jak mała dziewczynka, z pewnością młodsza od siedzącego za nimi bystrookiego dziecka. – To jak rodzina, której nie znam. Jak gdyby była jakąś moją nigdy nie widzianą babcią i ty byś mi odpowiadał o niej i o innych, żebym wiedziała, kto jest kim... Rozumiesz, o co mi chodzi? – zapytała z rozmarzeniem w głosie.

– Nie.

5.

Do południa blade słońce zniknęło za niskimi, szarymi chmurami. Na przedniej szybie pojawiły się drobne krople, a działała jedynie wycieraczka po stronie Wallace'a. Po kilku kilometrach auto całkiem przemokło od deszczu i zrobiło się w nim przeraźliwie zimno. Ogrzewanie nie działało już od dwóch lat.

– Chryste – powiedziała Dotty, drżąc na całym ciele. Sięgnęła na leżący na tylnym siedzeniu koc. – Zapomniałam już, jak tu bywa cholernie zimno. A przecież mamy czerwiec.

Rzuciła koc na podłogę. Był mokry od rozpuszczonego lodu. Canny zaczęła szczerkać zębami. Dojeżdżali właśnie do Gwiazdowego Motelu. Wallace spojrzął pytająco na Dotty, a ona skinęła głową, więc zjechał na parking. Małe motele się do tego nie nadawały. Ten wyglądał na wystarczająco duży.

– Chyba nikt się nie wyprowadza – stwierdziła Dotty.

– Ktoś idzie. – Canny wskazała palcem ubranego w trzyczęściowy garnitur wysokiego mężczyznę z podkrążonymi oczami, który pojawił się właśnie w głównym wejściu.

- Nie ma walizek – mruknął Wallace. – Pewnie zostaje.
- Zawsze mogę spróbować – westchnęła Dotty i wyszła z auta.

Pobiegła w kierunku mężczyzny, który postawił na ziemi aktówkę i grzebał po kieszeniach, szukając w nich kluczy.

- Dzień dobry – zawołała radośnie. – Mam nadzieję, że się panu u nas podobało.
- Bardzo – mruknął niewyraźnie mężczyzna.
- Lepiej pójde i posprzątam pokój, zanim pan wróci – stwierdziła.
- Wymeldowałem się – powiedział, otwierając drzwi.
- Szkoda. – Dotty zadrżała i objęła się rękami. – Który to pokój?
- Dwieście dwanaście – odparł.
- No, tak! Pan Jones! – wykrzyknęła.
- Carleton – poprawił ją, po czym wszedł do samochodu, akurat w chwili, gdy mżawka przerodziła się w prawdziwą ulewę.

Wallace oparł głowę na siedzeniu, a na jego ustach pojawił się niewyraźny uśmiezek. Teraz Dotty powie recepcjoniście, że dojechała tu do męża, pana Carletona, który zdecydował się pozostać w pokoju dwieście dwanaście przez jeszcze jedną dobę. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, jak zazwyczaj, recepcjonista wręczy jej klucz, a kiedy tylko Dotty znajdzie się w pokoju, weźmie prysznic. Jeżeli okaże się, że z pokoju jest dodatkowe wyjście na zewnątrz i że nikt nie kręci się w pobliżu, Dotty zabierze wszystko, co zdoła – szklanki, mydło, buteleczki z szamponem, mleczko do ciała, płyn do płukania ust dla siebie i Canny; także rzeczy do sprzedania na pchlim targu – ręczniki, maty łazienkowe, prześcieradła, koce, poduszki, pościel, czasem nawet obrazki ze ścian i abażury. Kiedyś, gdy najadła się proszków, zabrała nawet wiszące w oknach zasłony. Wallace zachichotał cicho i zamknął oczy.

- Tatusiu? – odezwała się z tyłu Canny. – Pamiętasz tego faceta? Tego, którego uderzyłam?
- Tak – mruknął niewyraźnie. Był tak śpiący, że nie czuł już ciężaru rąk ani nóg.
- Myślisz, że nie żyje?
- Żyje?
- Na pewno? – Jej głos zdawał się dobiegać z bardzo daleka.
- Tak – wymamrotał, a głowa opadła mu na pierś.
- Dotknął nieprzyzwoitego miejsca, tatusiu.

Wallace gwałtownie szarpnął głową.

– Może musiał do łazienki – powiedział z zakłopotaniem.

Ostatnio Canny domagała się informacji o pszczołkach i motylkach.

Nigdy jednak nie pytała o to Dotty, zawsze jego. Teraz patrzyła na niego w lusterku. Wykrzywiła usta i odwróciła wzrok.

– Mojego nieprzyzwoitego miejsca – powiedziała bezradnie.

Wallace nie wiedział, co odpowiedzieć. Pochylił się i wyczyścił palcem kawałek zaparowanej szyby. Podrapał się po piersi. Czuł się brudny. Podniósł ramię i pociągnął nosem. Jego koszula śmierdziała potem.

– Szlag by to – mruknął. – Za długo to trwa.

Canny pochyliła się w jego kierunku. Od niej także czuć było zjełczały, stęchły pot. Na szyi miała obwódkę z brudu. Jej ręce też były brudne, a pod obgryzionymi paznokciami utworzyły się ciemne podkówki.

– To nie moja wina, tato...

– Wiem.

– Bolało!

– Przestań! – wydusił z siebie.

– Odepchnęłam jego rękę.

– Przestań – ostrzegł ją.

Potrząsała głową i potarł zarośnięty podbródek. Bolały go zęby, te nieliczne, które mu zostały.

– Nieładnie o tym mówić – powiedział ochrypłym głosem.

Wstydził się na nią spojrzeć. Z wyjątkiem stukotu deszczu o dach, w aucie było cicho i zimno jak w grobie.

Czasem Wallace czuł się tak, jakby miał sto lat, nie zaś pięćdziesiąt dwa czy trzy – sam już dobrze nie wiedział, ile. Czasem tak bardzo bał się śmierci, że samo to słowo wywoływało w nim dreszcze. Kiedy indziej, tak jak teraz, odnosił dziwne wrażenie, że otacza go szklana bańka, i wszystko, co się dzieje, tak naprawdę przytrafia się komuś zupełnie innemu. Tak było dobrze, bardzo dobrze. Nic nie raniło. Nic nie miało znaczenia. Nieraz chłopcy budzili się w nocy, krzyczeli głośno i przytulali się do niego, mamrocząc coś o duchach. Nieboszczyki umierają tylko raz, odzywała się wtedy Hyacinth z pogrążonego w ciemnościach łóżka, sama niczym duch, niczym coś, co czeka, by inni przyłączyli się do niego w śmierci.

– Ktoś idzie – zauważył.

Zesztywniał, gdy w drzwiach motelu pojawiła się kobieta w czarnych spodniach i fioletowej kurtce, i nagle uświadomił sobie, że to Dotty w stroju, którego wcześniej nie widział. Mokre warkoczyki na jej głowie podskakiwały

gwałtownie, gdy biegła przez parking, ciągnąc za sobą walizkę w czerwonej kratce. Gniewnie machnęła w stronę samochodu. Wallace natychmiast zapuścił silnik i wrzucił gaz, po czym podjechał do dziewczyny, wciąż nie spuszczać wzroku z motelu.

– Otwórz drzwi! – wrzasnęła do Canny, która wśliznęła się na fotel z przodu, otworzyła drzwi, po czym szybko wróciła na tylne siedzenie, podczas gdy Dotty wrzuciła walizkę i wskoczyła za nią do auta.

Śmiała się tak bardzo, że dopiero trzydzieści kilometrów później opowiedziała im całą historię.

Gdy wykąpała się w pokoju pana Carletona, usłyszała głosy na korytarzu. Małżeństwo z pokoju dwieście dziesięć kłóciło się, gdzie zostawić bagaż, gdy zejdą na obiad. Żona chciała zanieść rzeczy do samochodu. Mąż powiedział, że jest upierdliwa. Po co mają moknąć, niosąc walizki do samochodu, skoro recepcjonista może przysłać tu kogoś. Gdy oboje zniknęli, Dotty otworzyła drzwi i wciągnęła największą walizkę do pokoju dwieście dwanaście. Opróżniła ją, zatrzymując jedynie ubranie, które miała na sobie. Reszta ubrań była do dupy, powiedziała. Następnie zabrała koce z łóżka pana Carletona, czyste ręczniki, i „to”, roześmiała się, otwierając walizkę. Wyciągnęła z niej ha wpół opróżnioną kwartę szkockiej whisky.

– Pozdrowienia od pana Carletona. – Śmiejąc się, wsunęła butelkę pod fotel. Podała Canny jeden z koców, a drugim przykryła sobie nogi.

Pójdzie za dziesięć dorców, pomyślał Wallace, obrzucając walizkę uważnym spojrzeniem. Torby podróżne szybko schodziły na pchlich targach.

– Zawsze chciałam mieć ładną walizkę – powiedziała Dotty. – Tam... – Wyciągnęła nagle rękę. – Tam musimy skręcić.

– Dokąd jedziemy? – zapytała Canny, gdy auto wjechało na autostradę.

– Po prostu jedziemy – westchnęła Dotty i zamknęła oczy.

– Zawsze tak mówisz – rzekła Canny.

– Wiem – znowu westchnęła Dotty.

– Kochasz mnie, mamó?

– Oczywiście, że tak – odparła sennie.

Na tablicy napisano: „WITAMY W MASSACHUSETTS”.

Deszcz przestał padać i promienie słońca przedarły się przez ciężkie chmury, ale wciąż było bardzo zimno. Zjechali z autostrady w Worcester i zatrzymali się przy

drogerii, gdzie Dotty kupiła notatnik i kilka kopert. Następnie zaparkowali przy stacji benzynowej, żeby umyć Canny. Wallace przyniósł klucz do damskiej toalety.

– Idźcie do męskiej – poleciła mu Dotty, gryząc koniuszek długopisu. – Muszę *to* napisać i potrzebuję spokoju. – Popatrzyła na Wallace'a. – Który dzisiaj?

– Któryś tam czerwca – odparł.

– Chryste, ale z ciebie pożytek!

Smród w męskiej toalecie był na tyle intensywny, że Wallace musiał zostawić otwarte drzwi. Zatkanął umywalkę zwiniętymi papierowymi ręcznikami i kazał Canny zamoczyć ręce, podczas gdy czyścił jej buzię i szyję jednym z hotelowych ręczników. Następnie podniósł małą, żeby mogła zanurzyć stopy w umywalce. Gdy skończyli, woda miała całkiem czarny kolor. Właśnie wycierał stopy dziewczynki ostatnim suchym kawałkiem ręcznika, kiedy z budynku stacji dotarły do nich męskie głosy. Wallace widział, że Canny próbuje mu coś powiedzieć. Wciąż ciągnęła go za koszulę. Do dystrybutorów podjechały dwa auta – smród z rur wydechowych dotarł aż tutaj. Dotty wciąż jeszcze pisała. Wallace delikatnie wytarł ręcznikiem gruby strup na kolanie Canny. Przyjrzał mu się uważnie – część strupa była czerwona i podbiegła ropą. Jutro całe kolano będzie zainfekowane.

– Tatusiu! Tatusiu!

Jutro ktoś inny będzie się tym przejmował. Ktoś inny się tym zajmie.

Szturchnęła go w ramię. Przestań, miał ochotę jej powiedzieć. Nic nie mów. Nie każ mi myśleć. Nie mogę myśleć. Nie chcę niczego słyszeć ani niczego mówić. Trzeba zrobić to, co trzeba; to, co powinno być zrobione dawno, dawno temu, zanim jego serce... zanim się do niej przywiązało.

– A moje włosy? – zapytała.

– Umywalka jest za mała – odparł szorstko i wyciągnął grzebień, żeby rozczesać jej kołtuny. Niektóre były wielkości kurzych jaj.

– Aua! – jęknęła, gdy zaczął rozdzielać palcami największy kołtun. W jej oczach pojawiły się łzy. – Tatusiu – powiedziała, gdy przykucnęła, aby rozplątać następny kołtun. – Chyba znowu mam robactwo.

Ustawił ją tak, aby padało na nią światło z zewnątrz, i rozdzielił jej włosy. Canny wstrzymała oddech i pochyliła głowę.

– Nie widzę żadnego robactwa – mruknął, rozdzielając pasmo po pasmie.

Canny odetchnęła z ulgą.

– A gnidy? – zapytała.

– Też nie. – Zaczesał z powrotem jej włosy, układając wierzchnią warstwę tak, żeby zasłonić resztę kołtunów.

Złapał za ręcznik i wraz z małą popędził do samochodu. Dotty zakleiła kopertę, położyła ją na desce rozdzielczej i puściła do niego oczko. Wallace usiadł za kierownicą i zawahał się, zanim przekręcił kluczyk w stacyjce. Nagle ogarnęło go to samo uczucie co zawsze, gdy odjeżdżali z jakiegoś miejsca – miał wrażenie, że o czymś zapomniał. O czymś istotnym. O czymś, co stanowiło część jego samego. Silnik zawył niechętnie.

Podczas jazdy kierownica drżała pod zaciśniętymi dłońmi Wallace'a. Ramiona całkiem mu zdrętwiały. Nie mów. Nie myśl. Głosy Dotty i Canny fruwały ponad jego nieruchomym spojrzeniem.

- Czy mogę usiąść z przodu, skoro jestem już czysta?
- Zaraz.
- Jeść mi się chce.
- Przed chwilą jadłaś!
- Ale kazałaś mi jeść za szybko.
- Skręć tu – siadaj, Canny.
- Jesteś na mnie zła, mamó?
- Jasne, że nie – teraz skręć w lewo. Chryste, Canny! Wisisz na mnie.
- Szukamy jakiegoś miejsca? Bo tu jest tablica! Patrz!
- Przymknij się, Canny!
- Chciałam tylko pomóc!
- Lepiej nie pomagaj. Na prawo! Na prawo! Chryste Panie, zatrzymaj się wreszcie!

Dotty darła się tak głośno, że żyły na jej szyi nabrzmiały jak glisty. Wallace gwałtownie nacisnął na hamulec.

- To kościół! – wykrzyknęła uszczęśliwiona Canny.

Już od dawna nudziła ich, żeby zawieźli ją do kościoła. Nigdy jeszcze tam nie była.

Dotty tłumaczyła jej właśnie, dlaczego nie mogą iść do kościoła razem z nią. Musi zrobić to sama. To bardzo ważne.

Gdy drzwi się otworzyły, Wallace patrzył wprost przed siebie. Kątem oka widział, jak Canny wychodzi z samochodu. Była taka drobna. Jej włosy wznosiły się na wietrze, sztywno niczym przyklepana peruka. Wiedział, że gdyby przyjrzał się uważniej, ujrzałby na jej nogach gęsią skórkę. Naciągnął daszek czapki na oczy.

– Poczekasz chwilę w środku, a kiedy ktoś do ciebie podejdzie, podasz mu ten list – wyjaśniała jej Dotty.

– Ale dlaczego? – zapytała Canny i wetknęła głowę przez okno od strony Wallace'a.

– Żeby tatuś mógł dostać pracę – odparła niecierpliwie Dotty.

Zesztywniał, gdy tak rozmawiali po obu jego stronach.

– Ale dlaczego tatuś sam tego nie zrobi? – chciała wiedzieć Canny.

– Bo jest cholernie nieśmiały. Przecież sama wiesz.

Canny popatrzyła na kopertę, którą ścisnęła w dłoni.

– A co to za praca? – zapytała.

– Sprzątanie cholernego kościoła, Canny! A teraz idź tam wreszcie!

– Poczekacie na mnie?

– Pewnie, że poczekamy. – Dotty wywróciła oczami. – Pośpiesz się, zanim ktoś, inny sprzątnie nam sprzed nosa tę cholerną pracę.

Canny oparła się o drzwi auta.

– Będę ci mogła pomóc w sprzątaniu, tatusiu? – wyszeptała w ucho Wallace'a.

Skinął głową i przełknął ślinę. Dotty drgnęła niespokojnie.

– Pośpiesz się! – powtórzyła.

Patrzyli oboje, jak Canny biegnie w kierunku szerokich granitowych schodów, prowadzących przez stromy pagórek aż do niewielkiego, kamiennego kościoła.

– Przygotuj się – syknęła Dotty. – Kiedy tylko wejdzie do środka, jedź.

Z wahaniem wyciągnęła przed siebie nogę.

– Co jest w liście? – wyszeptał.

Dotty wpatrywała się w schody, po których kroczyła Canny. Nerwowo zwilżyła wargi.

– Że to się stało w jakimś miasteczku w Massachusetts, pięć lat temu, i że w tym domu była duża okrągła weranda, i że nam przykro i nie chcemy żadnych kłopotów – odparła.

Na górnym schodku Canny odwróciła się i pomachała kopertą, uśmiechając się do nich. Dotty także jej pomachała i odetchnęła głęboko.

– Przygotuj się – powiedziała. Jej twarz nie wyrażała żadnych uczuć.

Przyglądał się, jak Canny podchodzi do szerokich dębowych drzwi. Zamknął oczy i zadrżał, gdy w jego piersi i gardle narastał zdławiony krzyk, szloch o takim natężeniu, tak bolesny, że Wallace poczuł się tak, jakby umierał. Był pewien, że

jakiś istotny organ został właśnie wyrwany z jego ciała, wyciśnięty z krwi i pozatkowany.

– Cholera! – jęknęła Dotty i przechyliła się przez niego tak, że dźgnęła go łokciem w kroczce. – Mocniej! – zawołała przez okno.

– Zamknięte! – wrzasnęła Canny.

– Niech to szlag! – wydarła się Dotty. – Naciśnij obiema rękami. Mocniej! Mocniej! Poradzisz sobie.

– Nie mogę! – zawołała Canny. – Nie chcą się otworzyć.

– Ruszaj! – Dotty powróciła do poprzedniej pozycji. Siedziała teraz sztywno na fotelu. – Ruszaj!

Najpierw pomyślał, że mówi do Canny, ale chwilę później wbiła mu krwisto-czerwone paznokcie w przegub.

– Ruszaj! Ruszaj, cholera! Jedź!

Otworzył oczy i popatrzył na nią. Gdzieś głęboko pod jego czaszką wciąż tkwił ten szloch. Wallace nie mógł myśleć. Nawet dobrze nie wiedział, kim jest ta kobieta, która na niego wrzeszczała i potrząsała jego ramieniem, kobieta o długiej, po-fałdowanej twarzy, jak gdyby odbitej w jednym z tych dziwacznych luster w wesołym miasteczku.

– Nie siedź tak i nie gap się na mnie – jęczała. – Jedźmy! To nasza szansa! – Wyrzuciła pięścią o deskę rozdzielczą. – Włącz ten pieprzony silnik!

Canny z wahaniem zeszła ze schodka. Przywarła do poręczy z kutego żelaza i wciąż odwracała się przez ramię.

Nagle zza rogu wyłonił się starszawy ksiądz w długiej, czarnej sutannie i miękkim, ciemnym nakryciu głowy. Szedł powoli, spokojnie, z rękami założonymi z tyłu i spojrzeniem utkwionym w ziemi. Jeszcze nie zauważył dziewczynki.

– Proszę pana! – wrzasnęła Canny i pomachała kopertą, wbiegając z powrotem po schodach.

– Cholera – mruknęła Dotty, gdy mała przebiegła przez trawnik i wręczyła księdzu list. Pokazała palcem kościół, a potem samochód. Ksiądz pochylił się nad dziewczynką i uśmiechnął się do niej. Jego oblicze spoważniało, gdy przenosił spojrzenie z Canny na zniszczone auto u podnóża pagórka. Wyprostował się i odwrócił kopertę. Znowu na nich popatrzył.

– Nie siedź tak – błagała Dotty. – Zrób coś!

Wallace uśmiechnął się bezradnie. Po jego policzkach spływały łzy. Uniósł dłoń do ust i zaszlochał.

– Zapłacisz mi za to, pieprzony głupi kutasie! – wyrzuciła z siebie.

Wyskoczyła z samochodu i wbiegła po schodkach.

Wallace przechylił głowę, obserwując jej swobodny krok i sposób, w jaki położyła rękę na głowce Canny – zupełnie, jak gdyby właśnie tak należało zrobić, jak gdyby nie miało stać się nic złego.

Dotty mówiła, a ksiądz kiwał głową. Następnie pogłaskał Canny po włosach i się roześmiał. Dotty także się zaśmiała, po czym pomachała starcowi na do widzenia. Wciąż trzymając rękę na ramieniu Canny, popchnęła małą w stronę samochodu.

Otworzyła drzwi i wrzuciła kopertę na siedzenie.

– Jeszcze raz dziękujemy – zawołała ponad dachem wozu.

Ksiądz pomachał do nich. Canny wśliznęła się do auta i usiadła tuż za Wallacem.

– Nie powinieneś był zmieniać zdania, tatusiu. On bardzo chciał cię zatrudnić. – Roześmiała się i złapała go za ucho. – Powiedziałam mu, że jesteśmy w strasznym położeniu i zrobimy wszystko, żeby nie trafić do więzienia.

Mrugnęła do niego w lusterku, a on próbował przesłać jej śmiech, stać go było jednak tylko na dziwaczny grymas.

– Ruszaj! – poleciła mu Dotty, drąc kopertę na kawałki. – Co jeszcze mi powiedziałeś? – zapytała dziewczynkę pełnym napięcia głosem, gdy minęli kościół.

– Spytał, skąd jesteśmy, a ja odpowiedziałam, że zewsząd, a on na to: „Każdy jest z jakiegoś miejsca”, a ja powiedziałam: „My nie. Nigdy nie siedzimy w jednym miejscu zbyt długo i...”

– Strasznie dużo gadasz jak na taką małą dziewczynkę – warknęła Dotty. Złapała Canny za cienki przegub i szarpnęła ją mocno. Miała całkiem białą twarz, a usta szare i zaciśnięte. – Chcesz, żebyśmy zginęli?

– Mówiłaś, że tatuś potrzebuje pracy!

– Od tej chwili trzymaj gębę na kłódkę. – Dotty z obrzydzeniem odepchnęła rękę dziewczynki.

– Co zrobiłam źle, tatusiu? Dlaczego ona się na mnie wścieka? – Canny położyła się na siedzeniu i zaszlochała. – Chciałam tylko pomóc...

NA PÓLNOC, głosiła tablica pod pełnym chmur niebem.

– Dokąd teraz? – spytał Wallace.

Popatrzyła na niego.

– Jedź przed siebie – odparła głosem tak lodowatym, że o nic już więcej nie pytał, nawet nie odważył się westchnąć.

Dotty nadal nie odzywała się do niego. Jedli pizzę w samochodzie. Tuż za restauracją znajdował się staw z kaczkami. Canny zawięła okruszki w chusteczkę, po czym pobiegła nakarmić ptaki.

– Zostaw mi swoje okruszki – krzyknęła do Dotty, która nie skończyła jeszcze jeść.

Ta pizza to był pomysł Wallace'a. Zamówili ulubiony rodzaj Dotty, pepperoni, oraz piwo. Dotty kończyła właśnie drugi kubek. Odchyliła głowę i wysączyła resztki napoju. Nie otwierając oczu, wyrzuciła kubek przez okno, po czym nagle głośno beknęła.

– Chcesz jeszcze? – zapytał ją ciekawym głosem.

Pokręciła przecząco głową i ponownie beknęła. Pociągnęła nosem i potarła go gwałtownie. Wallace zerknął na nią szybko, by sprawdzić, czy płacze. Dotty otworzyła jedno oko, po czym zgarbiła się i oparła o drzwi.

– Przepraszam – powiedział. – Przestraszyłem się.

– Nic już nie mów – odparła głuchym głosem, który zawsze go przerażał. – Zapomnij o tym.

– Ale...

– Ale już wystarczy. – Usiadła i zaczęła czyścić deskę rozdzielczą. Strząsnęła okruszki pizzy do popielniczki, po czym ze złośliwym uśmiechem popatrzyła na Canny.

– Co chcesz teraz robić? – zapytał.

Dotty objęła się dłońmi w pasie.

– Powiem ci, czego nie chcę robić – westchnęła i wygięła grzbiet. – Nie chcę już sypiać w tym gównianym wozie.

– Znajdziemy coś – powiedział z nadzieją w głosie. – Może choć na dwie noce, zanim...

– Nie, Aubie – przerwała mu z naciskiem. – Chcę jechać do motelu i porządnie się wyspać. – Spojrzała na brzeg sadzawki, gdzie Canny karmiła stado kaczek. – Potem będziesz wolny. I ty, i ona. Zmywam się, Aubie.

Gapił się na nią. Otworzył szeroko usta i kiwał głową, usiłując coś powiedzieć.

– Ja... ja... – Potrząsnęła tylko głową i chrząknęła z rozgoryczeniem.

– Cholera! – jęknęła Dotty. – Przez ciebie czuję się winna, Aubie.

– Przepraszam – szepnął.

– Nie rozumiesz, prawda? Prawda?

Wallace kiwnął głową.

– Wściekłaś się na mnie – powiedział cicho.

– Tak, ale myślisz, że tylko tak pieprzę, co? Nie sądzisz, że mówię to poważnie?

Znowu skinął głową, po czym zamyślił się i pokręcił nią z zapalem.

– Co to ma znaczyć? – zapytała z niesmakiem.

Wallace wzruszył ramionami. Wszystko mu się całkiem poplątało. Nie umiał powiedzieć, czy Doty jest wściekła, czy nie. Jej słowa brzmiały tak, jakby mówiła przez sen.

– Ty umiesz myśleć tylko o tym, co dzieje się w tej chwili – ciągnęła. – Jesteś taki sam jak ona, jak małe dziecko. Wszystko zostawiasz na mojej głowie. Wszystko. A kiedy trzeba coś zrobić, zamieniasz się w słup soli...

Nerwowo kręcił guzik koszuli. Nagle uniósł wzrok i zacisnął pięść.

– Znajdę jakieś wyjście! – krzyknął głośno. – Obiecuję!

Zmrużył oczy i z całych sił zacisnął szczękę.

– Diabła tam, Aubie – roześmiała się gorzko. – Przecież ty nie znalazłbyś wyjścia nawet z pieprzonej budki telefonicznej.

6.

Jeszcze jej pokaże. Zaplanował, że wróci na południe. Od pobytu na tej dalekiej północy dostawał trzęsionki. Wallace zgarbił się nad kierownicą. Modlił się w duchu, żeby Doty się nagle nie ocknęła i nie zobaczyła, że się zgubili.

Jak tylko zapadła w sen, zjechał z autostrady i ruszył jak szalony wzdłuż, jak sądził, drogi prowadzącej na południe. Wciąż jednak krążył beznadziejnie w kółko.

Teraz widział przed sobą niewielką restaurację oświetloną neonem „Pizza nad stawem”. Gdy tamtędy przejeżdżali, Wallace wstrzymał oddech. Nie, pocieszał sam siebie, to nie może być ta sama. Przecież niejedna pizzeria znajduje się w pobliżu stawu. Pewnie są ich setki.

– Tatusiu! – uprzedziła go Canny, bo też to dostrzegła, ale umilkła, widząc jego spojrzenie w lusterku.

Włosy Doty powiewały na oparciu fotela. Wciąż miała zamknięte oczy. Oddech dziewczyny był chrapliwy i urywany, jak gdyby śnił się jej jakiś koszmar. Albo, co gorsza, jakby wcale nie spała. Jak gdyby tylko udawała, pomyślał, zerkając na nią. Jakby czekała tylko na jego kolejny błąd, żeby porzucić ich na dobre.

Zbliżali się do rozwidlenia na drodze. Umysł Wallace'a pracował w rytmie silnika, oddech przyspieszył, a ręce były tak spocone, że z trudem kręciły kierownicą. W lewo czy w prawo. W lewo czy w prawo. W prawo... chociaż gdy skręcił, znowu nie pamiętał drogi.

Ostatnie promienie zachodzącego słońca schowały się za ciemne sosnowe lasy, rosnące po obu stronach wąskiej szosy. Przejżdżali teraz obok kwadratowego domku, którego wejście zdobiły choinkowe lampki.

Kilka kilometrów dalej, u podnóża pagórka Wallace ujrzał metalową, aerodynamiczną przyczepę. Do pojazdu przymocowano butle z propanem, a bańka na mleko służyła za schodek.

Canny przycisnęła głowę do fotela Wallace'a.

– Już tu byliśmy – szepnęła.

Właśnie wtedy Dotty drgnęła i wymruczała coś przez sen. Poruszyła się na siedzeniu i oparła kolana o deskę rozdzielczą.

– Znalazłeś coś? – ziewnęła.

– Włączyć ci radio? – zapytał i przekręcił gałkę, zanim dziewczyna zdołała się wyprostować.

Dotty wyciągnęła rękę i wyłączyła odbiornik, po czym popatrzyła przed siebie.

– Gdzie jedziesz, do cholery? – parsknęła.

– Jest! – wykrzyknęła Canny i wyciągnęła rękę ku ręcznie wypisanej, wyblakłej tablicy, która zwisała z przekrzywionego płotu.

DOMKI DO WYNAJĘCIA NA GODZINY – DOBY – TYGODNIE Wallace skręcił z drogi i potoczył się zakurzonym podjazdem, który zakręcał przed zniszczonym wiejskim domem. Dach między wierzchołkami sosen wyglądał jak ciężki koc zawieszony na sznurze do bielizny.

– Chyba żartujesz. – Dotty wyprostowała się i rozejrzała dookoła.

– Gdzie te domki? – spytała Canny.

W ciemności rozległ się skowyt psa. W skrzypiących drzwiach pojawiło się światło i na werandę wyszedł wysoki mężczyzna o szerokich barach. Podeszedł do górnego schodka, gdzie stanął z rękami na biodrach i głową lekko przechyloną na bok.

– Czego chcecie? – rzucił wyzywająco.

Spod werandy wyczołgał się wielki, rudy pies i zaczął gorączkowo obiegać auto. Z jego pyska zwisały strużki flegmy.

– Nie podoba mi się tu – wyszeptała Canny.

– Odpowiedz czy nie? – Mężczyzna zszedł stopień niżej.

- Jedźmy stąd. – Wallace wrzucił wsteczny bieg.
- Ma pan domki do wynajęcia? – krzyknęła Dotty.
- A ile, do cholery? – odwrzasnął.
- Tylko jeden. – Dotty zaśmiała się nerwowo.
- To mam.

Domek spoczywał na żuźlowych ceglach. Znajdował się po drugiej stronie podjazdu, na wprost dużego domu. Schodki do niego zrobiono z sypkiego żuźlu, bez zaprawy murarskiej. Kiedy mężczyzna z trudem otworzył drzwi, ze środka domku buchnął kwaśny smród.

- To będzie pięć dolców – rzekł z nadzieją w głosie mężczyzna.

Gdy przekreślił kontakt, zapaliła się zwisająca z sufitu goła żarówka, jedyne oświetlenie pokoju, ostre i nieprzyjemne. Wallace zmrużył oczy przed nagłym błyskiem. W pomieszczeniu znajdowały się dwa wąskie metalowe łóżka, a leżące na nich wytarte materace zdawały się skręcać spazmatycznie w świetle dyndającej żarówki. Pomiędzy łóżkami stało drewniane krzesło, którego obicie pełne było dziur po papierosach.

Mężczyzna wyciągnął rękę w stronę turkusowej zasłony z plastiku, zakrywającej drzwi w przeciwniejszej ścianie.

– Tam jest kibel – powiedział, odsuwając zasłonę. – Nie spuszczać wody, dopóki nie wyjedziecie. Nie jesteśmy podłączeni do ścieków.

Wallace ponuro pokiwał głową i zacisnął ukrytą w kieszeni dłoń. Nie ma mowy, żeby Dotty chciała tu zostać, pomyślał.

– Kiedy kończy się doba? – spytała Dotty. Zaciągnęła się głęboko papierosem, po czym wypuściła kłęb dymu.

Mężczyzna odwrócił się i wyszczerzył do niej zęby.

- Kiedy zechcecie – odparł.
- Na tej pieprzonej tablicy nie napisano, że to kurnik, proszę pana. – Popatrzyła na niego. – To miał być domek!

Z niesmakiem strząsnęła popiół na podłogę. Mężczyzna patrzył wprost w jej twarz.

– Wie pani co? – powiedział z zimnym błyskiem w błękitnych oczach i lekko wykrzywił usta. – Pani będzie udawać, że to prawdziwy domek, a ja, że z pani miła i uprzejma kobieta.

Papieros Dotty upadł na podłogę. Przydeptała go powoli, przez cały czas nie spuszczać wzroku z mężczyzny. Wallace zrobił krok w stronę drzwi.

- Daj mu te śmierdzące pięć dolców – rzuciła ochryple Dotty.

Po wyjściu mężczyzny przygnębiona rzuciła się na łóżko. Leżała tak ze spojrzeniem utkwionym w krokwiach, podczas gdy Wallace i Canny wnieśli do domku pościel i torbę z ubraniami. Wallace pościelił łóżka najszybciej, jak potrafił. Nigdy dotąd nie czuł się aż tak senny.

Canny i Dotty położyły się w tym samym łóżku. Sprężyny jęczały, gdy Dotty przewracała się w tę i z powrotem. Wallace spał jak zabity.

- Podrapię cię po plecach – powiedziała w ciemnościach Canny.

Dotty milczała.

- Płaczesz, mammo?
- Zaśnij już – odparła stłumionym głosem Dotty.
- Kocham cię – szepnęła Canny.

Kilka godzin później Wallace otworzył szeroko oczy. Dotty stała przed drzwiami, z ramionami skrzyżowanymi na piersi i rozpuszczonymi włosami. Paliła papierosa i spoglądała w kierunku domu, gdzie głośno płakało jakieś dziecko. Na piętrze zapaliły się światła i płacz ucichł. Kiedy światła zgasły, Dotty położyła się do łóżka.

Następnego ranka pokój lśnił od promieni słońca wpadających przez dwa małe okienka. Wallace oparł się na ramieniu i osłonił ręką oczy. Dotty zniknęła. Na łóżku leżała tylko Canny, z głową zakrytą kocem. Wallace pośpiesznie wskoczył w trampki i pobiegł do drzwi. Z ulgą odkrył, że samochód wciąż stoi na swoim miejscu. Podszedł do łóżka Canny i potrząsnął dziewczynką, każąc się jej pośpieszyć.

- Musimy znaleźć mamę, zanim odejdzie za daleko! – krzyknął.

Canny zgarnęła koce z obu łóżek i chwiejnym krokiem ruszyła w stronę auta. Wciąż miała zamknięte oczy.

– Niech to szlag... Niech to szlag... – mamrotał Wallace, włączając silnik i zataczając pętlę.

- Ej! Ej, dokąd to? – usłyszał głos z domu.

– To mama! – krzyknęła Canny, wskazując na werandę, gdzie stała Dotty i machała do nich energicznie.

W środku dom był mały, zagracony i duszny. Największe pomieszczenie stanowiła zaśmiecona kuchnia. Wszędzie wały się zabawki – lalki, wycinanki, połamane kredki. Blisko białej kuchenki gazowej leżały też inne zabawki: zardzewiała kuchenka, a obok zardzewiała zlew z głęboką dziurą z przodu. Wyglądał tak, jak gdyby ktoś kopnął go w ataku furii. Po drugiej stronie kuchenki stała drewniana suszarka, na której schły białe skarpety. Pośrodku pomieszczenia znajdował się

metalowy stolik i cztery metalowe krzesła. Obok słoika dżemu z winogron i brudnego noża na blacie leżał dziecięcy trampek. Pod jednym z krzeseł stał toster, a jego zniszczony sznur podłączony był do jedynego gniazdka w kuchni. Właśnie w tej chwili z tosteru wyskoczyła przypalona kromka chleba. Obok wałały się przydeptane i brudne różowe kapcie.

Ze swojego miejsca w kuchni Wallace widział pokój gościnny i stojącą w nim długą brązową kanapę, umieszczoną na puszkach po pomidorach. Prócz kanapy w pomieszczeniu znajdowała się jeszcze czerwona lampa na zapadającym się stoliku telewizyjnym i kolorowy odbiornik. W oknie nad kanapą do mechanizmu na roletę przypięto zwykle prześcieradło.

– To Alma Huller – przedstawiła Dotty.

Wallace skinął głową.

Gruba kobieta uśmiechnęła się do niego, eksponując szarawe, wystające siekacze. Miała na sobie pasiaste spodnie od piżamy i nieświeży męski podkoszulek, który opinał się na jej ciężarnym brzuchu. Wallace zmusił się, aby patrzeć jej prosto w twarz.

– A to Krystal – ciągnęła Dotty. – Przez K.

Mała dziewczynka nawet na niego nie spojrzała. Siedziała na podłodze i zjadała lukrowane płatki wprost z pudełka.

– Ma cztery lata – wyjaśniła Dotty. – A to Kelly. Ma pięć lat.

Kelly popatrzyła na nich ponuro. Miała takie same przyzrywane, cienkie włosy jak jej matka i podobne wymoczkowate, z grubsza ciosane rysy.

– A to Kyle – roześmiała się Dotty, klepiąc kobietę po brzuchu.

– Albo Kirsten – odparła Alma. – Przez K, oczywiście.

– Właśnie opowiadałam Almie o rodzinie Brandonów, gdzie wszyscy, nazywali się na B – powiedziała Dotty. – Pamiętasz, Aubie? Wtedy, w Keys? Belle i Bobbie Brandon? Byli tam Barbie i Bobbanne, i Bridget, i Babette, i Billy Sue, i jeszcze chłopcy – Baxter, Brendon i Bart. – Dotty pokręciła głową. – Tak, to byli mili ludzie. Kiedyś powiedziałam do Bell – znowu spodziewała się dziecka – powiedziałam do niej: „Belle, jak nazwiesz to małeństwo?”, a ona na to: „Bękart”. A ja: „Chryste, Bell, co za gówniane imię dla dziecka”. A ona, całkiem poważnie: „Muszę je tak nazwać. To nie jest dzieciak Bobby'ego. A poza tym właśnie tak je wszystkie nazywam”.

Alma zatrzęsła się od śmiechu. Tłuszcz na jej ramionach drżał, policzki poczerwieniały, a w oczach pojawiły się łzy.

– Jesteś niemożliwa! – wyjęczała.

– Jedziemy? – spytał Wallace, stukając palcami o daszek czapeczki.

Canny wpatrywała się w pudełko płatków.

– Chodź tu. – Dotty wyciągnęła rękę do dziewczynki. – Chodź i przywitaj się z Kelly. Właśnie mówiłam Kelly, jaka z niej szczęściara, że ma siostrzyczkę. – Dotty uścisnęła Canny. – Opowiadałam jej, jak ty zawsze chciałaś mieć siostrę...

Wallace czyścił samochód. Dochodziło południe, a Dotty wciąż rozmawiała z Alną. Obie siedziały na schodkach werandy i obserwowały, jak trzy dziewczynki bawią się w szkołę.

Canny była nauczycielką. Kelly i Krystal usadowiły się na drewnianych skrzynkach, które Canny przydźwigała z szopy. Teraz wymachiwała kijkiem, a one zgodnie recytowały alfabet. Gdy skończyły, Canny wycelowała kijek w starszą z dziewczynek, Kelly.

– „A” jak...? – zaczęła.

Kelly wzruszyła ramionami.

– Na pewno wiesz – odpowiedziała jej Canny. – Zielony z wierzchu, czerwony w środku...

– Arbuz! – wrzasnęła Kelly, gdy Canny ją uszczypnęła.

– Bardzo dobrze! „B” jak...

– Brocha! – krzyknęła Kelly, zanim jej siostra zdążyła otworzyć usta.

Alma i Dotty zachichotały, ukrywając twarze w dłoniach. Canny podeszła do dziewczynek.

– Panno Kelly, za to słownictwo pójdzie pani natychmiast do kąta!

– Ale tu nie ma kąta! – rozejrzała się wokół Kelly.

– No to udawaj, że jest. – Canny niecierpliwie wyróciła oczami. – O, tam. Schodki do domku to będzie kąt.

Kelly odmaszerowała posłusznie, zachwycona tym, że musi opuścić zajęcia. Usadowiła się na schodkach i rzucała kamykami, podczas gdy Canny i Kelly powtarzały alfabet.

– D! – obwieściła głośno Canny.

Krystal zamyśliła się głęboko. Przygryzła wargę i zamknęła oczy. Wallace znieruchomiał.

– Dudek – szepnął. On i Canny nauczyli się wielu słów z „Ulicy Sezamkowej”.

– Canny jest bystra – zauważyła Alma.

– Jest podobna do mnie – Dotty rozciągnęła się na schodkach. – Dobrze się dostosowuje.

– Co to znaczy? – spytała Alma i zmrużyła bezmyślne oczy, wpatrując się w komara, który wkuł jej się w ramię. Trzepnęła go ręką, po czym zlizwała krew.

– Dobrze sobie radzi z nowymi ludźmi – wyjaśniła Dotty. – Widzisz, jak dobrze się bawi z twoimi dziewczynkami, zupełnie, jakby znała je już od dawna.

– Kelly nie ma żadnych przyjaciółek. Jest zbyt podobna do ojca – westchnęła Alma. – Mają taki cholerny temperament...

– „K” jak...? – wrzasnęła radośnie Canny.

Jak dotąd Krystal dobrze sobie radziła, jednak teraz pokręciła przecząco głową. Jej starsza siostra roześmiała się złośliwie.

– To proste – uśmiechnęła się Canny. Pochyliła się nad Krystal i uniosła brodę dziewczynki. – Tak samo jak ty. „K” jak...

– Kurwa – zaskrzeczała Kelly ze schodków. – Kretyńska, krowiasta kurwa jak Krystal.

– Mamo! – zawyła Krystal, a Alma zerwała się z werandy i rąbnęła Kelly w plecy.

. – Nienawidzę cię! – wrzasnęła dziewczynka i wyrzuciła przed siebie nogę, usiłując kopnąć matkę.

– Ty gówniaro! – krzyknęła z bólem w głosie Alma. – Ty wyrodku! – darła się, tłukąc pięściami w pochyloną głowę dziecka.

Kelly wrzeszczała co sił w płucach, wyzywając matkę od najgorszych. Spod schodów na werandzie wyczołgał się rudy pies i zaczął ujadać na Wallace'a. Nagle na górze zatrzeszczało otwierane okno. Po chwili rozległ się strzał z pistoletu. Wallace opadł na kolana i przywarł do rozgrzanego błotnika samochodu.

– A teraz zamknąć się – ostrzegł Jiggy Huller.

Wychylił się z okna, rozebrany do pasa, a dłoń z bronią wywiesił przez parapet. Pięść Almy ześliznęła się z ramienia Kelly. Krystal skuliła się na drewnianej skrzyni i objęła podrapane nogi. Twarz Canny była blada jak papier. Pies zanurkował w gęste chwasty pod werandą. Wallace skrzywił się, gdy Dotty niespodziewanie wybuchnęła głośnym śmiechem, który przerwał zabójczą ciszę niczym wzbijające się do lotu stado uwolnionych zniecka ptaków.

W domu było gorąco i lepko. Na kolację Alma przygotowała spaghetti. Brudne naczynia leżały w zlewie. Dotty uparła się, że je pozmywa, ale dochodziła już dziesiąta, a ona, Alma i Jiggy wciąż tkwili przy stole. Wallace i Canny siedzieli na kanapie w pokoju gościnnym. Obie dziewczynki Hullerów zasnęły na podłodze.

Obok nich rozłożył się pies, a jego pysk spoczywał u stóp Wallace'a. Za każdym razem, gdy mężczyzna się poruszył, zwierzę obrzucało go uważnym spojrzeniem.

Wallace co chwila odrywał wzrok od ekranu telewizora i obserwował, co dzieje się w kuchni. To było zupełnie jak oglądanie dwóch programów naraz, tyle że w jednym znał bohaterkę wieczoru. Jej skóra promieniała szczęściem. Rozmowa stanowiła świetne lekarstwo dla Dotty, a w dodatku dziewczyna najbardziej na świecie uwielbiała znajdować się w centrum uwagi.

- No to jeszcze jedno – powiedziała Alma, podnosząc się po kolejne piwo.
- Posłuchaj jej tylko – zaśmiał się Huller. – Jeszcze jedno.

Pochylił się ku Dotty, jak gdyby chciał jej zdradzić jakąś tajemnicę, ale mówił głośno i z zadowoleniem.

- Pewnie nie uwierzysz, ale kiedy poznałem Almę, była szczuplejsza od ciebie i nie mogła nawet znieść zapachu piwa!
- A co żeś myślał! – wybuchnęła śmiechem Alma. – Miałam wtedy piętnaście lat!

Stała za krzesłem męża i zaczęła rozmasowywać jego napięte mięśnie. Jiggy oparł głowę na jej obwisłym biuście.

- Miała piętnaście lat i była głupia. Myślała, że dzieci biorą się z całowania.
- Mrugnął do Dotty.
- Nieprawda! – Alma oparła brodę na czubku jego głowy.
- Jej ojciec tak się cieszył, że może się jej pozbyć, że płakał przez całe wesele – śmiał się Jiggy.
- Myślałby kto! – odparła Alma. – Mojemu ojcu omal nie pękło serce, bo zadałam się z tym wariatem.
- Wariatem? – warknął Jiggy i złapał ją za przegub. – Chcesz pogadać o wariatach? Może opowiesz o swoim bracie Carlu, który chciał być wampirem, więc zabijał kurczaki i trzymał ich krew w lodówce?
- Zrobił to tylko raz – odparła z urazą w głosie Alma. – Przynajmniej nie strzelał, kiedy jego dzieciaki rozrabiały!

Dotty patrzyła raz na jedno, raz na drugie.

- Mówiłem ci, że odwykłem od tych wrzasków – odciął się Jiggy. – A ty ich wcale nie uciszasz, tak żebym mógł spać.

Pies uniósł głowę. Młodsza dziewczynka krzyknęła przez sen i przywarła mocniej do leżącej na zatęchłym dywaniku siostry.

– A po co mam je uciszać? – Głos Almy drżał od powstrzymywanych z trudem łez. – Żebyś spał całymi dniami i szłaś się w nocy?

Jiggy złapał ją za ramię i ścisnął je mocno.

– Odpierdol się – warknął, patrząc na nią twardym wzrokiem.

Alma wyrwała mu się i zaczęła płakać.

Wallace przyglądał się z ciekawością, jak Dotty podskoczyła i z cichym okrzykiem znalazła się przy Almie. Chwilę potem krążyła między kobietą i jej mężem, przekazując informacje, szepcząc coś na ucho Jiggy'emu, ściskając Almę. W końcu zaprowadziła ją z powrotem do stołu.

– Problem w tym – powiedziała, siadając pod drugiej stronie Jiggy'ego – że Alma mówi, co jej leży na sercu, a Jiggy jest nadwrażliwy.

– O, tak, bardzo wrażliwy – chlipnęła z przekąsem Alma i otworzyła sobie piwo.

– Naprawdę – upierała się Dotty. – Widzę to po rękach.

Sięgnęła po rękę Hullera. Uniosła ją blisko twarzy i przejechała palcem po wnętrzu jego dłoni.

– Czytasz z rąk? – zainteresowała się Alma.

– Z linii na dłoni – odparła cicho Dotty, nie podnosząc głowy. – Ta długa linia to linia życia, a to linia miłości. – Uniosła wzrok i popatrzyła w oczy Hullera. – Chryste Panie, to najdłuższa, jaką w życiu widziałam.

Huller uśmiechnął się wstydliwie i poczerwieniał.

Wallace stał nad łóżkiem Dotty. Leżąca obok Canny pogrążona była w głębokim śnie. Dotty leżała ze skrzyżowanymi ramionami i zamkniętymi oczyma.

– Nie podobają mi się ci Hullerowie – powiedział.

– Tobie nikt się nie podoba – mruknęła i odwróciła się do niego tyłem.

– Kiedy wyjedziemy?

– Kurde, Aubie, daj mi spokój, dobra? Jestem skonana.

Wallace położył się do łóżka. Dobrze się czuł. Widział, że Dotty ma na głowie co innego niż uciekanie od niego i Canny. Uśmiechnął się do siebie. Jutro z rana wszystko spakuje i przygotowuje, w razie gdyby Dotty obudziła się w nastroju na wyjazd. Kiedy Dotty była szczęśliwa, to i Canny była szczęśliwa, a on bezpieczny.

Wallace zamknął oczy. Nie lubił zasypiać ostatni.

– Canny? – wyszeptał kilka minut później.

– Chryste Panie! Zaśniesz wreszcie? – jęknęła Dotty.

Zaczął miarowo oddychać, zmuszając się do tego, by szybko zapaść w głęboki sen.

Poranne słońce grzało niezwykle mocno. Od kilku godzin samochód był gotowy do drogi. Wallace siedział na schodkach werandy. Ze ścieżki naprzeciwko domu obserwował go rudy pies. Przez cały czas wpatrywał się w Wallace'a złym wzrokiem.

Wallace zdjął czapkę baseballową i podrapał się po głowie. Pies warknął ostrzegawczo. Bardzo powoli Wallace włożył z powrotem czapkę i opuścił rękę na kolano. Warczenie ustało. Kiedy jednak Wallace odchrząknął, pies znowu obnażył poplamione i wykruszone kły, wprawiając go w zdumienie. Musiał więc siedzieć zupełnie nieruchomo.

Tego ranka obudziły ich krzyki Jiggy'ego i Almy Hullerów. Do wrzasków przyłączyły się dziewczynki, Alma zaczęła piszczeć, a następnie wyć z bólu. Chwilę później usłyszeli ryk silnika pikapa Hullera. Gdy auto wyjechało z podjazdu, Dotty w samej koszuli nocnej natychmiast pobiegła do dużego domu.

Wciąż jeszcze siedziały w kuchni. Na policzku Almy widniała brzydka pręga, a oczy kobiety były czerwone i opuchnięte. Dotty nakazała Canny pobawić się z dziewczynkami, tak żeby sama mogła zająć się ich matką. Canny przygotowała małym śniadanie, po czym zabrała je na spacer do lasu.

Wallace powoli wypuścił powietrze, czując pieczenie w łędźwiach. Musiał iść do łazienki, ale nie miał odwagi ruszyć się z miejsca. Cholera, pomyślał, gdyby nie ten pies, zabrałby Canny i Dotty i odjechał, zanim Huller zdołałby odebrać pięć dolarów za ostatnią noc.

– To tak, jak byśmy byli dwójkiem różnych ludzi – mówiła Alma z kuchni.

– To się zdarza – stwierdziła Dotty. – Dwa i pół roku to szmat czasu. Miałam kiedyś przyjaciółkę, Thelmę, która dostała dwa miesiące. Tylko dwa. Byłyśmy najlepszymi przyjaciółkami pod słońcem, ale kiedy wyszła, w ogóle jej nie poznałam.

– Wciąż się kłócimy! – Alma ponownie zaniosła się płaczem. – Przez cały czas, o wszystko.

– To samo było ze mną i Thelmą! Kiedyś rozbiła mi butelkę na głowie. Naprawdę zobaczyłam wtedy gwiazdy.

– Pierwszej nocy, gdy wrócił, było naprawdę wspaniale – wymamrotała przez łzy Alma. – To wtedy zaszłam w ciążę. Ale teraz on w ogóle nie chce mnie dotknąć.

- O co się pokłóciliście? – spytała Dotty.
 - Spytałam go, kim jest ta dziwka, a on, że nie ma żadnej dziwki, i wtedy powiedziałam coś naprawdę okropnego, a on mnie uderzył! – wydarła się Alma.
 - Co powiedziałaś?
 - Powiedziałam... powiedziałam: „Zostałeś pedałem, jak ci goście w więzieniu, o których mi opowiadałeś?”
 - Za co siedział? – zainteresowała się Dotty.
 - Wściekłby się, gdybym ci powiedziała.
 - Nic nie powtórzę. Przecież wiesz – nalegała Dotty.
- Zapadła głucha cisza. Ogon psa uderzał miarowo o ubitą ziemię.
- Zabił jednego gościa – odezwała się w końcu Alma. – Ale to była uczciwa walka, więc oskarżyli go tylko o nieumyślne spowodowanie śmierci.

Wallace zacisnął mocno kolana. Jego serce zaczęło walić rytmicznie na odgłos zbliżającego się auta. Pikap Hullera wtoczył się na zakurzony podjazd. Pies zerwał się i pobiegł powitać swojego pana.

Huller zatrzasnął drzwi furgonetki i odsunął nogą zwierzę. Zmrużył oczy, mijając skulonego na schodach Wallace'a. Po chwili zatrzymał się i obejrzał za siebie.

- Masz przy sobie piątaką? – spytał zimno.
- Proszę. – Wallace wyciągnął banknot.

Huller zerknął na drzwi do kuchni i usiadł obok Wallace'a. Przez chwilę żaden z nich nie odzywał się ani słowem. Huller składał i rozkładał pięciodolarowy banknot. Pies leżał teraz na werandzie, tuż za plecami swojego pana. Śmierdzi jak moczary, pomyślał Wallace. Czymś ponurym i plugawym, jak zgnilizna. Jak śmierć.

- Dotty mówiła, że sporo podróżujecie. – Huller zmrużył oczy przed słońcem.

Wallace pokiwał głową.

- To dopiero musi być życie – westchnął Huller. – Żadnych rachunków. Żadnych kłopotów. Jedziecie tam, gdzie jest robota. I nikt ci nie truje nad głową. Jesteś tylko ty i dzieciaki.

Huller zakrył usta dłonią.

- Gdyby chodziło o mnie, zostawiłbym dzieciaki ze starą – wyszeptał. Widząc zdumienie na twarzy Wallace'a, dodał szybko: – Powiedziałem coś złego, tatuśku? Pomyślałem... Twoja żona chyba nie umarła, co?.

- Nie – odparł Wallace.

– Dotty mówi, że jesteście niedaleko domu. – Huller popatrzył na, niego. – Tam zmierzasz? Z powrotem do żony?

– Przepraszam – wymamrotał Wallace.

Wstał, zbiegł ze schodków i wszedł do domku.

Gdy podniósł klapę sedesu, zmrużył z bólu oczy, wpatrując się w przymocowaną do ściany tabliczkę z napisem „NIE SPUSZCZAĆ”. Czuł, że w gardle rośnie mu wielka gula. Hyacinth też kiedyś umieściła tabliczkę w łazience – dla niego i dla chłopców. Na tabliczce widniał napis: PODNIEŚ KLAPEŁ ALBO IDŹ POD DRZEWO.

Wallace przewrócił hamburgery na drugą stronę. Przez cały dzień Alma i Jiggy nie odezwali się do siebie ani słowem. Dotty miała to szklane spojrzenie, jak zawsze, gdy była na krawędzi jednego ze swoich ataków. Z wystrzępionymi włosami i drżącym, nie milknącym ani na chwilę głosem przypominała mu wymęczonego burzą ptaka. Wallace widział, jak jakieś dwie godziny wcześniej, gdy Alma drzeła, Huller dał Dotty dwa proszki.

Bosa i wciąż w nocnej koszuli, Dotty kręciła się po kuchni, otwierając puszkę piwa dla Hullera, wpadając do pokoju, żeby położyć nogi Almy na podnóżku, wycierając zasmarkany nos Krystal.

– Co powiesz na sałatkę? – krzyknęła do Hullera, gdy przeglądała zawartość lodówki.

Światło przeświecało przez koszulę dziewczyny. Huller nie przestawał się w nią wpatrywać.

– Zapomnij o sałatce – roześmiała się. – Nie ma sałaty. No to może to? – Postawiła przed Hullerem talerz zielonej masy. – Proszę odgadnąć nazwę tego dania, a będzie pańskie! Całkiem za darmo!

Huller z obrzydzeniem pokręcił głową i odsunął talerz.

– Widzisz, co muszę znosić – rzekł ponuro.

– Daj spokój, Jig! – Potargala mu żartobliwie włosy. – To dowcip!

– Świetny dowcip – mruknął.

Dotty oparła się na stole i zbliżyła twarz do jego twarzy.

– Nadenerwowałeś się i w ogóle nie wiadomo, dlaczego – powiedziała, rzucając spojrzenie w stronę spokoju gościnnego i Almy.

– Nieprawda – odparł niskim głosem i popatrzył na nią. – Wiadomo, dlaczego.

Wallace odwrócił się do skwierczących hamburgerów. Już zdecydował – niezależnie od wszystkiego wyjadą dziś wieczorem.

Po kolacji Alma poszła na górę, żeby poleżeć chwilę z Krystal, która narzekała na ból brzucha. W trakcie posiłku Kelly została wysłana do łóżka, za karę za to, że naplula siostrze do mleka. Alma poprosiła Dotty, żeby ta obudziła ją, gdyby zasnęła w łóżku Krystal.

Wallace odczekał, aż Huller pójdzie do łazienki i wtedy powiedział Dotty, że w nocy wyjeżdżają. W odpowiedzi wybuchnęła śmiechem.

- Chyba żartujesz! – stwierdziła.
- Nie żartuję. Wyjeżdżamy – rzekł niespokojnie.
- A dokąd – z tymi nędznymi ośmioma dolarami? – wycodziła.

Opadła mu szczeka.

– Przecież masz dwadzieścia! – Wciąż jeszcze nie powiedział jej, że zostały im pieniądze z niezapłaconego komornego. Gdyby o nich wiedziała, chciałyby je od niego wyciągnąć.

– Teraz mam osiem. – Zerknęła niespokojnie na drzwi, zza których dobiegł ich odgłos spuszczonej wody. – Przecież musiałam płacić za nasze jedzenie.

Drzwi od łazienki otworzyły się i stanął w nich Huller, zapinając pasek od spodni. Jego spojrzenie było ciężkie i uważne.

– Coś nie tak? – zapytał.

– Tatus obawia się, że nadużywamy waszej gościnności – wzruszyła ramionami Dotty i roześmiała się nerwowo. – Mówi, że po trzech dniach towarzystwo i ryby zaczynają jednakowo śmierdzieć.

Huller zmarszczył brwi i objął ramieniem Wallace'a, prowadząc go w kierunku stołu.

– Ryby śmierdzą, ten dom śmierdzi, w tej chwili ja też śmierdę – ale nie wy. – Żartobliwie trącił go łokciem pod żebra i wyszczerzył zęby. – Przyjaciele nie śmierdzą.

Brudne naczynia kłębiły się w zlewie i na kuchence. Canny zasnęła na kanapie. Choć nikt nie oglądał telewizji, odbiornik był wciąż włączony. Wallace usiadł przy kuchennym stole, a powieki opadały mu ze zmęczenia.

– Tatus zbadał to naukowo – mówiła Dotty do Hullera. – Wiele wyciąga ze śmietników i pojemników organizacji charytatywnych, ale najlepsze rzeczy pochodzą z wyprzedazy garażowych. Odczekuje do piątej czy szóstej w sobotę, kiedy ci wszyscy frajerzy mają dość sterczenia na słońcu. Wtedy podjeżdża i mówi, że z chęcią zabierze to, czego nie potrzebują. Dziewięć razy na dziesięć nie tylko się zgadzają, ale jeszcze pomagają mu załadować sprzęt na ciężarówkę. A następnego ranka tatus nakleja, metki i sprzedaje wszystko na pchlim targu. Prawda, tatusiu?

Wallace nawet nie skinął głową – przecież na niego nie patrzyli. Chwilę wcześniej Dotty wzięła kolejne dwa proszki.

Huller potrząsnął głową.

– Ja bym nie umiał gadać z takimi ludźmi. – Popatrzył na Dotty. – Nie umiem błagać ani nawet prosić – jeśli wiesz, o co mi chodzi.

Nastąpiła cisza. Pod stołem pies uderzał ogonem w goleń Wallace'a.

– No cóż. – Dotty spojrzała na drzwi i ziewnęła. – Chyba trzeba położyć Canny do łóżka.

Zanim mogła zmienić zdanie, Wallace zerwał się i chwycił w objęcia bezwładne ciało dziewczynki.

– Zaraz przyjdę – rzuciła Dotty przez ramię. – Tylko trochę pozmywam, żeby Alma nie musiała robić tego z rana.

Wallace zatrzymał się w progu i spojrział na dziewczynę, na jej lśniące w blasku lampy, miedziane włosy. Przez chwilę zakreśliło mu się w głowie, a ramiona osłabły pod ciężarem Canny. Powietrze zdawało się lśnić od potu, który spływał po nagich ramionach Hullera.

Już w domku Wallace położył Canny do łóżka i przykrył ją pod samą brodę. Mała wyciągnęła do niego rączkę.

– Gdzie mama? – zapytała sennie.

– Zaraz przyjdzie – odparł i spojrział na okna kuchni, w której zgasło światło.

– Tatusiu, głowa mnie swędzi.

– Tylko się nie drap. – Położył się na swoim łóżku i wsunął ręce pod głowę.

Minęła godzina, zanim Dotty weszła po cichu do domku.

– Długo cię nie było – odezwał się w ciemnościach Wallace.

– Miałam sporo zmywania – ziewnęła.

– Zmywałaś po ciemku?

– Zgadłeś – roześmiała się. – Wszystkie talerze.

– On myśli, że jestem twoim ojcem, co?

– Kurde, Aubie, nie wiem, co on myśli i guzik mnie to obchodzi.

– Powiedziałas mu, że wracamy do domu? – Tym razem mówił głośniejszym głosem.

Do...

– Nic mu nie mówiłam! To jeden z tych, którym mówisz jedno, a oni słyszą co innego. – Położyła się na łóżku obok Canny. – A teraz daj mi spokój. Padam z nóg po tym, jak ta głupia krowa ujadła przez cały dzień.

– Więc po co to robisz? – Uniósł głowę. – Dlaczego po prostu nie wyjeżdżamy?

- Dlatego – westchnęła. – Próbuję znaleźć jakieś wyjście z tego błędnego koła.
- Jakiego błędnego koła? – Gdy to powtórzył, zrozumiał, że miała na myśli Canny.
- Jakiego? – jęknęła. – Chryste, ręce mi opadają.

Następnego ranka Wallace usiłował porozmawiać z Dotty w cztery oczy, ale tuż po śniadaniu pojechała z Almą i Jiggym do miasta. Alma wysiadła przy ośrodku pomocy społecznej, żeby spotkać się z pracownikiem socjalnym, a w tym czasie Dotty i Jiggy mieli kupić jedzenie.

Po południu, gdy wszyscy troje wrócili, Alma wpadła do domu, trzaskając za sobą drzwiami, podczas gdy Dotty i Jiggy siedzieli w pikapie, zanosząc się pijackim rechotem.

Niedługo potem Dotty przeprosiła Almę, która powiedziała, że to nie jej wina, tylko Jiggy'ego. Tego wieczoru Alma i Jiggy kłócili się przez cały czas. Wybuch nastąpił, gdy Kelly zaczęła domagać się mleka. Alma zaproponowała jej, żeby popatrzyła na wyduchy od piwa brzuch tatusia, jeśli chce wiedzieć, czemu w domu nie ma mleka. Jiggy rozbił talerz o ścianę, na co Alma rzuciła w męża widelcem. Kelly nazwała ojca sukinsynem, Huller uderzył małą, a Alma jego, i oto nagle Dotty znalazła się między nimi, wypychając Jiggy'ego na dwór, do samochodu. Następnie, cała zadyszana wbiegła do domu i poradziła Almie, żeby się nie przejmowała – Jiggy musi ochłonąć, a ona już dopilnuje, żeby nie wdał się w żadną walkę ani nie odjechał zbyt daleko.

Alma popatrzyła na nią uważnie.

- Niech on też z wami jedzie – powiedziała, mając na myśli Wallace'a.

W końcu wylądowali w „Kątowniku”, gdzie zespół, dwóch chudych gitarzystów i perkusista, zsuwał przewrócone drewniane skrzynie, które miały posłużyć za scenę. Wallace nie mógł przestać ziewać. Przez dym z papierosów i drżące ogniki poustawianych na blatach świeczek łzawiły mu oczy. Siedział sam przy małym, chybotliwym stoliku tuż obok automatu telefonicznego. Dotty od jakiegoś czasu tkwiła w damskiej toalecie, ale do tego już zdążył przywyknąć. Przez cały dzień była na haju, więc teraz mogła tam robić dosłownie wszystko – palić skręta, przyklejać sobie sztuczne paznokcie albo nawet spać. Huller wciąż stał przy automacie,

plecami do Wallace'a. Osoba, do której dzwonił, albo była nieobecna, albo nie chciała podnieść słuchawki. Po każdej próbie Huller stawał się coraz bardziej ponury. Wallace wciąż sączył ciepłe, wybąbelkowane piwo, które Jiggy zamówił dla niego godzinę wcześniej.

Dotty właśnie wyłoniła się z toalety, z błyszczącymi pod wpływem narkotyku, szeroko otwartymi oczami. Krocząc sztywno na wysokich złotych obcasach, przezierając się przez tłum w kierunku stolika. Wallace widział, jak wszyscy faceci po kolei wlepiają w nią wzrok.

– Ciągle jej nie ma – mruknął Huller podchodząc do stolika. Odsunął nogą krzesło i usiadł. – W cholere z tym.

Podniósł wzrok i uśmiechnął się na widok nadchodzącej Dotty. Członkowie zespołu kończyli właśnie jazgotliwie przygotowania do występu. Kiedy zagrali, Dotty zaczęła śpiewać razem z nimi. To była hałaśliwa piosenka, a słowa padały zbyt szybko, by Wallace mógł je zrozumieć. Huller zaczął się śmiać. Dotty uniosła rękę nad głowę. Wymachiwała nimi w powietrzu i tak wierciła się na krześle, aż zaczęło niebezpiecznie podskakiwać.

– Biedna mała – powiedział krępy mężczyzna o dużych białych uszach, wielkim dziobatym nosie i zaczesanych do tyłu włosach. – Biedna mała chce potańczyć. No, chodź, mała.

Wyciągnął dłoń do Dotty. Kiedy wstała, zespół zaczął grać wolną, leniwą balladę. Mężczyzna przytulał Dotty, a jego usta błędziły w okolicy jej ucha. Gdy tańczyli, dziewczyna zamknęła oczy. Jej twarz wydawała się coraz mniejsza.

– Cholera – mruknął Huller, nie spuszczać z nich wzroku. – Ze wszystkich ludzi... – Zerknął na Wallace'a. – Ona przyciąga kłopoty jak magnes, nie?

Gdy piosenka się skończyła, Dotty chciała odejść, ale mężczyzna przyciągnął ją do siebie. Powiedziała mu coś, a facet popatrzył na Wallace'a i Hullera.

– Niech to szlag – mruknął znowu Huller.

Kiedy Dotty i jej towarzyszy szli w stronę stolika, wyciągnął z kieszeni pastylkę i szybko popił ją piwem.

– Witaj! – Mężczyzna stał teraz nad nimi. Z uśmiechem wyciągnął rękę do Hullera.

– Cześć! – skinął głową Huller i nie przestawał nią kiwać, gdy wymieniali uścisk dłoni.

– Wypuścili cię – zauważył mężczyzna i beknął cicho w pięść, którą pocierał nos.

– Wypuścili mnie! – Nadal kiwał głową Huller. Nad jego wargą pojawiły się krople potu.

– Co słycać?

– Niewiele. – Kiwanie przeszło teraz w rytmiczne kołysanie. – No wiesz, znów muszę do wszystkiego przywyknąć.

– Chyba nieźle ci idzie – stwierdził mężczyzna i objął Dotty ramieniem. Zasmiała się i straciła na moment równowagę, po czym osunęła się na krzesło. Wyglądała tak, jak gdyby kręciło się jej w głowie.

Zanim mężczyzna wrócił do swojego stolika, gdzie czekało na niego trzech smagłych kompanów, powiedział Hullerowi, że będą w kontakcie.

– To Wipes Callahan – objaśnił Jiggy. – Co on tu robi, do diabła?

– Kto to jest Wipes Callahan? – zapytała Dotty. Wciąż oglądała się przez ramię.

– To wielki facet – odparł Huller. – Naprawdę wielki!

– Mnie się nie wydał taki znów wielki. – Dotty popatrzyła na Callahana, który puścił do niej oko. – Za to jest brzydki jak kupa – stwierdziła z uśmiechem i odmachwała mężczyźnie.

– Chryste Panie, lepiej się odwróć. Ten facet... Nigdy nie wiadomo... Chole-
ra – mamrotał Huller, gdy Callahan wstał, ujął między palce swoją butelkę piwa i ruszył do ich stolika.

– Słuchaj – powiedział do Hullera. – Pomyślałem sobie właśnie, że gdybyś potrzebował jakiejś, hm... – Znowu beknął z cierpkim wyrazem twarzy. – Jakiejś pomocy, sam wiesz, to będę w pobliżu. – Wzruszył skromnie ramionami.

– Mieszkasz tutaj? – zainteresowała się Dotty, wpatrując się teraz w oblicze mężczyzny.

– Mniej lub bardziej – roześmiał się Callahan. – W przyszłym miesiącu mniej. – Wywrócił oczyma. – Mam rozprawę – wyjaśnił w niesmakiem i uniósł dłoń jak do przysięgi. – Jak będę chciał. Wciąż jeszcze nie wiem.

Spojrzenie przymrużonych oczu Wallace'a krążyło pomiędzy mężczyzną o grubo ciosanych rysach, lśniąca jak w gorączce twarzą Dotty i ogłupiałym Hullerem. Skołowali go. Tak bardzo nie orientował się, o czym mówią, że równie dobrze mogliby rozmawiać w innym języku.

Drzwi w odległym kącie kawiarni otworzyły się i stanęła w nich młoda, mocno wymalowana kobieta o ciemnych, długich do pasa włosach. Zrobiła krok do środka i wyteżyła wzrok, usiłując dojrzeć coś w kłębach dymu. Zespół śpiewał łzawą balladę o mężu wędrowniku.

– No, nie mów – powtarzała Dotty, podczas gdy Callahan pochylał się nad nią i cicho zwierzał się jej z jakiejś tajemnicy. Wykrzywił twarz, jak gdyby żółć zalewała mu wnętrzności.

Barman wyszedł zza baru i stanął przed młodą kobietą w drzwiach. Potrząsał przecząco głową. Dziewczyna wyciągnęła szyję, próbując dojrzeć coś lub kogoś za jego plecami.

Wallace sączył swoje piwo. Najbardziej lubił piwo z korzeniami, słodkie i lekko szczypiące w język, takie, jakie każdego lata robiła matka Hyacinth i posyłała w brązowych butelkach Answanowi i Arnoldowi.

– Dom jest pełen. Zapchany antykami. – Huller naraz bardzo się ożywił.

– A gdzie to jest? – spytał Callahan.

– Chodzi o dom starej Bass. Starej pani Bass, tej nieboszczki – wyjaśnił Huller.

– Jasne. Wszystko jedno. Parę nazwisk ci podam. – Callahan nachylił się jeszcze bardziej. – Teraz to wszystko się wyspecjalizowało, znam facetów, którzy zajmują się wyłącznie okresami. No wiesz, historycznymi. Niedługo wszyscy będziemy potrzebowali pierdolonego wykształcenia! – Potrząsnął głową. – Do tego dojdzie, możecie wierzyć albo nie! Poważnie! Ja się na tym znam! Trochę wiem! – Postukał się w skroń. – Główka pracuje!

Nagle coś opadło z twarzy Dotty, jakby welon utkany z barwy, wilgoci i życia. Oстрыm, dociekliwym głosem zadała Callahanowi jakieś pytanie.

– Cholera! – Huller wstał i machnął ręką na barmana, który właśnie wyprowadzał młodą kobietę z lokalu. – Ellie! – wrzasnął i pobiegł do drzwi.

– ...z naprawdę dużego domu – mówiła Dotty. – Słyszałeś o czymś takim?

Huller powrócił do stolika z dziewczyną, która najwyraźniej nie była jeszcze pełnoletnia. Barman przyglądał im się z założonymi na piersi rękami.

– Tak, coś kojarzę – powiedział Callahan. – Jakieś pięć czy sześć lat temu roczna czy dwuletnia dziewczynka zniknęła z domu. O, tak – strzelił palcami – i już jej nie było!

– Właśnie! Właśnie! – przytaknęła bez tchu Dotty. – Właśnie!

– A jej matka to chyba nawet była wtedy w domu... – zamyślił się Callahan. – Jakoś tak.

– Musimy iść – stwierdził Huller.

Callahan potrząsnął głową. Wciąż nie spuszczał wzroku z Dotty.

– Zrobiło się wielkie zamieszanie – ciągnął. – Sprawdzali mnóstwo ludzi. Mnie nie. To nie była moja... no wiesz, moja działka.

– Chodźcie – ponaglił ich Huller i potrząsnął stolikiem. – Ellie jest niepełnoletnia. Nie wolno jej tu siedzieć.

Dziewczyna popatrzyła na nich niepewnie.

– To niech idzie – odparła Dotty, rzucając Ellie pełne pogardy spojrzenie.

– Nie mogę jej puścić. To siostra Almy. – Huller machnął ręką do barmana, aby dać mu do zrozumienia, że już się zbierają.

– Mówiłeś, żebym się z tobą spotkała – pisnęła Ellie. – Zobaczyłam wóz...

– Ale nie tutaj! Dzwoniłem do ciebie – warknął Huller przez zaciśnięte zęby. – No, chodź! – rzucił w stronę Dotty, która nadal rozmawiała z Callahanem. – No, tatuśku! – Wrzasnął w ucho Wallace'a. – Wychodzimy! Już!

– A ty co, interesujesz się tym? Albo znasz kogoś, kto coś słyszał? – dociekał Callahan.

– No, chodźcie. – Huller odwrócił się nagle.

Ellie ruszyła za nim, chwając się na wysokich obcasach i drobiąc z powodu obcisłej spódnicy.

Dotty zerwała się z miejsca, podobnie jak Wallace, i oboje rzucili się do drzwi.

– Dowiem się! – zawołał za nimi Callahan. – To dla mnie pestka!

Zadzwoń, gdzie trzeba!

Ellie usiadła pośrodku, a Dotty na kolanach Wallace'a. Po wyjściu z kawiarni jeździli przez jakiś czas po okolicy. Dotty zarzuciła ramiona na szyję Wallace'a i bawiła się od niechcenia jego uchem, przez cały czas powtarzając Ellie, jak bardzo przypomina swoją siostrę Almę. Te same oczy. Ten sam nos. Ta sama skóra. Ta sama figura.

– Nieprawda! – powiedziała w końcu Ellie.

Wallace zadrzał pod dotykiem Dotty. Jej miękkie piersi muskały jego policzek.

– Możesz mi wierzyć. – Dotty zlustrowała Ellie od stóp do głów. – Naprawdę ją przypominasz.

Ellie skrzywiła się i odwróciła do Hullera.

– Muszę ci coś powiedzieć – wyszeptła.

Huller popatrzył na nią ostro i machnął głową.

– Mam tylko pół godziny przed powrotem mamy – zapiszczała dziewczyna.

Słyszając to, Huller skręcił gwałtownie i za kilka minut znaleźli się na jego podjeździe. Wallace i Dotty wygramolili się z auta, ale nagle Dotty ponownie wskoczyła do pikapa.

- Muszę ją odwieźć do domu – powiedział Huller.
- Nie przeszkadza mi to. – Dotty uśmiechnęła się słodko do Ellie. – Lubię dzieci.

Gdy odjechali, Wallace wszedł do domu po Canny. Mała i dziewczynki Hullerów bawiły się Barbie. Kelly wciąż chowała lalkę siostry. Alma rozwalila się na kanapie i oglądała „Statek Miłości”. Powiedziała, że przyprowadzi Canny tuż po filmie.

W domku Wallace położył się na zapadającym się łóżku. Lasy wypełniało ochryple cykanie świerszczy. Wiedział, że powinien spróbować zapamiętać to, co Dotty mówiła Callahanowi, ale im mocniej się starał, tym dziwniejsze były jego wspomnienia. Pojawiały się w nich twarze, nazwiska i miejsca, o których od lat już nie myślał. Przypomnił sobie dwa kciuki na prawej ręce Camelii Crebbs i to, jak pewnego wieczoru jej pijany mąż odciął jeden z kciuków i rzucił zakrwawiony ochłap na podłogę, gdzie pies go znalazł i pożarł, a potem Camelia Crebbs nie mogła odwrócić się plecami do zwierzaka, gdy ten z głodnym wyrazem pyska obwąchiwał jej kostki.

Ojciec opowiedział mu tę historię podczas długiej, utrudnionej przez śnieg jazdy do Burlington. Opowiedział ją zimnym, beznamiętnym tonem, jak gdyby to była myśl, którą głośno wyartykułował, tak że kiedy skręcił na wysypaną żwirem ścieżkę, przejechał przez żelazną bramę, wskazał duży, ceglany budynek na wzgórzu i powiedział identycznym, wypranym z emocji głosem: „A to jest Dom, chłopcze”, Wallace ledwie podniósł głowę, żeby na niego spojrzeć, nie mówiąc już o płaczu czy jakiegokolwiek innej formie protestu, tak wówczas był – i teraz był – zahipnotyzowany przez pewne głosy.

Na początku tata przyjeżdżał w każdą niedzielę. Potem tylko raz na kilka miesięcy. Potem na Gwiazdkę, jeśli drogi były przejezdne, a zazwyczaj nie były. No a potem tata umarł.

Wallace podskoczył nagle i zapalił światło. Rozpamiętywanie tego wszystkiego przypominało kopanie grobów. Każde uderzenie łopaty o kamień przerażało go do głębi. Nigdy nie wiadomo, na co można trafić. Zrezygnował z tej pracy po już

jednym dniu. Tak samo nie chciał teraz wspominać tamtych lat. To zbyt wyczerpujące dla nerwów. Zbyt straszne.

Jeśli chodziło o zapamiętywanie, polegał na Dotty, która zawsze wiedziała, kądę jechać, gdzie można najtaniej zjeść i które lasy oferują drwalom najlepsze płace i nocleg, a z którymi szefami nie powinno się zadawać. Kiedy pytał: „Dotty, gdzie byliśmy w maju osiemdziesiątego drugiego?”, zawsze pamiętała miasto, pogodę, ludzi i kto co komu powiedział. Jeśli nie była pewna, szperała w pamięci jak w notesie, mamrocząc: „W marcu osiemdziesiątego drugiego było paskudnie zimno, w kwietniu Canny miała szkarlatynę, a kiedy jej się poprawiło, zamieszkaliśmy blisko Tamy...”. Podobnie było z Hyacinth. On musiał jedynie troszczyć się o teraźniejszość. Jeśli zajmował się właśnie tym, one pamiętały przeszłość i kierowały przyszłością.

Usiadł na krawędzi łóżka. Z oddali rozległ się krzyk sowy. O moskitierę na drzwiach rozbijały się ćmy. Hyacinth twierdziła, że ćmy to dusze tych zmarłych, którzy byli zbyt źli nawet na to, by trafić po śmierci do piekła. Starannie omijając wzrokiem drzwi, Wallace położył się i wyłączył światło. Żałował, że jeszcze nie ma z nim Canny.

Kilka minut później usłyszał kroki na schodkach. Za moskitierą pojawiła się biała twarz Almy Huller.

- Canny śpi, panie Wallace – oznajmiła kobieta.
- Pójdę po nią – powiedział szybko.
- Nie trzeba – westchnęła. – Może dziś spać z dziewczynkami. Poza tym musi do nas przywyknąć. – Zerknęła na niego. – Będzie pan za nią tęsknił, co? Niech się pan nie martwi, będę ją traktowała jak swoje dziecko. Każdy grosz przysłany przez Dotty wydamy tylko na nią. Obiecuję panu! Szkoda, że nic nie wyszło z tą opieką społeczną. Ale oni tak pilnują tych metryk i tego, czyje dziecko jest czyje... Jezu, a nawet nie wiedzą, że Jiggy wrócił... Pytają: „Gdzie pani mąż?”, a ja na to: „A kto to wie, u diabła?”

Zerknęła przez ramię w stronę drogi i zawiesiła głos.

- Mam nadzieję, że się nie wygada. Ostatnim razem właśnie przez to wpakował się w kłopoty. Żeby też nie za bardzo naprzykrzał się Dotty.

Otworzyła drzwi i weszła do domku, po czym klapnęła ciężko na drewnianym krześle. Westchnęła, a jej twarz przybrała rozmarzony wyraz.

- Musi pan być naprawdę dumny. Nie tylko dlatego, że Dotty tak wygląda, ale że jest taka miła. – Złożyła dłonie i pochyliła się nieco. – Mam nadzieję, że

uda się jej z tymi zdjęciami próbnymi. To będzie dopiero coś, mieć za przyjaciółkę prawdziwą gwiazdę filmową.

Pochyliła się jeszcze bardziej, aż jej brzuch rozpląszczył się o uda.

– Dobrze się pan czuje, panie Wallace? – zapytała.

Kiedy nie odpowiadał, wstała z krzesła i stanęła przy drzwiach.

– Wie pan co, panie Wallace? Jest pan najspokojniejszym człowiekiem, jakiego widziałam.

7.

Dotty chrapała głośno z otwartymi ustami i rozdętymi nozdrzami. Pod oczyma miała czarne półksiężycy z rozmazanego tuszu. W domku śmierdziało przetrwanym alkoholem i papierosami. Wallace stanął nad łóżkiem. Sukienka Dotty była zadarta, a kiedy Wallace pochylił się, by potrząsnąć dziewczyną, ujrzał na jej szyi soczystą malinkę. Dotty otworzyła jedno oko i zaklęła.

– Muszę z tobą pogadać – wyszeptał Wallace.

– Śpię!

– To się obudź. Chodzi o Canny.

– Wszystko przygotowane. – Dotty przewróciła się na bok. – Hullerowie ją zatrzymają.

– Mowy nie ma!

Odwróciła się i spojrzała na niego nieprzytomnym wzrokiem.

– Aubie! – warknęła.

– Idę po nią – powiedział i otworzył drzwi.

– Aubie! – krzyknęła Dotty i wyskoczyła z pościeli. Wybiegła za nim aż na podjazd i zarzuciła mu ręce na szyję, przywierając do niego całym ciałem. – Proszę cię, Aubie – nic jeszcze nie jest postanowione! Dopiero rozmawialiśmy.

Wallace popatrzył na uśpiony dom.

– Posłuchaj mnie! – upierała się Dotty, coraz mocniej ściskając mężczyznę. Odsunęła głowę i popatrzyła mu w oczy. – Jesteśmy piętnaście kilometrów od Stonefield, Aubie! – Uśmiechnęła się i potrząsnęła nim leciutko. – Tylko piętnaście kilometrów.

– No to co?

- Ona stamtąd pochodzi! Ze Stonefield!
- Skąd wiesz?
- Tak twierdził wczoraj ten facet.
- Po co mu powiedziałaś?
- Słuchaj, Aubie. – Uścisnęła mocno jego ramię. – Najważniejsze, że jest tak blisko domu. Za jakiś rok czy dwa, jak już się urządzimy, wyślemy jej list, w którym napiszemy, skąd pochodzi. Będzie mogła sobie wrócić, a po nas nie zostanie żaden ślad. Aubie? Słuchaj mnie...

Wallace utkwiał wzrok w ziemi.

- To będzie całkiem nowe życie. – Położyła dłoń na jego zarosniętym policzku i uśmiechnęła się. – Zgoda? – spytała cicho.

Pokiwał głową. Dotty uszczypnęła jego baczki i westchnęła głośno.

- Mój mały tchórz. Boi się własnego cienia i wszystkich innych. – Zamrugowała, a złote plamki na jej tęczęwkach rozbłyły światłem. – Jesteś słodkim facetem, Aubie. Co ja bym bez ciebie zrobiła przez te wszystkie lata? Chryste, pewnie już bym nie żyła...

Bezmyślnie pokiwał głową.

- No, chodź – powiedziała, po czym za rękę poprowadziła go do domku.

Gdy było już po wszystkim, nagle zrobiła się strasznie zasadnicza. Stała przy łóżku i zaczęła wciągać na siebie dzinsy.

- Jiggy poprosi cię, żebyś mu w czymś pomógł – powiedziała, walcząc z zamkiem błyskawicznym. – Bądź dla niego miły. Odkąd ten biedak wyszedł z więzienia, nie zarobił ani grosza.

Oszołomiony, pokiwał głową. Czuł się zmęczony i obolały. Szorstki, wełniany koc niczym papier ścierny ocierał mu wilgotne i podrażnione krocze. Dotty wydawała się skąpana w migotliwym blasku. Wallace pomyślał, że wygląda jak dobra wróżka. Najpiękniejsza dobra wróżka, jaką widział w życiu. Właśnie zakładała stanik. Nachyliła się i poprawiła w miseczce najpierw jedną, a potem drugą pierś.

- Kiedy wyjedziemy? – spytał cienkim głosem.
- Za parę dni – odparła i wciągnęła na siebie na wpeł przezroczystą czerwoną bluzkę. – Jak tylko dopracuję szczegóły.

Zamknął oczy i odwrócił się głową do ściany.

Chwilę po tym, jak Dotty wyszła do Hullerów, do domku wpadła Canny. Trzasnęła drzwiami i przekreśliła zamek.

– Ona chce, żebym weszła do wanny razem z jej dziećmiakami! – wrzasnęła z oburzeniem. – Powiedziała, że śmierdzą i że pewnie mam łuszczycę, bo tak się drapie. Nienawidzę tej grubej świni! Myśli, że wolno jej wszystkim rządzić!

Wallace zabrał małą do łazienki i kazał jej uklęknąć na krześle przed umywalką. Zmoczył włosy Canny i wtarł w nie mydło. Delikatnie masował czaszkę dziewczynki, aż na jej głowie powstała gęsta piana. Chude plecy dziecka były podrapane i brudne. Ślady strupów ciągnęły się od łopatek aż do linii włosów.

– Pochyl się niżej – powiedział.

Spływająca woda barwiła umywalkę na brązowo.

– Musisz wziąć kąpiel, Canny. – Owinął jej głowę w jeden z motelowych ręczników.

– Ale nie w tej samej wannie co te dwie!

– A co z nimi nie tak?

– Nienawidzę ich! – Poderwała głowę tak gwałtownie, że zsunął się z niej turban zrobiony przez Wallace'a.

– Przecież ładnie się z nimi bawiłaś! – stwierdził, strzepując ręcznik. – Widziałem cię! Zachowywałaś się jak starsza siostra – dodał niepewnie.

– Nie chcę być ich starszą siostrą. One są wstrętne, tatusiu. Nie dlatego, że się o coś wściekają. One to mają we krwi. Zwłaszcza Kelly! Wczoraj obcięła włosy Barbie Krystal! – Usta małej zadrżały, a w jej oczach pojawiły się łzy. Potarła ręką nos i siąknęła. – Dlaczego tu jesteśmy? Nienawidzę tego miejsca.

Wallace wyciągnął ramiona i przytulił ją do siebie.

– Słyszę, jak bije ci serce – rzekła z uchem przy jego piersi. – Ale głośno. Bum-bum! Bum-bum! – roześmiała się. – Nigdy jeszcze nie słyszałam twójego serca.

– Jak to? – Nie otwierał oczu. Nie miał odwagi ich otworzyć.

– Nigdy nie ścisłałeś mnie aż tak mocno – powiedziała stłumionym głosem i dodała: – To boli, tatusiu. Nie mogę oddychać.

Puścił ją, a ona cofnęła się i wpatrywała się w niego uważnie, bez mrugnienia okiem. Jej błękitne spojrzenie było czyste, głębokie i poważne. Odetchnęła tak głęboko, że jej żebra zaokrągliły się niczym klepki w beczce, gotowe pęknąć w każdej chwili.

– Kelly mówi, że nie jestem waszym dzieckiem. Że mama powiedziała ich mamie, że dostała mnie od Cyganów.

Wallace złapał jedną ze szczotek Dotty i dotknął palcem kłęбка rudawych włosów.

– Ej, tatuśku! – zawołał z podjazdu Jiggy Huller. – Chodź no tu na chwilę!

– Masz. – Wallace podał jej szczotkę. – Wyczesz te wszystkie kołtuny.

Zamiast wziąć szczotkę, przywarła do niego.

– Tatusiu, dostaliście mnie od Cyganów?

– Ej, tatuśku!

– Dostaliście? – nalegała z twarzą ściągniętą i tak białą jak motelowy ręcznik.

– No chodź, Aubie! – rozległ się głos Dotty.

– Powiedz mi!

– Nie, cholera jasna!

Oderwał się od niej i wybiegł na zewnątrz.

Kurz pokrywał całą przednią szybę. Furgonetka Hullera podskakiwała na pełnej kolein drodze. Wallace siedział obok kierowcy, wyprostowany jak struna, a jego głowa kiwała się na sztywnej szyi niczym łebek samochodowej maskotki. Nie przestawał mrugać. Huller zerknął na niego.

– Dotty mówiła ci coś o tym facecie wczoraj w barze? – spytał. – O Callahanie?

– Nie – odparł Wallace.

– Chryste, ale z ciebie milczek! – stwierdził Huller z niewyraźnym uśmiechem. – Przypominasz mi jednego faceta z celi obok. Nigdy nie powiedział więcej niż jedno słowo na raz. „Tak, nie, aha, jasne”. Tylko tyle. Ale nie nocami. Gadał przez sen – przez całą noc. Prowadził długie, skomplikowane rozmowy i mówił różnymi głosami. Czasem można by przysiąc, że jakieś dziesięć osób gada tam na raz. Dzieciaki, baby. – Huller zadrżał. – Prawdziwy dziwak. Nazywał się Buzzer. Podpalił swój dom i załatwił całą rodzinę. – Naraz Huller wybuchnął śmiechem. – Pewnej nocy facet z celi naprzeciwko miał dość tych wrzasków i wrzucił mu do celi zapaloną szmatę. Jak Buzzer się obudził, zobaczył, że łóżko się pod nim pali, ale tylko tak leżał i gapił się w sufit, i nawet nie wstał ani nie krzyknął. Leżał tam, a ciuchy się na nim paliły. Zmarł parę dni później i ponoć nie powiedział już ani jednego słowa. Ani jednego.

Huller popatrzył na Wallace'a

– A ty – siedziałeś kiedyś? – zapytał.

Wallace był blady jak ściana. Myślał o mężczyźnie z tej historii i nagle bardzo się wystraszył. Huller powtórzył pytanie.

– Nie – odparł Wallace. Skrzyżował ramiona i starał się wyglądać na twardego faceta.

– Dotty mówi, że jeździcie razem już pięć lat. Najpierw myślałem, że jesteś jej starym.

– Nie jestem. – Wallace ścisnął skórę na ramieniu tak, żeby wyglądała jak mięsień.

– I myślałem, że Canny to jej siostra...

– Dokąd jedziemy? – Wallace pochylił się i wbił spojrzenie w drogę przed autem.

– Do domu starej Bass. Jeszcze parę kilometrów. Starą panią Bass pochowali w zeszłym tygodniu. – Huller zerknął kątem oka na Wallace'a. – Dotty mówi, że masz żonę i dzieciaki...

Wallace wyrzwał przez boczne okienko. Drzewa rozmywały się w prześwitującym przez gałęzie słońcu. Jego promienie piekły go w twarz. Głos Hullera dudnił mu nad głową.

– Mówiła, że spotkaliście się kiedyś na drodze, a pięć minut później odjechaliście razem w ciężarówce jakiegoś gościa – Huller parsknął głośno. – Oczywiście, nie biorę tak całkiem serio tego, co wygaduje ta dziewczyna.

Dojechali do rozwidlenia na drodze. Huller zawahał się, po czym wybrał drogę po lewej stronie – jak gdyby, tak naprawdę, było mu wszystko jedno.

– Na przykład to, że startowała w wyborach Miss Florydy i te jej próbne zdjęcia w Hollywood... Nie żeby nie była ładna. Rzecz w tym, że jej historyjki są takie pokręcone i różne, w zależności od tego, komu je opowiada. Tak jak wczoraj... Te rzeczy, które wygadawała Callahanowi. A potem opowiadała to mnie.

Furgonetka toczyła się powoli.

– To świetna okazja, tatuśku – Huller mówił teraz bardzo szybko. – Muszę to wiedzieć bez żadnego kitu. To będzie albo wielki szmal, albo kilka latek... albo i gorzej. Jak zdobyłeś dziewczynkę? I skąd?

– Nie wiem – powiedział drętwo Wallace.

Huller zmrużył oczy.

– Więc to nie jest twój dzieciak, bo byś mi powiedział. Prawda?

Wallace gapił się w przestrzeń nad deską rozdzielczą. W nozdrzach czuł zapach Hullera.

– To dzieciak Dotty? – Huller oparł rękę na fotelu. Jego pięść znajdowała się parę centymetrów od twarzy Wallace'a.

– Spytaj ją – odparł Wallace.

– Pytam ciebie.

Wallace zaczął gorączkowo ssać wargi. Kolysał się miarowo, a jego oczy w panice błędziły po aucie.

– No i? – Huller przybliżył się do niego.

– Zapytaj ją – powtórzył Wallace.

– Pytam ciebie! – wrzasnął Huller.

– To przestań! – krzyknął bezradnie Wallace. – Przestań.

Huller przyglądał mu się przez chwilę. Stukał palcami o kierownicę; nagle jednak zwilżył wargi i rozciągnął je w uśmiechu. Cofnął samochód, a następnie zawrócił i pojechał drogą, którą tu przybyli, wciąż z tym uśmiechem, jakby wyciętym z jego twarzy, który nawet na chwilę nie schodził mu z ust.

Na werandzie siedziała Alma i moczyła nogi w wiadrze z mydlinami. Dotty rozciągnęła się na rozłożonym tuż przy schodkach kocu. Gdy auto skręciło na podjazd, dziewczyna usiadła szybko i poprawiła skąpy biustonosz.

– Gdzie te wszystkie rzeczy? – wrzasnęła do nich Alma.

– Zatrzymano nas – odparł Huller. Wsiadł z furgonetki, założył ręce za głowę i przeciągnął się mocno.

– Jak to was zatrzymano, do cholery? – zawyla Alma. Przeniosła namydlone stopy z wiadra na podłogę i usiadła z rękami na kolanach.

– Ja i tatusiek spotkaliśmy takie dwie babki i zabawiliśmy się z nimi – odkrzyknął Huller.

Słyszając to, Dotty podskoczyła i pacnęła go lekko. Zakrył głowę rękami i wbiegł na werandę, tuż obok Almy, która trzepnęła go po tyłku. Dotty wpadła na schodki i doskoczyła do pleców Hullera, dźgając go palcami.

– Jesteś okropny! – pisnęła. – Po prostu okropny, że mówisz takie rzeczy o biednym Aubiem...

Huller złapał Dotty za przeguby i zaczął ją pchać w stronę domu. Z werandy dobiegał jej przeraźliwy śmiech. Wallace przyglądał się z auta, jak dziewczyna wije się, rzuca, chichocze i tłucze głową o pierś Hullera.

– Pomocy! – śmiała się Dotty. – Pomóż mi, tatuśku!

– Zostaw ją! – zawołała piskliwie Alma. Wstała z fotela na biegunach i stanęła za plecami męża. – Powiedziałam, zostaw ją, Jig. Robisz jej, krzywdę.

- Właśnie, Jig – krzyknęła Dotty. – Robisz mi krzywdę.
- Ty walnięty sukinyńcu! Puść ją! – wydarła się Alma, łapiąc Jiggy'ego za włosy. Głowa mężczyzny odskoczyła do tyłu.

Z dzikim okrzykiem Jiggy odwrócił się na pięcie, a jego ręka jak maczuga spadła na obrzmiały brzuch Almy.

Najpierw oszołomiona kobieta zgięła się w pół, nie mogąc złapać oddechu. Potem zatoczyła się do tyłu, a jej oczy wyróciły się tak, że widać było tylko białka. Rozłożyła ramiona, podczas gdy jej nagie stopy ślizgały się w kałużach mydlin na szczycie schodków.

- A... A... A... – jęczała przy każdym ruchu.

Wallace złapał ją pierwszy.

- Oni tylko tak żartowali – powiedział z nutą zdziwienia w głosie.

Po białych, owłosionych nogach Almy spływała krew.

8.

Alma od trzech dni leżała w szpitalu. Martwe dziecko okazało się chłopczykiem. Od poniedziałku Dotty dniem i nocą siedziała przy Almie, teraz jednak jej współczucie wyraźnie się wyczerpywało. Wycie Almy działało jej na nerwy, poskarżyła się Wallace'owi, podczas gdy Huller zajmował się furgonetką na podwórzu.

Wallace nie mógł nie zauważyć, jak szczęśliwa wydawała się teraz Dotty. Miała zaróżowione zżywienia policzki, a jej oczy błyszczały jak w gorączce. Głos dziewczyny kojarzył mu się z wrzącą wodą. Im dziwniejsze stawało się życie, tym bardziej podobało się Dotty. Uwielbiała zamęt i komplikacje. Potrafiła wirować tak szybko, jak świat, nawet szybciej, aż, zupełnie jak skrzydełka kolibra, wydawała się jedynie nieruchomą smugą energii.

- Jak się słucha Almy, można by pomyśleć, że po Jiggym wszystko spłynęło jak po gęsi! Że tylko ona cierpi. – Dotty zapaliła kolejnego papierosa i upiła łyk kawy.

Wallace stał przy kuchence i smażył jajko dla dziewczyny. Kilka minut wcześniej pytał, czy żółtko ma być bardzo ścięte, czy tylko trochę. Dotąd mu nie odpowiedziała, więc wsunął łopatkę pod jajko i ostrożnie podniósł je z patelni.

– Jest taka gruboskórna – mówiła Doty.
– Ścięte czy nie? – zapytał szybko z jajem na łopatce. Wiedział, że Doty go nie tknie, jeśli żółtko pęknie.

– Ona nie rozumie, co to znaczy dla faceta. Zwłaszcza dla takiego jak Jig, co to dusi wszystko w sobie.

Nagle furgonetka ruszyła. Podjechała do werandy i zatrąbiła głośno, aż Doty podskoczyła na krzesło.

– Przez większość dnia będziemy w szpitalu – powiedziała, wylewając resztkę kawy do zlewu. Zerknęła w stronę drzwi. – Z przerwami – zaznaczyła. – Jig nie usiedzi tam przez cały dzień – dodała ciepło, a Wallace spojrział na nią uważnie.

Jajko spadło na gorący tłuszcz. Huller znowu zatrąbił.

Doty nie przestawała mówić. Krążyła po kuchni, zgarniając swój notatnik, buty na wysokich obcasach, wiszącą na drzwiach łazienki kraciatą koszulę Jiggiego, którą wyprasowała wczoraj w nocy, gdy Wallace poszedł spać do domku.

– To wszystko przez te jej nerwy. – Doty pochyliła się, żeby zapiąć pasek u butów. – Najmniejsze głupstwa wyprowadzają ją z równowagi. Wczoraj poszło o to, że mówiła, jak to jej siostra wprowadzi się tu, żeby zająć się dziećmi. Opowiedziałam jej, jak dobrze sobie z nimi radzisz. Lepiej niż rodzona matka. Na co ona wściekła się na Jiggiego, bo pomyślała, że rozgadawał, jaką to ona jest złą matką. Powiedziałam, że dobrze sobie radzisz i żeby przestała się przejmować.

Klakson nie przestawał trąbić. Doty uniosła głowę.

– Chryste Panie! – wrzasnęła w stronę drzwi. – Zaraz schodzę!

Odwróciła się, i podskakując na jednej nodze, przymocowała pasek u drugiego buta.

– Jeśli zadzwoni, powiedz jej, że wszystko w porządku.

Wallace znieruchomiał.

– Zadzwoni? – wykrztusił.

Telefony go przerażały. Nigdy nie umiał powiedzieć przez nie tego, co trzeba. Albo mówił za dużo, albo milczał, wydukawszy w słuchawkę ledwie dwa słowa.

– Nie wiem. – Popatrzyła na niego groźnie. – Jeśli zadzwoni, to lepiej odbierz, Aubie! Jeśli tego nie zrobisz, pomyśli, że coś jest nie tak i na pewno przyśle tutaj tę swoją kurewską siostrzyczkę!

Huller zaczął się drzeć i Doty wybiegła na podwórze. Wallace zerknął, za drzwi i gdy ujrzał, że dziewczyna weszła do auta, zdjął telefon ze ściany i nakrył go poduszką. Usiadł przy stole i zjadł jajko Doty. Potem zalał patelnię wodą i

namoczył naczynia ze śniadania. W tym samym czasie pozbierał zabawki dziewczynek. Co parę minut przekrzywił głowę i nasłuchiwał. Z oddali słyszał dzikie okrzyki kłócących się dzieci. Niedługo później spod poduszki rozległ się natarczywy dźwięk telefonu i niczym elektryczna piła zawibrował w uszach mężczyzny. Wallace zdjął poduszkę z kanapy, dodatkowo przykrył telefon i wrócił do swoich zajęć.

Miał nadzieję, że Alma nie przyśle tu swojej siostry. Lubił być sam na sam z dziewczynkami. Lubił się nimi zajmować, odkurzać i sprzątać. Kiedy nie było dorosłych, dziewczynki łatwiej go akceptowały. Wydawały się odprężone, szczęśliwsze, bardziej jak małe dzieci. Nawet Kelly jakby się uspokoiła. Wczoraj po kolacji bawili się w chowanego. Canny objaśniła mu reguły gry. On szukał, a one się chowały. Pod koniec zabawy dziewczynki ośmieliły się na tyle, że przestały się chować, tylko stawały tuż za jego plecami, podczas gdy on opierał się o próg domu i liczył: „97, 98, 99, 100.. Pałka zapałka dwa kije...”. Jeszcze zanim zdołał oderwać ręce od twarzy, małe biegły tuż koło niego i wpadały do domu z okrzykiem: „Zamawiam!” Samo myślenie o tym go uszczęśliwiała.

– Ale była zabawa – mruknął pod nosem. – Nigdy w życiu się tak dobrze nie bawiłem.

Podniósł ramię i wytarł w nie nos. Położył rękę na piersi, w tym szczególnym piekącym miejscu po lewej stronie, i przycisnął tam mocno palce, jak gdyby chciał objąć serce, przytrzymać je, żeby nie urosło zbyt duże.

Minęło wpół do dziewiątej wieczorem, a Jiggy i Dotty jeszcze nie wrócili. Telefon był cały zarzucony poduszkami. Po kolacji dziewczynki czuły się zbyt zmęczone na zabawę w chowanego. Wallace był bardzo rozczerowany, ale Canny obiecała, że pobawią się następnego dnia.

Wytarł ostatnie naczynie i odłożył je na bok. Na stole stały cztery szklanki i talerz herbatników z cukrem. Wallace nalał lemoniady do szklanek, po czym cofnął się o krok, żeby sprawdzić, czy o czymś nie zapomniał. Papierowe serwetki! Nie znalazł żadnych w kredensie, więc złożył staranie cztery kawałki papieru toaletowego i umieścił je obok szklanek.

Wszystkie trzy dziewczynki były w pokoju gościnnym. Kelly i Krystal usiadły na kanapie, po obu stronach Canny. Słuchały jej z równym skupieniem, co stojący w drzwiach Wallace.

– Więc wszyscy książęta wrócili do zamku na wielkich białych koniach – mówiła Canny. – Król wychylił się z okna i krzyknął: „Ej, wy tam, przecież wam

mówiłem! Możecie poślubić księżniczkę tylko wtedy, kiedy ją znajdziecie”. Książęta potracili głowy. Uznali, że...

– Czekaj no! – przerwała jej Krystal. – Jak to: potracili głowy! Zabili ich? Kto ich ściął?

– Nikt ich nie ściął! – roześmiała się Canny. – Pojechali szukać ukrytej księżniczki.

– Bez głów? – dopytywała się Kelly.

– Nie bez głów – tłumaczyła cierpliwie Canny. – Potracili głowy, czyli się przestraszyli. I nie wiedzieli, co robić.

Wallace zamyślił się w kuchni.

– Teraz jasne – powiedział do siebie. Usiadł na krześle przy stole i uważnie słuchał opowieści.

Przez dwadzieścia dni książęta krążyli po królestwie w poszukiwaniu zaginionej księżniczki. Napotykali groźne bestie, krokodyle, muchy pożerające ludzi, wariata imieniem Herman, który poobcinał koniom ogony, a teraz wściekły pies zatopił kły w ramieniu jednego z książąt.

Wallace siedział na brzegu krzesła, ze wzrokiem utkwionym w kudłatej, wielkiej bestii po drugiej stronie drzwi. Pies Hullera udawał, że śpi, a pysk drgał mu niebezpiecznie.

– Inni książęta skopali psa, a jeden walnął go kamieniem w głowę....

Wallace pochylił się nad stołem, zacisnął szczękę i wbił paznokcie w spoczone wnętrze dłoni.

Pies podniósł łeb i popatrzył na niego.

– I wtedy najważniejszy książę zobaczył coś naprawdę dziwnego – ciągnęła Canny. – Zobaczył na grzbiecie zwierzaka duży, długi zamek błyskawiczny.

Wallace zmrużył oczy i wbił spojrzenie w psa. Canny mówiła coraz szybciej.

– „Nie bijcie!”, rozkazał książę reszcie. Ale było już za późno, cholera jasna! Wszyscy rzucali w psa kamieniami, a jeden książę dźgnął go mieczem. A potem rozpięli psa i w środku znaleźli księżniczkę.

Krystal sapnęła, a Kelly roześmiała się nerwowo. W kuchni Wallace podrapał się w głowę.

– Miała rozwaloną głowę, złamaną rękę i wielką dziurę w sercu...

Wallace czuł się oszołomiony. Próbował usłyszeć zakończenie, ale Kelly i Krystal znowu się pokłóciły.

Zawołał dziewczynki na deser do kuchni. Kiedy usiadły przy stole, spytał Canny, co się stało z księżniczką.

– Nic – odparła i ugryzła ciastko. – Umarła.

Twarz Wallace'a się wydłużyła. On też zjadł kawałek ciastka i zastanawiał się przez chwilę.

– Dlaczego pies pilnował zamku? – popatrzył z zaciekawieniem na Canny. – Czy król wiedział, że pies to księżniczka?

– Nie wiem. – Canny zerknęła szybko na obie dziewczynki. – Pewnie nie.

– To nie ma sensu – stwierdził Wallace.

Kelly uśmiechnęła się radośnie, widząc zakłopotanie Canny.

– To tylko historyjka, tatusiu – powiedziała dziewczynka. – Wiesz, bajka.

– Ale bajki mają szczęśliwe zakończenia – zaprotestował Wallace. – Tak powinno być, Canny!

– Właśnie – poparła go Kelly. – To głupia historia.

– Aha – zgodziła się Krystal. – Psy nie mają zamków.

Canny zaczęła wiercić się na krześle. Wyglądała tak, jak gdyby lada chwila miała się rozpłakać.

– Może opowiesz nam inną bajkę, Canny? Jakąś ładną – rzekł szybko Wallace.

– Nie! – Wydęła wargi.

– No, Canny – namawiał ją. – Opowiedz tę, którą lubię. O czarownicy i żabie. – Pochylił się i złożył dłonie. – No...

– Ty opowiedz – zażądała Canny.

Dziewczynki patrzyły, jak Wallace przygryzł wargę i znieruchomiał. Z przejęciem żuł usta, aż drżały, gdy usiłował znaleźć właściwą myśl.

– Dawno... dawno temu... – Jego ręka pofrunęła w powietrze, po czym opadła. Wallace ze smutkiem potrząsnął głową. – Nie mogę. Nie mogę znaleźć słów.

Przez chwilę dziewczynki przyglądały mu się w milczeniu.

– Jesteś opóźniony? – zapytała go Kelly.

– Pewnie, że nie! – parsknęła Canny.

– Dotty tak mówiła! – odgryzła się Kelly.

– Wcale tak nie mówiła!

– Mówiła! – upierała się Kelly. Odwróciła się do młodszej siostry. – Prawda?

Krystal wzruszyła ramionami i w tym momencie Kelly złapała ostatnie ciastko małej. Krystal wybuchnęła płaczem.

– Oddaj to – zażądał Wallace.

W oczach dziecka pojawił się chłód, taki sam, jaki Wallace widywał w spojrzeniu Hullera. Kelly ugryzła ciastko i przeżuwała je, nie spuszczać wzroku z Wallace'a.

– Nie jesteś dobrą dziewczynką – mruknął Wallace.

Po grzbiecie spływał mu pot, czuł, jak zjeżyły mu się włosy na dłoniach. Ta mała grała mu na nerwach. Wyjął trzy ciastka z pudełka – dwa podał Krystal, a jedno Canny.

– Ty nie dostaniesz nic – powiedział drżącym głosem do Kelly. – Gdybyś poprosiła, zamiast zabierać, też byś dostała.

– Stary pierdziel – mruknęła pod nosem Kelly.

– Zamknij się! – wybuchnęła Canny.

– To nie mój ojciec! Nie muszę słuchać tych pierdoł.

– Musisz – odparła Canny. – Musisz go słuchać, dopóki nie ma twojego taty.

– Nie muszę – upierała się Kelly. – I ty też nie, bo to nie jest twój ojciec.

Najmłodsza z dziewczynek odstawiała lemoniadę. Wytarła usta i popatrzyła na stojącego obok kuchenki Wallace'a.

– Nie jesteś ojcem? – zapytała.

Zdjął fartuch i starannie złożył go w kwadrat. Canny popatrzyła na niego.

– To mój ojciec, pewnie, że to mój ojciec!

– Nieprawda. – W głosie Kelly słychać było nutę triumfu. – Słyszałam, jak Dotty to mówiła. Powiedziała, że mają cię od Cyganów i zwrócą cię Cyganom.

– Zamknij się – ostrzegła ja Canny.

– To sekret – triumfowała Kelly. – Ale ja wszystko wiem. Oddadzą cię Cyganom, a Cyganie zapłacą za ciebie tysiąc dolarów i sprzedadzą cię okropnej starej pani. Będziesz jadła żarcie dla psów i spała w piwnicy z pajakami i szczurami!

Wallace zadrżał.

– Biedna Canny – wzdrygnęła się Krystal.

– Jesteś nienormalna, wiesz? – powiedziała Canny drżącym i cienkim głosem.

– Znam jeszcze jedną tajemnicę... – Kelly uśmiechała się, a jej oczy lśniły jak rozżarzone węgielki. – Zabiorą pieniądze od Cyganów i pojadą daleko, daleko, do Hollywood. Tylko oni... – Jej głos zadrżał. – I ja! – dokończyła triumfalnie.

Kiedy Krystal i Kelly poszły spać, Wallace usiadł na kanapie i razem z Canny oglądał telewizję.

– Nienawidzę jej! – powiedziała Canny i wsadziła palec do ust, żeby odebrać kawałek skórki przy paznokciu.

– Same kłamstwa, i tyle – mruknął Wallace. – Oderwał dłoń dziewczynki od jej ust i położył ją na jej kolanach. Paznokcie Canny były poobgryzane do żywego mięsa.

– No to po co je mówi, skoro to nieprawda? – zapytała Canny. – I to jeszcze przy tobie.

Znów chciała podnieść rękę, ale Wallace jej na to nie pozwolił.

– Dlatego – odezwał się po jakiejś minucie – że chce być szczęśliwa i ci zazdrości, bo ty jesteś szczęśliwą dziewczynką. Tylko, kiedy dokuczają innym, czuje się właśnie taka.

– Jaka? – Canny zaczęła zaplatać w warkoczyki nitki sterczące z jej szortów.

– Szczęśliwa.

– To jakieś dziwne, tatusiu. – Popatrzyła na niego.

– Wiem – przyznał.

W jakiś sposób było to jednak prawdziwe. Żeby wyjaśnić to lepiej, musiały opowiedzieć jej o Hyacinth, która sama była właśnie taka – zawsze szukała szczęścia i nienawidziła tych, którzy znajdowali je przed nią.

Canny ziewnęła i położyła się, układając głowę na jego kolanach. Gdy tylko zasnęła, Wallace wysunął się spod niej i zaczął sprzątać kuchnię. Włożył zabawki do wielkiego pudła i postawił na schodach trampki dziewczynek. Następnie umył kuchenkę amoniakiem i wyczyścił zlew. Położył krzesła na stole, żeby móc zamieść całą kuchnię i zmyć podłogę. Musiał się czymś zająć. Tylko w taki sposób potrafił odpędzić strach i samotność. Oczywiście, dziewczynka kłamała, powtarzał sobie. Wszystko, co mówiła, zmyśliła tylko po to, żeby dokuczyć Canny.

– Na pewno – mruknął do siebie, pochylając się nad szczotką i z całej siły trąc podłogę. – To same kłamstwa.

Przejechał szczotką po podłodze i wycofał się do pokoju gościnnego. Stał w progu, obserwując szybko schnące, popękane linoleum. Na zewnątrz ciemność gęstniała od upału. Wallace miał wrażenie, że odróżnia cykanie każdego świerszcza, rechot każdej żaby i szelest każdego liścia. Nawet przytłumione brzęczenie telefonu wydawało się odległe i czyste. Przepelniało cały dom.

Zanim usiadł, odkrył telefon. W chwili, gdy odłożył słuchawkę na miejsce, rozległ się dzwonek. Dzwonił dosyć długo, zanim Wallace w końcu podniósł słuchawkę.

– Halo? Halo? – rozległ się damski głos. – Słyszysz mnie? Odpowiadaj, do cholery. Gdzieś ty był, sukinsynu?

– Nie wiem – odparł ochryplym głosem. Pomyślał, że to Hyacinth. Zamknął oczy i potrząsnął głową.

– Jak to, nie wiesz? – zaskrzeczał głos.

To była prawda. W tej chwili Wallace nie tylko nie wiedział, gdzie był przez ostatnie pięć lat, ale nie miał też pojęcia, nawet się nie domyślał, gdzie znajdował się teraz.

– Wiesz, jak to jest siedzieć tu i czekać, kiedy przyjdiesz? Myślisz, że kim do cholery jesteś?

Wzruszył ramionami i nie odpowiedział. Zwiesił głowę w poczuciu wstydu. Miał wrażenie, że coś zaciska mu się w gardle, a następnie odwirowuje, niczym zmienacka odetkany zlew.

„Zgubiłem się” – chciał powiedzieć, ale z jego ust wydobyło się tylko rżenie.

– Kto mówi? Czy to Jiggy? Jiggy, tu Alma... Piłeś?

Wallace zamrugał powiekami i odchrząknął.

– Jeszcze nie wrócili – powiedział i odłożył słuchawkę.

Usiadł na kanapie i delikatnie ułożył głowę Canny na swoich kolanach. Przez sen dziewczynka podrapała się gwałtownie po głowie. Wallace pomyślał o swoich chłopcach, małych jak on sam, z krzywymi, cienkimi nogami i kosmykami włosów sterczącymi niczym chwasty, tak że przez całą niedzielną mszę Hyacinth zwilżała śliną palce i przyklepywała im fryzury.

Usiłował skoncentrować się na programie w telewizji, ale wszystko przypominało mu Hyacinth i synów. Kiedy telefon znowu zaczął dzwonić, Wallace wbił wzrok w ekran.

Nadawano właśnie program jakiegoś księdza. „Wielebny Maximilian Green”, głosiła złota tabliczka na biurku, gdzie siedział ksiądz w rękami zaciśniętymi na Biblii. Przez ten dzwonek telefonu Wallace nie słyszał ani jednego słowa duchownego. Jego zaczesane do tyłu włosy i gęste wąsy przypominały Wallace'owi wujka Hyacinth, wielebnego Pomeroy'a Hinda, bijącego żonę furia i bawidamka, który zanim zrozumiał, że ma powołanie, pomiędzy jedną a drugą odsiadką zajmował się wyrobem kaszanki. Hyacinth twierdziła, że Pomeroy miał sześć wizji, a każda z nich była bardziej „przestraszliwa” niż poprzednia. Szósta wizja dopadła golusieńkiego Pomeroy'a w ciężarówce, w drodze na szczyt Łysego Wzgórza. Policja ściągnęła ciotkę Bertie, która przysięgała na swoje życie, że młodzieniec, który

według policjantów uciekł z ciężarówki do lasu, był tym samym diabłem z rogami z pierwszych pięciu wizji.

Telefon przestał dzwonić.

Na werandzie rozległo się ciche warczenie psa. Wallace sięgnął po miękką, spoconą rączkę Canny i zacisnął ją w swojej dłoni. Nagłe, pełne udręki szczekanie przeszło noc niczym seria z karabinu. Zwierzę zaczęło krążyć w tę i z powrotem, a jego gruby ogon uderzał o szybę. Wallace zeszywniał, mając nadzieję, że usłyszy warkot pikapa Hullera. Nagle zagrzmiało i cały dom zamigotał w błysku, który rozciął czarną noc niczym nierówna blizna. Pies zawył i napał na drzwi. Jego przekrwione oczy były pełne strachu. Przy następnym grzmocie zwierzę zaczęło skomleć i drapać pazurami drewno. Wallace przeszedł na palcach po mokrej podłodze i otworzył drzwi. Gdy pies skulił się u jego stóp, mężczyzna pozamykał wszystkie okiennice, mrużąc oczy za każdym razem, gdy na niebie pojawiała się błyskawica.

Kiedy Dotty i Huller dotarli w końcu do domu, Wallace drzemał – jego głowa kiwała się nad Canny. Koło nich leżał pies. Dotty pochyliła się, żeby obudzić Wallace'a. Miała rozmazany makijaż i zmęczone spojrzenie. Wallace otworzył oczy i skulił się w sobie. W migoczącym, jasnym świetle z ekranu twarz dziewczyny wyglądała niemal jak naga czaszka. Instynktownie Wallace wyciągnął dłoń po Canny.

– Będę w kuchni – mówiła Dotty. – Musimy porozmawiać....

Huller właśnie zestawiał krzesła na podłogę. Otworzył dwie puszki piwa, jedną dla siebie, a drugą dla Dotty. Miał rozpiętą koszulę i drapał się po piersi. Ciężkim, szklanym wzrokiem popatrzył na zaspanego Wallace'a.

Wallace usiadł i zacisnął kolana. Musiał iść do ubikacji, ale nie mógł tego zrobić, skoro Huller i Dotty siedzieli tak blisko drzwi łazienki.

Wszystko w Dotty było w nieładzie. Miała mokre i potargane włosy, a jej oczy wędrowały od jednego mężczyzny do drugiego. Wierciła się na krześle i nerwowo oblizywała wargi, dopóki Huller nie usiadł. Wtedy wyprostowała się i pochyliła ku niemu, gdy wyjmował z kieszeni kartkę papieru. Huller popatrzył na nią, po czym ostrożnie rozwinął papier i położył go na stole, wygładzając palcem czarno-białe zdjęcie.

- Aubie! – Dotty wyciągnęła rękę, by dotknąć Wallace'a. – Chcę, żebyś...
- Cicho bądź! – przerwał jej Huller.

Cofnęła dłoń niczym skarcone dziecko i popatrzyła niespokojnie na kartkę, którą Huller popchnął w stronę Wallace'a. To było zdjęcie małego dziecka.

– Rozpoznajesz ją? – spytał Huller napiętym głosem. Na zewnątrz strugi deszczu uderzały o werandę.

Wallace pochylił się nad zdjęciem. Dziewczynka na fotografii miała na sobie białe śpiochy. Jej włosy były bardzo jasne i okalały drobną buzię niczym czepek. Stała z rozłożonymi rękami, jak gdyby miała właśnie zrobić pierwszy krok – albo upaść, pomyślał Wallace. Niewyraźne rysy jej twarzy niknęły w ziarnistym cieniu.

– No i? – spytał Huller, bębniąc palcami o stół.

– Nie za dobrze widzę jej twarz – wymamrotał Wallace. Pochylił się jeszcze bardziej i zmrużył oczy tak, że były teraz prawie zamknięte.

– Powiedz mu! – wykrzyknęła bez tchu Dotty.

Słyszając to, Wallace szybko podniósł głowę, a jego spojrzenie powędrowało do Canny, wciąż śpiącej przed ekranem telewizora. Jej zacisnięta piąstka zwisała się z kanapy.

– On wie – mówiła Dotty do Hullera. – Tylko się boi. – Pochyliła się w stronę Wallace'a. – Nie bój się, Aubie. Wszystko w porządku.

Usiłowała się uśmiechnąć, ale rysy jej twarzy zdawały się trząść i drgać. Patrząc na nią, Wallace zacisnął szczękę. Dotty zamrugła i odwróciła wzrok.

– Skąd masz to zdjęcie? – spytał. Dotty popatrzyła na Hullera.

– Widzisz? – Złapała go za ramię. – On wie.

– Powiedziałem, żebyś się zamknęła! – rzucił ze złością Huller i strząsnął jej dłoń. – Chcę to usłyszeć od niego!

Twarc Dotty wykrzywiła się.

– Powiedz mu, Aubie! – wyszczała dziewczyna. – Wiesz, że to ona – taka jak wtedy, gdy ją wzięliśmy!

Uderzyła pięścią w stół i jęknęła, widząc jego puste spojrzenie.

– Skąd masz to zdjęcie? – powtórzył głucho.

Dotty zerknęła na Hullera, który siedział spokojnie, niczym kot między dwoma wypatroszonymi ptakami.

– Z poczty – odparła powoli i popatrzyła na Wallace'a. – Aubie, za to jest nagroda! Jej rodzina zapłaci za nią dwadzieścia pięć tysięcy dolarów!

Ale Jiggy chce mieć pewność. Chce to usłyszeć od ciebie. – Jej głos wniósł się, aż wreszcie załamał, jak pęknięta struna w skrzypcach. – Powiedz mu, Aubie! Powiedz mu, kto jest na zdjęciu! Powiedz mu!

Wallace popatrzył na fotografię i potarł kostkami jednej dłoni o drugą. Miał wrażenie, że kuchnia nagle pograżyła się w mroku. Potrząsnął głową. Huller zaśmiał się i podniósł zdjęcie. Dotty wyrwała mu je i podetknęła pod nos Wallace'a.

– Przyjrzyj się! – wrzasnęła. – I powiedz, kto to jest, cholera, albo w tej chwili wyjdę z tego domu. Wierz mi, że nie żartuję!

Zaczęła wstawać, ale Huller popchnął ją z powrotem na krzesło.

– Czy to Canny? – spytał.

– Nie wiem – wymamrotał Wallace.

– Sukinsyn! – jęknęła Dotty.

Poderwała się z krzesła i doskoczyła do niego. Spojrzał na nią właśnie wtedy, gdy otwartą dłonią trzasnęła go w policzek.

– Moja jedyna szansa! Taka okazja, a ty chcesz wszystko spieprzyć? – krzychała i uderzyła go ponownie. – O, nie! Sama to zrobię. Tak jak wszystko... – Podniosła wycinek i rzuciła nim w Wallace'a. – Wiedziałam, że tak będzie. Nie chcesz jej oddać, co? Chcesz ją zatrzymać i wciąż uciekać. No to lepiej zacznij już teraz, bo ja mam dosyć uciekania i mam dosyć ciebie, i tego bachora. Powiem ci coś jeszcze, ty głupi kutasie. Kiedy odejdę, zostaniesz z niczym i nie będziesz miał dokąd pójść!

Wybiegła z kuchni, trzaskając za sobą drzwiami. Huller zakręcił swoją puszką od piwa, ale nic nie powiedział. Łzy spływały po zapadniętych policzkach Wallace'a aż do kącików jego ust.

– To ona – powiedział cicho.

Huller przyglądał mu się zwijając górną część zdjęcia.

– To Canny – dodał Wallace i wytężył zasnute łzami oczy, żeby przeczytać tekst nad zdjęciem. Jego usta w milczeniu walczyły z każdą sylabą.

ZAGINIONA! OD SIERPNIA 1980 CAROLINE ANNE BIRD, PÓŁTORA ROKU

– Co tu piszą? – spytał Wallace.

– Caroline – odpowiedział Huller z lekkim uśmiechem. – Caroline Anne Bird.

Wallace przybliżył zdjęcie i wpatrywał się w nie badawczo, po czym zmarszczył brwi.

– Mówiła „Canny”, więc tak na nią wołaliśmy – popatrzył z zakłopotaniem na Hullera. – Ale nie umiała za dobrze mówić.

Huller wyciągnął rękę po fotografię.

– Tylko gaworzyła – dodał Wallace.

9.

Była dziesiąta rano. O jedenastej Huller miał odebrać Almę ze szpitala. W kuchni znowu panował okropny bałagan. Dziewczynki wywaliły zawartość pudła z zabawkami wprost na podłogę, ubłoconą ziemią z mokrego podwórza. Słońce już wyszło, ale zbyt mocno, zbyt jasno, zbyt niespodziewanie, niczym szaleńczy śmiech po ataku płaczu. Canny tłukła pięścią w zamknięte drzwi do kuchni.

– Krystal jest głodna! – krzyknęła, rozplaszczając usta na szkle.

– Jeszcze chwila! – odwrzasnęła Dotty i zapaliła papierosa z paczki Jiggy'ego.

– Ale ona jeszcze nie jadła śniadania! – krzyknęła Canny. – I ma mokre majtki.

– Powiedziałam, jeszcze chwilę, cholera jasna! – wydarła się Dotty.

Canny wspięła się na palce i zajrzała przez szybę do kuchni.

Zmieszany Wallace odwrócił wzrok. Dotty wstała i zasunęła zasłonkę na szybie.

– Najważniejsze to zgrać wszystko w czasie. – Huller mówił bardziej do siebie niż do nich. – Telefon, miejsce wymiany, wóz i oddanie dziecka.

Dotty przysunęła się do niego. Huller położył papierosy na stole.

– To samochód z dzieciakiem. – Popchnął paczkę w kierunku puszki z piwem. – A to punkt wymiany. Sprawdzasz, czy wszystko się zgadza – powiedział, przesuwając paczkę obok kubka Wallace'a. – I wypuszczasz dzieciaka – pokazał kubek.

Dotty zmarszczyła brwi. Patrzyła na kubek i na papierosy.

– Kto prowadzi? – spytała.

– Tatusiek – uśmiechnął się Huller – On będzie w wozie z dzieciakiem. My jesteśmy tu. – Wskazał pudełko zapalek. – W furgonetcie. Jak tylko forsa...

- Ale on się zgubi! – przerwała mu Doty. – Mówiłam ci, jak częste się gubi.
- Nie, nie zgubi się – powiedział stanowczo Huller. – Kilka dni wcześniej zrobimy próbę.
- Zapomni! – jęknęła Doty.
- Przestań! Sprzeciwiasz się wszystkiemu, co mówię, i mam już tego dość!
- parsknął Huller. Wytarł spoconą szyję brudną ścierką do naczyń, po czym rzucił ją na stół.
- Przepraszam – rzekła Doty. – To tylko nerwy. Chryste, ilekroć pomyślę o glinach, coś mi się wywraca w środku.
- No to nie myśl o glinach. Myśl o tej całej forsie. – Huller uśmiechnął się i wydał wargi. – O tych wszystkich mięciutkich banknotach... – Zerknął na Wallace'a, a uśmiech zniknął z jego ust. – O co chodzi, tatuśku? Też się boisz?
- Wallace przytaknął. Chciał coś powiedzieć, ale tylko potrząsnął głową.
- Powiedz... No, już! – Huller machnął ręką. – Wyrzuć to z siebie! I to teraz.
- Wallace niespokojnie wzruszył ramionami. Huller ponownie zachęcił go gestem, aby przemówił.
- Czy jeśli poprosimy o pieniądze, to znaczy, że jesteśmy jak... jak porywacze? – wykrztusił w końcu Wallace.
- Przecież jesteście, co nie? – parsknął Huller.
- Wallace szeroko otworzył oczy.
- Nie tak jak prawdziwi – zapewnił Hullera. – Nie tak jak ci z telewizji.
- Czyżby? – Huller przygryzł wargę. – Jak na to wpadłeś?
- Nie zrobiliśmy tego specjalnie – powiedział Wallace. Wzruszył ramionami i popatrzył nieśmiało na Doty. – Obluzowała się rura wydechowa, zatrzymaliśmy się, a ja powiedziałem: „Nie mamy pieniędzy ani jedzenia, musimy wracać”. No i na to ona pobiegła, chyba po pieniądze, ale wtedy myślałem, że uciekła i chciałem wracać, tylko że zabrała kluczyki, i zaraz wróciła z małą dziewczynką i słoikiem drobnych. A jak spytałem: „Kto to?”, to najpierw powiedziała, że ją znalazła, potem, że jakaś pani zapłaciła jej, żeby ją wzięła, no i była bardzo przestraszona, rzecz jasna, i powtarzała: „Jedź! Jedź!” No i ja też się bałem... – Nawet teraz jego twarz była biała jak papier, a głos trząsł się ze strachu.
- On ma tysiąc wersji – roześmiała się nerwowo Doty. – Za każdym razem mówi coś innego.
- Nieprawda – stwierdził obrażonym tonem Wallace i podrapał się po głowie. – Właściwie dotąd nikomu o tym nie mówiłem.

Huller obserwował Dotty. Jego usta rozciągnęły się w powolnym, złowieszczym uśmiechu.

- Nie patrz tak na mnie! – wybuchnęła Dotty.
- Jak? – roześmiał się Huller i otworzył szeroko oczy.
- Jak gdybyś zjadł wszystkie rozumy! – odparła.

10.

Czasem, gdy w telewizji pokazywano reklamę pampersów, Alma pociągała nosem, ale ogólnie była w dobrym nastroju. Oczywiście, pomagał jej w tym fakt, że w domu panował idealny porządek i że Jiggy wciąż kręcił się w pobliżu, wyznała Wallace'owi, kiedy zmywał naczynia po śniadaniu. Przygotował na nie ulubione naleśniki Canny. Na wieczór planował pociąć resztkę ciasta i zasmażyć je w głębokim oleju.

- Pewnie było zbyt wcześnie – odezwała się zza stołu Alma.

Zapaliła kolejnego papierosa. Mimo otwartego okna kuchnia pełna była dymu. Teraz Alma mogła palić tyle, ile chciała. Już nie było jej od tego niedobrze.

- Zupełnie tak jak wtedy, gdy się pobraliśmy. On chciał gdzieś wyjść, a ja czułam się zbyt zmęczona, albo tak puchły mi nogi, że nie mogłam nawet na nich ustać. No i żadnych stosunków, byłam taka wielka i chora – roześmiała się. – Najmniejszy ruch, a już puszczałam pawia. Wystarczyło, że on siadał na łóżku, a ja zaczynałam się dławić.

Woda spłynęła do zlewu.

Wallace był cały czerwony. Wyjął ścierkę, po czym pochylił się i wytarł krople wody z kranu.

- To przykre, jeśli się tak nad tym zastanowić – ciągnęła Alma. – Przecież stosunki są najważniejsze dla nowożeńców. Tak ludzie się poznają. Pewno, że to trwa wiele lat... – Jej głos odpływał powoli. Przez chwilę wpatrywała się w pustą filiżankę po kawie. – Dotty mówiła, że długo byłeś żonaty. Ze swoją żoną – tą przed Dotty. Czy ona była taka jak Dotty? To znaczy, równie ładna?

Wallace nie ruszył się od zlewu. Znowu zaczął wyżymać ścierkę.

– Pewnie nie, co? – westchnęła Alma. – Pewnie była taka jak ja, zniszczona, gruba i beznadziejna, i nie mogłeś jej dłużej znieść. I wtedy pojawiła się Dotty, i nie potrafiłeś jej odmówić, i odjechaliście...

Wallace wymamrotał coś pod nosem.

– Co? – Alma pochyliła się w jego kierunku.

– Nie była gruba – powtórzył cicho.

– Ale była wyniszczona i wciąż się upierała, żebyś siedział w domu? – Alma zgasiła niedopałek na spodku od filiżanki do kawy. Z pudełka na brzuchu wyciągnęła garść chrupek i wrzuciła je do ust.

– Nie – odparł niespokojnie Wallace. – Zawsze siedziałem w domu.

– Nie wychodziłeś z kolegami? – zapytała go z ustami pełnymi jedzenia.

Odwrócił się i potrząsnął przecząco głową.

– Na kręgle? Albo się trochę powlóczyć?

Znowu potrząsnął głową.

– Poważnie? Jezu! – Przyjrzała mu się z zaciekawionym wyrazem twarzy i wzruszyła ramionami. – To co robiłeś?

– Nic – odparł.

– Ona się puszczała? – Alma zmrużyła oczy.

– Nie. Nie była taka.

– Jak miała na imię? – spytała, a kiedy jej powiedział, powtórzyła. – Hyacinth. Ładnie. Nie słyszałam takiego imienia.

– Wszystkie jej siostry miały imiona od kwiatów – zamrugał gwałtownie powiekami. Zupełnie o tym zapomniał. – Była Rose, Daisy, Marigold i ta jedna, co umarła, Daffodil *.

* Po kolei – Róża, Stokrotka, Nagietek i Żonkil (przyp. tłum.).

Na podwórzu rozległ się przeraźliwy krzyk Canny. Kiedy Wallace nie ruszył się z miejsca, Alma wstała powoli i poczłapała na werandę. Wciąż wyciekała z niej krew. Dotty mówiła, że niektóre skrzepy były tak wielkie jak grapefruity.

Po narodzinach Answana Hyacinth nie mogła chodzić przez dwa tygodnie. Wtedy właśnie wprowadziła się do nich jej matka. Pani Kluggs miała zajęczą wargę i jasnoniebieski odcień skóry, tak charakterystyczny dla Mooneyów. Kiedyś wszyscy Mooneyowie byli tacy niebieskawi, i bardzo z tego dumni, przechwalała się pani Kluggs.

Teściowa go nienawidziła.

Wystawiała jego buty na werandę, żeby przez całą noc napelniały się śniegiem.

Wchodziła do łazienki tuż po nim i otwierała okno. Kiedy to nie pomagało, zatykała sobie nos chusteczką. Nauczyła tego Arnolda. Czasem cała rodzina siedziała wokół niego w tych maskach z chusteczek.

Poczuł się słabo. Pamiętał zbyt wiele. Rozejrzył się po kuchni, zatrzymując wzrok na bezgłowej łalce obok worka ze śmieciami i pokrytym błotem trampku przy psiej miseczce z wodą, w której pływała czarna mucha. Przez chwilę nie mógł sobie przypomnieć, czyj to dom i dlaczego on tu się znalazł. Wbił spojrzenie w muchę – w jej pokrytą włosami główkę i ciemne skrzydełka, bezwładne i opalizujące.

– Zgubiłem się – wyszeptał. – Tak właśnie było.

Z podwórza dobiegł go kobiecy śmiech. Śmiała się Alma, ale to śmiech Hyacinth trzasnął go w plecy niczym bicz; ona i ci jej wszyscy krewni Kluggsowie rechotali i walili się po udach z uciechy, pękając ze śmiechu nad tą pocieszną historią. Słyszał to kto? Jednego ranka wyszedł do pracy; wrócił pięć lat później i mówi, że się zgubił. Daj spokój, Wallace, wymyśl coś innego...

Minał tydzień i z tego, co zauważył Wallace, Alma nie wiedziała nic o Canny. Wydawała się całkiem zadowolona, mogąc palić, oglądać seriale w telewizji i uskarżać się Dotty na niechlujstwo swojej piętnastoletniej siostry. Ellie wprowadziła się trzy dni wcześniej, po ostrej awanturze z matką.

Jiggy, Dotty i Wallace byli teraz w domku, opracowując „plan”. Alma drzemała w domu. Ellie, tuż po śniadaniu, zabrała trzy dziewczynki do lasu, żeby popluskowały się w strumieniu. Ellie była dużą, kościstą dziewczyną o pełnych, opinających cienkie bawełniane koszulki piersiach. Choć ładniejsza od Almy, miała równie tępe spojrzenie.

Dotty siedziała na jednym z łóżek w domku i wcierała w nogi oliwkę dla niemowląt. Przez cały ranek wylegiwała się na słońcu i jej uda przybrały barwę ciemnego różu. Jiggy usiadł na krawędzi drugiego łóżka. Pomiędzy nimi na drewnianym krześle usadowił się milczący Wallace. Rękami obejmował kolana. Gdy oni rozmawiali, kiwał tylko głową, ledwie ich słuchając, a jego spojrzenie było nieruchome i zamglone. Ich głosy brzęczały dziwnie, wznosiły się i opadały, przepływając gdzieś obok niego.

Jiggy mówił właśnie, że to Wallace powinien załatwić wszystkie telefony.

– Będą myśleli, że mają do czynienia z jednym facetem – twierdził. – To nie mogą być ja. Znają mnie tutaj.

– Ale jemu przez telefon wszystko się popieprzy. – Dotty wytrząsnęła oliwkę na palce i rozsmarowała ją po wewnętrznej stronie ud. Zerknęła na zamysłonego Wallace'a. – On boi się rozmawiać z kimś, kogo nie widzi.

– Powiem mu, co ma mówić – odparł Jiggy.

Dotty potrząsnęła głową.

– Zapomni – westchnęła. – Gwarantuję ci to.

– No to mu zapisz – upierał się Huller.

– On nie umie czytać – powiedziała takim samym, wypranym z emocji głosem.

Huller spojrzął na Wallace'a. Drobny mężczyzna poruszał powoli szczęką, a jego spojrzenie wydawało się całkiem nieprzytomne.

– W co ja się pakuję? – westchnął z rezygnacją Huller. – Chryste Panie!

Dotty wzruszyła ramionami.

– Umie czytać proste słowa napisane drukowanymi literami. – Roześmiała się cicho. – Canny czyta teraz równie dobrze jak on.

Huller wstał i podszedł do drzwi. Omiótł spojrzeniem zakurzony podjazd.

– Powinnaś zobaczyć ich dom, znaczy dom rodziny Canny – powiedział.

– Już go widziałam – odparła. – Byłam w nim. Zapomniałaś?

Huller odwrócił się i przyjrzał jej uważnie, jak gdyby usiłował się na coś zdecydować.

– Nie bałaś się tak wejść do obcego domu i zabrać stamtąd dziecko? – zapytał.

– Nie wtedy. Nie w środku – roześmiała się. – Zapukałam i miałam powiedzieć temu, kto otworzy drzwi, że zbieram na walkę z rakiem albo co. Kiedy nikt nie otworzył, nacisnęłam na klamkę i weszłam do środka, prosto do kuchni. Na ladzie stał słoik z drobniakami i nagle przypomniałam sobie, że jestem głodna. Otworzyłam lodówkę i stałam tam, gapiąc się na jedzenie, i wtedy usłyszałam dziecinny głosik, który mówił „Hej, hej”, no i zobaczyłam małą dziewczynkę. Była w pokoju obok, w kojcu, i przyciskała twarz do siatki, taka śliczna, i pucłowata. Zaczął dzwonić telefon, a ona wciąż powtarzała „Hej, hej”, coraz głośniejsze, jak gdyby chciała, żebym jej odpowiedziała. Bałam się, że jak tego nie zrobię, to się rozplacze czy co. No więc weszłam do pokoju i powiedziałam „Hej”, a kiedy wychodziłam, ona wciąż krzyczała „Hej! Hej!”

Dotty przyciągnęła kolana do brody i uśmiechnęła się lekko. Wallace patrzył na

dziewczyne i uważnie wsłuchiwał się w jej słowa.

– Nie chciała się zamknąć i wtedy telefon przestał dzwonić, więc wzięłam ją na ręce. Nagle wydało mi się, że słyszę kroki na schodach na górę, więc wybiegłam, a kiedy dotarłam do ciężarówki, Aubie zaczął zadawać mi mnóstwo pytań. Wtedy się przestraszyłam! Mogłam myśleć tylko o tym, żeby uciec stamtąd jak najprędzej. Nie myślałam o niczym innym, przysięgam. Gdybym to zaplanowała, na pewno nie poszłoby tak gładko. – Westchnęła i potarła brodą o tłuste od oliwki ramię. – Tylko wyłumacz to glinom. Że to się po prostu wydarzyło. Przecież nie mogłam jej zostawić Bóg wie gdzie, a po jakimś czasie Aubie tak się do niej przywiązał, że kiedy kazałam mu zatrzymać auto, żeby ją wysadzić, nie zgodził się i wciąż jechał. Nie chciał mnie posłuchać.

– Nigdy nie kazałaś mi się zatrzymać, Dotty – Wallace pochylił się ku niej. – Zrobiłbym to.

– Akurat! – roześmiała się nerwowo. – Nie mów, że pamiętasz! – Wywróciła oczami i spojrzała na Hullera. – On nie pamięta nawet jaki dziś dzień, nie mówiąc już o godzinie.

– Pamiętam *ten* dzień – powiedziała Wallace i spojrzał w skryty w cieniu róg pokoju.

Huller skrzyżował ramiona i oparł się o framugę drzwi. Uważnie przyglądał się im obojgu.

– Pamiętam, co miałaś na sobie i co Canny miała na sobie. Pamiętam wszystko z tamtego dnia.

Od strony lasu rozległy się okrzyki dziewczynek, poganianych do domu przez Ellie. Tak jak Ellie, której podkoszulek i szorty przylepiły się do ciała, wszystkie trzy ociekały wodą.

Dotty podniosła się z łóżka i stanęła obok Hullera, który gapił się na swoją szwagierkę.

– Będzie gruba jak beczka, jeśli się nie upilnuje – prychnęła Dotty.

Huller nic nie odpowiedział.

– Nie gniewaj się, Jig – zawołała Ellie w stronę domku. – Zaraz przebiorę je w suche rzeczy, słowo!

Huller otworzył drzwi.

– Pomogę ci – powiedział i wyszedł.

– Sukinsyn – mruknęła Dotty, obserwując, jak oboje zacierają do domu.

– Dotty? – powiedział Wallace i zamilkł na chwilę. – Dotty?

– Co? – spytała, odwracając się w jego kierunku. – Czego chcesz, do cholery?

Wallace zwiesił głowę i wziął głęboki oddech.

– Boję się – przyznał.

– To ma być coś nowego? – Złapała z łóżka papierosy i ruszyła ku drzwiom.

– Stanie się coś złego – powiedział. Popatrzył na nią, a jego twarz wykrzywił strach. – Wiem, że tak będzie.

– Cholera! – jęknęła i pobiegła do wyjścia, lecz nagle zatrzymała się i wróciła do Wallace'a. Jej warga zdrząła. – Jesteś jedynym facetem, który przy mnie płakał, Aubie. – Potrząsnęła głową. – Jesteś jak małe dziecko. Kiedy cię zobaczyłam, od razu tak sobie pomyślałam. Nieważne, co mogłam zrobić albo powiedzieć, i tak trzymałbyś ze mną. Ale wtedy i ja byłam dzieckiem, Aubie. Już nim nie jestem. Za parę lat Canny też przestanie być dzieckiem...

Położyła dłoń na jego policzku.

– Wszyscy dorastamy, Aubie – powiedziała łagodnie. – Wszyscy oprócz ciebie... Rozumiesz, o czym mówię?

Potrząsnął przecząco głową. Naprawdę nie rozumiał.

– Nie. – Popatrzyła na niego. – Pewnie, że nie. Mogłabym wyłożyć ci kawę na ławę, a i tak byś nie zrozumiał.

Po jej wyjściu wciąż siedział na krześle, obserwując jak cień podnosi się z podłogi i pochłania jego kostki, kolana, a potem talię. Ze wszystkich głosów, które go dobiegały, rozróżniał jedynie głos Canny. Słuchał go uważnie. Wiedział, że musi to zapamiętać, jej śmiech, jej chichot, i nagle pomyślał: *Już nigdy jej nie zobaczę, tak jak moich chłopaków...*

Następnego ranka Jiggy i Doty wcześniej wyszli i pojechali w kierunku Stonefield, żeby sprawdzić zaproponowaną przez Jiggy'ego trasę. Gdy Canny wpadła do domku, Wallace wciąż leżał w łóżku. Zachichotała widząc, jak kulił się pod kołdrą, po czym rzuciła się na niego.

– Robisz się tak leniwy jak mama! – zauważyła, usiłując połaskotać go przez kołdrę. – Śpisz do południa! Nie wstałeś nawet, żeby coś zjeść albo zrobić siusiu...

– Puść mnie – warknął i nakrył twarz poduszką.

Canny usiadła i ostrożnie uniosła rąbek poduszki.

– Upiłeś się? – spytała, zerkając na jego wymizerowaną, porośniętą szczecinną twarz.

- Jasne, że nie!
- Jesteś chory?
- Nie.

Canny popatrzyła na wyrzuczenie w poduszce i podrapała się w głowę.

- Złóścisz się na mnie?
- Nie.
- Złóścisz się. Jesteś zły, bo spałam w domu, tak?
- Mówiłem, że się nie złościsz.
- Mówisz tak, jakbyś się złościł.
- Nieprawda.

– No to wstawaj.. No już – powiedziała, ciągnąc za kołdrę.

– Przestań... Nie jestem ubrany. – Naciągnął na siebie kołdrę. – Cholera, zostaw mnie, Canny!

– Wiem, czemu się złościsz – upierała się.

– Wcale się nie złościsz!

– Myślisz, że mama robi to teraz z Jiggym, co?

– Uważaj, co mówisz – ostrzegł ją, opierając się na łokciu i zasłaniając się kołdrą. – Albo zobaczysz!

– Tak myślisz, a ja o tym wiem. Ale, tatusiu! – pisnęła i uśmiechnęła się do niego. – To nieprawda. Przynajmniej już nie. Jak mama poszła wczoraj wieczorem, Jiggy i Ellie całowali się na kanapie.

– Naprawdę? – spytał z zainteresowaniem Wallace.

– Tak. Widziałam ich przez dziurę w podłodze – uśmiechnęła się Canny. – Ale potem on zgasił światło.

Znowu wskoczyła na łóżko i skrzyżowała nogi.

– Nie masz się czym przejmować, tatusiu – powiedziała poważnie. – Będzie jak zawsze. Mama się nim znudzi albo on ją zostawi i będziemy mogli wyjechać.

Poranne słońce wdzierало się przez okno delikatną, cienką smugą światła. Wallace przyglądał mu się nieobecny spojrzaniem. Canny skubała grubą strup na kolanie, opowiadając szeptem historyjki o Almie, o tym, jak bardzo nie chciałyby być dzieckiem jej i Jiggy'ego, bo oboje są tacy okropni dla Kelly i Krystal.

– Więc chyba cię zatrzymam, tatusiu – zachichotała, wdrapując się na niego.

Z głową wspartą na brodzie Wallace'a przytuliła się do niego. Pachniała jak mały kociak.

– Chyba że trafi mi się coś lepszego – dodała, naśladowując ochryply głos Dotty.

W ratuszu w Stonefield Jiggy dostał mapę miasteczka. Teraz rozłożył ją na podłodze domku. Ukłął nad mapą i czerwoną linią połączył niektóre z ulic. Dotty przycupnęła obok niego.

– Co to jest? – zapytała.

– Cmentarz, który ci pokazywałem – odparł i wsparł się na kolanie. – Tuż za torami kolejowymi. Stąd, z cmentarza – pociągnął palcem po mapie – aż tu, do domu Birdów, jest tylko pięć, może siedem minut. Jak tylko zostawią pieniądze, tatusiek przyprowadzi dzieciaka...

Spojrzenie Wallace'a natychmiast powędrowało ku Dotty.

– Mówiłam ci – powiedziała. – On się boi cmentarzy! Jak cholera!

Huller popatrzył na szarą twarz Wallace'a.

– To prawda? – spytał. – Tatuśku?

Wallace skinął głową.

– A czego tu się bać? – parsknął Huller. – Wszyscy tam nie żyją. Nieboszczycy nie mogą cię skrzywdzić, co nie? – Widząc przerażone spojrzenie Wallace'a, powtórzył nieco łagodniej. – Co nie?

Wallace bezradnie wzruszył ramionami, mnąc w palcach daszek swojej czapki.

Dotty przesunęła palcem po mapie.

– Dlaczego nie tu? – Popatrzyła na Hullera. – Na wysypisku? Aubie jest przyzwyczajony do wysypisk,

– Za daleko – stwierdził Huller. – Cmentarz jest parę minut od domu dzieciaka.

– A co to za różnica, do cholery? Pięć czy dziesięć minut – mruknęła, wcierając zmywacz w pomalowane na czerwono paznokcie.

Huller złapał mapę.

– Gadasz głupoty jak... – przerwał, gdy spojrział na Wallace'a. – Grunt to zmieścić się w czasie. Kiedy on zadzwoni, będę musiał się śpieszyć...

– Jak to, będę musiał? A ja gdzie mam być? – przerwała mu Dotty.

– W furgonetce, rzecz jasna – uśmiechnął się słodko Huller. – Ze mną.

Dotty popatrzyła z niepokojem na Wallace'a.

– Kiedy dostanie pieniądze, zostawi Canny i podjedzie do furgonetki, żeby się z nami spotkać – rzekła głośnym, pełnym przesady tonem.

– Coś w ten deseń. – Huller ponownie rozłożył mapę. – Szczegóły dopracujemy później.

– Ej, Jiggy! – W progu pojawiła się Ellie. – Idziemy!

Huller drgnął, jak gdyby chciał wstać, po czym z powrotem opadł na miejsce.

– Czyli kiedy? – nie ustępowała Dotty.

– Za dzień czy dwa.

Wallace gwałtownie podniósł głowę.

– Czyli może jutro? – Jego pierś wznosiła się i opadała w rytm płytkich oddechów. – Chcesz powiedzieć, że oddamy ją tak szybko?

– Nie, nie. – Huller poklepał go po ramieniu i złożył mapę. – Po prostu chcę to wszystko ustalić. Dlatego sprawdzam różne trasy.

– Pośpiesz się, Jig! – wrzasnęła Ellie.

Huller ruszył do drzwi, a Dotty pośpieszyła za nim. Mężczyzna odwrócił się nagle i dziabnął ją mapą w pierś.

– A ty dokąd, do cholery? Matka Ellie ma urodziny.

Chcesz hot doga? – spytał Wallace, wrzucając do papierowej torby puszki po piwie i niedopałki. – Zostało kilka z wczoraj.

Ukląkł i podniósł nakrętkę od zmywacza do paznokci.

– Mogę je pociąć i zrobić w sosie, tak jak lubisz. – Podparł się obiema rękami o łóżko, żeby wstać. Od panującej w domku wilgoci miał sztywne i opuchnięte kolana. – A potem możemy iść na lody.

Dotty stała w progu, obejmując się ramionami, i przyglądała się, jak Canny zmierza do domku.

– Albo jak chcesz, to możemy jechać na przejażdżkę – dodał.

Potrząsnęła przecząco głową.

– Znajdziemy kino samochodowe...

– Zamknij się! Wreszcie się zamknij! – Przebiegła obok Canny i usiadła na werandzie Hullera, na górnym schodku, z prawej strony, tam gdzie zazwyczaj siadywał Wallace, gdyż właśnie stamtąd mógł obserwować zakręt na drodze.

Canny weszła do domku i rzuciła się na łóżko. Powiedziała, że się cieszy, że Alma i Ellie zabrały ze sobą dziewczynki.

– Są do dupy i tyle – westchnęła, drapiąc się obiema rękami po głowie.

– Uważaj, co mówisz! – Wallace obrócił się ku niej gwałtownie i złapał ją za przeguby. – I przestań się drapać!

– Odczep się! – wydarła się nagle Canny. Gdy usiłowała oswobodzić ręce, w jej oczach pojawiła się wściekłość. – Ty sukinsynu! – darła się, próbując kopnąć go w twarz. – Puść mnie, ty głupi kutasie!

Puścił jej ręce i stał tak, patrząc na nią. Nie był zły ani nawet smutny – był zaniepokojony.

– Posłuchaj, Canny – powiedział i przystawił krzesło do łóżka, na którym leżała plecami do niego, skulona niczym embrion. – Spójrz na mnie, Canny... Zrobisz to dla mnie?

Odwrociła się i popatrzyła na niego z miną winowajczyni. Wallace zdjął czapkę. Podrapał się w głowę, po czym ponownie nałożył czapkę.

– Widzisz... – Zaczął trzeć nos, aż jego koniuszek całkiem się zaczerwienił.

Canny nawet nie mrugnęła. Wciąż wpatrywała się w Wallace'a. W końcu to on musiał odwrócić wzrok.

– Nie klnij więcej – rzekł szorstko.

– Przepraszam – odparła cienkim głosem.

– Już dobrze.

– Chodźcie! – usłyszeli zza drzwi głos Dotty. – Wynośmy się stąd.

Canny już zdążyła zjeść swoje lody. Wallace czuł jej spojrzenie, uważnie śledzące każdy ruch jego ust.

– Masz. – Podał jej loda.

– Na pewno?

– Najadłem się Big Macami – zapewnił ją. – Nie zapominaj, że zjadłem swojego i mamy.

– Ale z ciebie żarłok! – roześmiała się Canny, liżąc jego loda.

– Żarłok! – krzyknął Wallace. – I kto to mówi! Sama zjadłaś dwa, a potem loda, i teraz mojego.

Popatrzył na Dotty, która od wyjazdu od Hullerów nie powiedziała nawet dwóch słów, i odchrząknął.

– Dokąd chcesz jechać? – Znowu odchrząknął.

– Nieważne – westchnęła. – Wszystko mi jedno.

Wallace dodał gazu. Poczul zryw silnika i drżenie nogi. Stukanie zużytych zaworów wędrowało w górę, do piersi, gdzie brzmiało niczym bicie wielkiego serca.

– Włączyć radio? – spytał ochrypłym głosem.

– Nie.

Skrzywił się, bał się nawet odetchnąć. Bał się oderwać oczy od drogi; bał się spłoszyć czar. Doty oparła głowę o fotel i siedziała tak z zamkniętymi oczyma.

Może to właśnie to, pomyślał. Będzie tak siedziała i pozwoli mu prowadzić przez całą noc. Gdy przebudzi się rano, na każdej tablicy będzie napisane ZACHÓD... ZACHÓD... do Hollywood w Kalifornii. Nawet Canny to czuła, siedząc na brzeжку tylnego siedzenia i obserwując Wallace'a w lusterku.

– Skręć w lewo – powiedziała nagle Doty.

Dwadzieścia minut później wyprowadziła go na główną drogę, a potem przez serię sygnalizacji świetlnych tuż obok wyższej szkoły, przed którą stała duża rzeźba.

Ręka Wallace'a zsunęła się z kierownicy. Na znaku przed nimi widniał napis: „WITAMY W STONEFIELD”.

– Przypomina ci to coś? – spytała Doty na następnych światłach i wyciągnęła rękę.

Nie odpowiedział. Usta miał tak suche, że nie mógł nawet przełknąć śliny. Oczy piekły go za każdym razem, gdy stawali na światłach. Przygarbił się tak bardzo, że ledwie widział drogę nad kierownicą.

– Tam jest cmentarz. Właściwie dwa, po przeciwnych stronach... Skręć w lewo! Chryste! – pisnęła i szarpnęła kierownicą, żeby skrócić.

Teraz znajdowali się na szerokiej, okalanej drzewami alei. Wszystkie domy były olbrzymie i w każdym paliły się światła. Po wzgórzu spacerowali dziewczyna i chłopak, trzymając się za ręce. Hałas silnika przyciągnął uwagę chłopca.

– Szkoła jest tam, przed nami – powiedziała Doty. – Tam skręcisz. Tuż przed szkołą.

– Jaką szkołą? – zainteresowała się Canny. – To będzie moja szkoła?

– O, tu! – wrzasnęła Doty, gdy stare auto powlokło się za róg. – To ten z dużą werandą!

– Wygląda jak estrada! – stwierdziła Canny, gdy wyminęli dom.

– Dla mnie wygląda jak jakaś stara łódź. – Doty uklękła na fotelu i obejrzała się za siebie. – Jak Arka Noego z drewnianą barierką.

Dom, długi i wolno stojący, z czarnymi dachami na różnych wysokościach i mansardowymi oknami, w oczach Wallace'a był jedynie smugą bieli.

Zmusiła go, żeby jeździł wokół budynku i parku na rogu. Wallace ani razu nie oderwał wzroku od drogi.

– Po co tu stanęliśmy? – chciała wiedzieć Canny. – Kto tu mieszka?

– Weszłam prosto na werandę i przez te drzwi – mówiła Doty. – Wszystkie drzwi były przeszkłone, a w domu wisiało mnóstwo lusterek. Wszędzie białe dywaniki i lustra, w których się przeglądałam, no i śmiać mi się chciało, i nagle usłyszałam „Hej, hej!”. Gdziekolwiek poszłam, ty powtarzałaś „Hej, hej” – mówiła do Canny, która niespokojnie zerknęła na Wallace'a. – Tak jak te gadające lalki, które wciąż powtarzają jedno słowo, aż im się baterie wyczerpią... Sukinsyn! – wybuchnęła nagle. – A komu on potrzebny! Myśli, że jest taki bystry, nazywa mnie głupią...

Otworzyła drzwi, a Wallace zamknął oczy, kiedy przebiegała przez jezdnię.

– Mamo! – zawołała Canny. Szczęknięty drzwi z tyłu, lecz zanim zdołała je otworzyć, Wallace ruszył.

Kiedy dotarł na wzgórze, Doty czekała na rogu obok kamiennego murku.

– Zwariowałaś? – wrzasnął Wallace, gdy tylko weszła do auta. – Co ty chcesz udowodnić? Nic cię nie obchodzi, tak?

Długo jeszcze parsknął, potrząsał głową i mówił rozmaite rzeczy, o których dotąd nawet nie pomyślał. Z tyłu siedziała skulona Canny, ssąc kciuk i przyglądając się im spod ha wpół przymkniętych powiek.

– Wbijesz sobie coś do głowy i to robisz! Nieważne, że inni tego nie chcą albo nie są gotowi, ty i tak to robisz albo mówisz...

Doty siedziała obok niego, sztywna i blada, ze skrzyżowanymi rękami i nieruchomą twarzą porcelanowej figurki.

11.

Było późne popołudnie. Już od trzech dni fala upałów wysuszała trawę i liście na drzewach. Rudy pies dyszał pod werandą, a jego oczy lśniły między schodkami.

Na podwórku dziewczynki siedziały w plastikowym basenie, podciągając kolana pod brody. Wszystkie trzy były blade i mokre od potu. Ich lalki Barbie pływały twarzami w dół w mętnej, pełnej trawy wodzie. Kelly orzekła, że się potopiły. Powiedziała, że ich samochód miał wypadek i stoczył się wprost ze wzgórza do stawu. Canny i Krystal nawet się z nią nie kłóciły. Opierały się o siebie i patrzyły

w milczeniu, jak Kelly przywiązuje kamienie do szyj lalek, żeby łatwiej zatonęły.

– Nie żyją – triumfowała. – Cała cholerna banda!

Canny potarła nasadę nosa, tam, gdzie ugryzł ją komar.

Na schodkach werandy siedziały Ellie i Dotty, obie w przepoconych koszulach i skąpych szortach. Dotty siedziała wyżej i rozplatała długie, czarne włosy Ellie.

Alma i Wallace siedzieli w domu, przy kuchennym stole. Od czasu do czasu Alma wyglądała na drogę. Jiggy zniknął już wczesnym rankiem.

– On knuje coś złego – stwierdziła Alma, zapalając papierosa zapalniczką na gaz.

Płomień syknął i podskoczył tak wysoko, że niemal sięgnął jej brwi. Pot błyszczał na ciemnych włoskach nad górną wargą kobiety, gdy pochylała się z igłą nad szarym, bezkształtnym stanikiem. Wallace starannie omijał go wzrokiem.

Alma siedziała przy stole od śniadania. Większość ranka spędziła na wycinaniu kuponów ze sterty starych magazynów, a przy okazji oglądała ulubione teleturnieje.

Za każdym razem, gdy Wallace usiłował wyjść, Alma wymyślała mu nowe zajęcie. Umył naczynia po obiedzie, zamiótł kuchnię i myśląc, że Alma nie patrzy, zdołał dotrzeć aż do werandy. Zawołała go jednak i uparła się, żeby usiadł i odpoczął, a ona zrobi mu kawę... To było godzinę temu, ale jak dotąd nie dostał żadnej kawy.

– Kiedyś – mówiła – on i jego znajomy mieli napaść na monopolowy i Jiggy zachowywał się tak samo jak teraz. Taki narwany, nerwowy i zniknął na całe dni. – Zamotała nitkę, odgryzła ją i wypluła dłuższy kawałek na podłogę. – A kiedy już jest w domu, cały czas czyści ten swój cholerny pistolet.

Zerknęła na zegar i Wallace zrozumiał, że nadeszła pora na seriale w telewizji. Alma zgasiła niedopałek i naląła sobie szklankę napoju wiśniowego. Upiła łyk i wykrzywiła usta.

– Zapomniałeś o cukrze! – rzekła.

– Wsypałem połowę – odparł Wallace. – Za dużo ci zaszkodzi.

Alma sięgnęła po cukiernicę i przechyliła ją nad szklanką.

– Założę się, że twoja pierwsza żona załowała, że cię straciła – powiedziała, patrząc, jak cukier sypie się do jaskrawoczerwonego napoju. – To miejsce zaczyna wyglądać jak z magazynu. Tak tu czysto, że aż boję się poruszać.

Odepchnęła cukiernicę, a Wallace ustawił ją wtedy między solniczką, pieprzniczką i butelką keczupu.

– A niech cię! – roześmiała się Alma. – Co za pan Porządnicki.

Z werandy dobiegł ich nagle głos Ellie.

– Mam twarz w kształcie serca – mówiła. Odrzuciła włosy z twarzy i popatrzyła na Dotty. – Taka jest najlepsza... to znaczy do rozmaitych fryzur.

Dotty odpowiedziała jej coś pełnym napięcia głosem. Alma z dezaprobatą potrząsnęła głową.

– Myśli tylko o tych swoich włosach. – Zapaliła kolejnego papierosa i natychmiast się rozkaszała. – Rozpieszczona gówniara.

Ellie weszła do kuchni i lodowatym tonem zapytała Almę, czy może pożyczyć nożyczki. Rzadko ze sobą rozmawiały od chwili, gdy Alma przyłapała Jiggy'ego i Ellie, jak rozlewali sześciopak piwa i razem oglądali nocny program w telewizji. Oczywiście, Canny opowiedziała Wallace'owi zupełnie inną wersję. Według niej Alma trafiła w środku nocy na ubraną w niemal przezroczystą koszulę siostrę, śpiącą na podłodze obok Jiggy'ego, podczas gdy w telewizji leciały „Wieczne Kazania”. Jiggy zerknął na stojącą nad nimi Almę, która już uniosła nogę, żeby kopnąć siostrę w plecy, i powiedział: „Kopnij ją jeszcze raz, a ja znikam”. To opowiedziała mu Canny i dodała: „Jeśli on zniknie, tatusiu, wszystko się ułoży. My też znikniemy”.

– Po co ci nożyczki? – spytała Alma i wywróciła oczami na użytek Wallace'a.

– Do włosów – odparła Ellie i wzięła nożyczki z puszek do kawy, w której Alma trzymała swoje przybory do szycia.

– Włosów! Nie obcinałaś ich, odkąd skończyłaś dziesięć lat!

– Tylko końcówki – wyjaśniła Ellie. – Dotty powiedziała, że się rozdwiają i wyglądają do dupy. Przyszrzyże mi je.

– Powinna ci też przyszyżyc coś innego – mruknęła Alma.

Ellie wyszła z kuchni i trzasnęła drzwiami.

Wallace wstał i ruszył ku werandzie. Miał już dosyć przebywania przez cały dzień w towarzystwie Almy. Chciał usiąść na schodkach od domku i patrzeć, jak Canny bawi się w basenie. Mimo że córki Hullerów były wulgarne i niedobre, wciąż lubił patrzeć, jak bawią się razem z Canny. Lubiał, jak kej głos lekko niczym skrzydła motyla wznosi się nad palące słońce.

– Lepiej jeszcze raz odetkaj wannę – powiedziała Alma, jak tylko otworzył drzwi. – Wczorajsza woda nie spłynęła.

Wallace zamknął drzwi. Ellie znowu usiadła na schodach, a Dotty zaczęła obcinać końcówki jej włosów. Od czasu do czasu głowy dziewczyn pochylały się ku sobie, a radosne brzęczenie ich głosów najwyraźniej wyczerpywało Alnę. Westchnęła, gdy Wallace wyszedł z łazienki i oznajmił jej, że wanna jest już oczyszczona.

– Ciężko jest być najstarszą siostrą – westchnęła. – Zwłaszcza jej siostrą. Dzikuska! Urodziła się dzika. Gdyby była moja córka, trzymałabym ją w piwnicy na łańcuchu, aż by się uspokoiła albo przynajmniej dorosła. Oczywiście, ona mnie w ogóle nie słucha. To dobrze, że Dotty tu jest. Przynajmniej jej posłucha.

Wstała i włączyła telewizor, po czym z powrotem poczłapała do stołu. Zaczęła się jej ulubiona telenowela. Alma oparła się na łokciu i zmrużyła oczy.

– To Myra – powiedziała, trącając Wallace'a.

Pochylił się do przodu, udając, że śledzi akcję, ale z tej odległości widział jedynie barwne plamy na ekranie.

– To żona lekarza – dodała szybko Alma. – Ta, która kiedyś tańczyła przy rurze.

Zakryła usta obiema rękami i wydała z siebie coś w rodzaju skowytu. Kobieta w telewizji zaczęła szlochać.

– Miała magnezję – wyszeptała Alma. – Nie pamięta przeszłości. Próbuje sobie przypomnieć, ale nic z tego. – Alma znowu zaskowyczała. – Możesz to sobie wyobrazić? Żebyś nie pamiętał nic, co ci się kiedykolwiek przytrafiło?

Ten obraz natychmiast stanął mu przed oczyma. To było zupełnie jak telewizja w jego mózgu. Ujrzał Hyacinth z czasów, gdy była jeszcze cherlawą istotą o drobnym obliczu, która pracowała razem z nim przy taśmie w zakładzie produkującym marynaty. Żaden z robotników jej nie lubił, ale i żaden nie był zbyt miły dla niego. Z początku Wallace i Hyacinth rzadko ze sobą rozmawiali. Przez cztery lata pracowali ramię w ramię, pakując koper do słoików, odcinając brzydkie kawałki, a ich rozmowy ograniczały się głównie do powitań i wymiany uwag o pogodzie – przy czym to przede wszystkim ona brała na siebie ciężar konwersacji, podobnie jak oświadczyły, choć on myślał o nich na wiele miesięcy wcześniej, jak wyznał Hyacinth, gdy wzięli ślub w małym kościele jej wuja.

– Więc dlaczego nic nie powiedziałeś? – dopytywała się.

– Nie wiem – odparł cicho, cały przepelniony czułością i miłością. Czuł ciepło jej dłoni na dzielącej ich poręczy. Nie przypominał sobie, żeby ktoś przed

nią go dotykał. Nie mógł przestać uśmiechać się do swojej nowej żony, Hyacinth Wallace. Teraz był częścią jakiejś całości. Nie miał poczucia, że Hyacinth do niego należy, to raczej on stał się jej własnością. Wszedł w jej życie z taką samą gorliwą ufnością, z jaką wiele lat temu pozwolił założyć sobie na nogę żelazną obręcz i jaka wiele lat później popchnęła go na niezliczone drogi wraz z Dotty, o oczach równie dzikich jak jej śmiech, i z małą dziewczynką, śpiącą z głową na jego kolanach – z Canny, która kochała go i wierzyła w niego bardziej niż ktokolwiek inny.

Hyacinth patrzyła na niego, ale jej ręka nie spoczywała już na poręczy, lecz zaciskała się na pudełku z lunchem, który Hyacinth przygotowała dla nich obojga do autobusu. Jechali właśnie w podróż poślubną do Burlington. Mieli tam spędzić weekend w motelu; w cenę wliczono śniadania i dowolną ilość lodu. Wallace kazał sobie przynieść dwie torby lodowych kostek, zanim zdał sobie sprawę z tego, że będzie miał z nich równie niewiele pożytku jak Hyacinth z niego samego.

– Dlaczego pozwoliłeś, żebyśmy to ja się wszystkim zajęła? – nalegała.

– Nie wiem – odpowiedział szczerze. Nie miał pojęcia, dlaczego w ogóle kiedyś się do niego odezwała przy zegarze, gdy oboje odbijali karty. Nie miał pojęcia, dlaczego zeszła z nim po schodach, po czym towarzyszyła mu na zakurzonej szosie, aż do samego sklepu z butami, nad którym Wallace mieszkał w ponurym pokoju już od dziesięciu lat, od chwili, gdy opuścił Dom. Mieszkał tam zupełnie sam, a przez cały ten czas nie miał nawet jednego gościa ani też nie słyszał żadnego ludzkiego głosu, z wyjątkiem własnego. Mieszkał tam nie tylko sam, ale samotnie, tak samotnie, że wyobrażał sobie, jak rozpada się na części, które następnie gdzieś giną. Był świadom tysięcy tych rozmaitych części. Przez wysiłek związany ze śledzeniem wszystkich tych elementów coraz ciężiej było mu myśleć. Przepelniające go poczucie straty było jednocześnie dziwne i przerażające. I smutne. Kiedy spał, śnił mu się bardzo smutny sen, sen o utraconej obręczy, tej jego najbardziej świadomej części, która zapewniała mu bezpieczeństwo. W tym śnie unosił się nad łóżkiem, wylatywał przez sufit i dach, dryfując jak balon przez gęste chmury i przezroczyste powietrze, wolny i pozbawiony wagi, oddalał się od ziemi i nikt, i nic nie szarpało go z powrotem.

Zapytała go o to jeszcze raz – w motelowym pokoju, tuż po tym, jak usiłowali to zrobić i nie wyszło. Wiedział o tym, wiedział, co powinni zrobić razem. Nie był jednak pewien, jak miał wsadzić jej tę rzecz. Ponieważ żadne z nich nie pomogło sobie ręką, nic z tego nie wyszło.

Wallace czuł się źle, przede wszystkim dlatego, że Hyacinth wydawała się taka wściekła. Zapytała go:

– Dlaczego nawet o tym nie wspomniałeś? Dlaczego nie powiedziałeś nic o ślubie i pozwoliłeś mi uganiać się za sobą? To był twój plan, tak? – wrzasnęła, okładając go pięściami, aż całe plecy miał w sińcach. – Chciałeś, żebym wyszła na idiotkę... Żeby się ze mnie śmieli i mówili, że matka miała rację...

Zepchnęła go z łóżka na podłogę, gdzie spędził resztę nocy.

Taka bystra dziewczyna jak Hyacinth szybko zaczęła wypominać mu wady i ograniczenia. Właściwie nie miała mu za złe tego, co robił, ale to wszystko, czego nie był zdolny zrobić. Jej niezadowolenie zaczęło się wtedy, gdy zaszła w ciążę i musiała zrezygnować z pracy, zadowolając się tylko jego pensją. Znienawidziła pokój nad sklepem z obuwem i brak samochodu, znienawidziła też mamrotanie Wallace'a i to, że zwieszał głowę, kiedy po mszy spotykali jej rodzinę, znienawidziła zapach jego stóp i włosów i sposób, w jaki trzymał widelec, aż w końcu przyznała, że popełniła straszliwy błąd. Nienawidziła jego, a jeszcze bardziej tego, iż wiedziała, że Wallace nigdy się nie zmieni, nie może się zmienić; zrezygnowała z życia i z szans (tych niewielu, jakie ma taka prosta dziewczyna jak ja, krzyczała) dla półgłówka. Ale on nie płakał i nie czuł się źle, bo to nie była jego wina. To Bóg stworzył go takim, i już.

To wszystko jej wina, przyznała gorzko. Jej wina – tak bardzo pragnęła wydostać się spod władzy matki, że zrobiła dokładnie to, przed czym matka ją ostrzegała – uznała, że pierwszy mężczyzna, który przyzwoicie ją potraktował, to właśnie ten jeden jedyny. To ona była wszystkiemu winna, nie on – pisała w listach poże-gnalnych, drukowanymi literami, żeby mógł przeczytać. Trzeci list napisała zwy- czajnie, a on wstydził się pokazać go komukolwiek, więc złożył go tylko i wsunął do przegródki w portfelu.

Podczas pierwszego roku ich małżeństwa uciekała do domu, do Flatts. Dwa ra- zu pojechał za nią i siedział na schodach przed domem jej rodziny, dopóki nie wyszła i nie powiedziała, że z nim wróci. Za trzecim razem jej tata, wielki i złośli- wy Hazlitt Kluggs wyszedł za nim, załatwił mu pracę w okręgowej brygadzie na- prawy dróg i sprowadził ich do taniego czteropokojowego domku naprzeciwko domu Kluggsów.

Wkrótce po tym na świat przyszedł Answan, a dwa lata później urodził się Ar- nold. Chłopcy rośli, a Hyacinth zajęła się prasowaniem i szyciem. Odkładała każdy grosz. Posunęła się tak daleko, że w niedzielne popołudnia, gdy już wyprała to,

co trzeba, chodziła do miasta i w poszukiwaniu drobniaków sprawdzała wszystkie budki telefoniczne i teren wokół parkometrów. Latem chodziła też po parku, po ścieżkach i alejkach, gotowa zauważyć każdy błysk w trawie. Ludzie zaczęli szepotać, że jest dziwna. Na plecach wyrósł jej garb, a tata Hyacinth stwierdził, że to rezultat tych poszukiwań. Powiedział: „Od dziesięciu lat Hyacinth nie widziała nieba, przynajmniej nie w niedzielne popołudnie”, a wszyscy Kluggsowie pokładali się ze śmiechu. Ale to Hyacinth śmiała się ostatnia.

Odłożyła wystarczająco wiele, żeby wykupić domek, w którym mieszkali, na co Hazlitt nigdy nie mógł sobie pozwolić. Stała się pierwszym Kluggsem, który miał ziemię, i była z tego dumna. Tak, zasłużyła na szacunek, za swoją skromność i czystość, i za służenie Panu w każdą niedzielę, za śpiewanie na trzech mszach w kościele wuja. Tak, może i chłopcy nosili nazwisko Wallace'a, wzdychała, a następnie recytowała, niczym listę zakupów, wszystkie karygodne czyny i błędy każdego członka rodziny Wallace'ów, jego kuzynów, wujów, dziadków, pijaków i rozrabiaków, i, przede wszystkim, tych sześciu chłopaków, wszystkich opóźnionych i kalekich. Może i nosili jego nazwisko, ale w ich żyłach płynęła jednak także krew Kluggsów, upierała się z nitką między zębami. „Krew Kluggsów!” – powtarzała, po czym waliła nożyczkami w stół.

Wtedy Aubrey, podobnie jak teraz, zawsze się odwracał. Po pierwsze, obawiał się, że któregoś dnia te nożyce wbiją się w jego serce, po drugie (z czego wynikało to pierwsze) dlatego, że obaj chłopcy wyglądali jak Wallace'owie – nie tylko chodzili, mówili i pachnieli jak Wallace'owie, ale ich karty zdrowia oraz plamy na materacu także o tym świadczyły.

Zamieszanie na werandzie wytrąciło go z równowagi. Gdy otworzyły się drzwi od kuchni, na wpół oczekiwał, że pojawi się w nich jedna z kwietno-imiennych siostr Hyacinth i rzuci się na niego. To jednak była Ellie – darła się i przyciskała obie ręce do głowy. Za nią wbiegła Dotty. W jednej ręce trzymała nożyczki, a drugiej długie pasmo czarnych włosów.

– Och, Ellie! – krzyknęła. – Nożyczki mi się wyśliznęły. Bardzo przepraszam! – wołała do drzwi łazienki, ale Wallace widział, że z trudem powstrzymywała śmiech.

Po kolacji Dotty usiłowała wyrównać resztę włosów Ellie, ale po każdym podcięciu wyglądały jeszcze gorzej. W końcu Dotty się poddała.

– Musisz je wszystkie obciąć na równą długość – powiedziała, zanim wybiegła na podjazd, gdzie pies rozszczękał się na widok chmury kurzu i żwiru wzniesionej przez hamującą furgonetkę Jiggy'ego.

Wycie Ellie słuchać było aż w domku, mimo że Jiggy zamknął drzwi i okno. Zapadał zmierzch, a nieznosny upał w pokoju niczym welon przykrył twarz Wallace'a. Mrugał i podnosił brodę, żeby przeniknąć wzrokiem gęste opary. Zdziwiło go, że ani Jiggy, ani Dotty nie palą. To pewnie ich słowa, pomyślał, ich głosy osadzają się na jego twarzy lub niczym sadza przenikają pory skóry.

Usiadł na krześle między nimi, wyprostowany jak struna. Ich słowa przelatywały mu nad głową. Dotty była ponura i spocona. Wilgotne kosmyki włosów skręciły się na jej skroniach niczym rude piórka. Mokry ptaszek, pomyślał Wallace. Gdy tylko się rozwidni i nadejdzie ranek, zniknie. „Dokąd?” – spyta ją Wallace, kładąc nogi na pedałach i czując, jak gorący asfalt rozgrzewa podłogę wozu. „Wszystko jedno” – westchnie ona, a w jej głosie będzie całe jej serce, i słowa zakrwawią i ujawnią całe jej rozczarowanie, a Canny będzie uśmiechać się we wstecznym lusterku. Odzyskają Dotty, tak jak zawsze. Potem będzie ich potrzebowała, jego i Canny, jak powietrza do oddychania. Serce będzie biło mu tak mocno, że i ona je usłyszy. Nareszcie będzie mógł normalnie myśleć, a Hyacinth, obaj chłopcy i ta porośnięta sosnami droga staną mu się równie obojętne, co człowiek na Księżycu.

Dotty nie spuszczała z niego wzroku. Jiggy opowiadał właśnie, jak przejechał każdą z możliwych tras, żeby w końcu wybrać najkrótszą i najbezpieczniejszą. Pieniądze będą pozostawione na cmentarzu – w pojemniku na piach obok jednej z krypt. W ten sposób, dodał Jiggy, Wallace nie będzie musiał obawiać się czekania na cmentarzu. Z tonu i spojrzenia, jakie rzucił Dotty, wynikało jasno, że ułożył wszystko tak, aby to ona nie musiała przejmować się czekającym na cmentarzu Wallacem. Jiggy powie, dział, że sam tam pójdzie. Wallace musiał jedynie dać Canny pigułkę na sen, pojechać do najbliższego podmiejskiego lasku na rogatkach Stonefield i zostawić śpiącą dziewczynkę w stojącej tam chacie. Jak Śpiącą Królową, pomyślał Wallace.

Po tym wszystkim Wallace miał pójść do budki telefonicznej, zadzwonić do Birdów i objaśnić im, gdzie znajdują swoją zaginioną córeczkę, małą Caroline – jasnowłosy cień z fotografii, czarodziejskie dziecko, którego wizerunek zamigotał przed oczyma Wallace'a niczym dogorywający płomień świecy.

Jiggy uśmiechnął się z dumą, a głowa Wallace'a zaczęła kiwać się sennie. Dotty rozglądała się za papierosem. Wyrzuciła zawartość torebki na łóżko i grzebała wśród papierków po cukierkach, szminek i kawałków rozbitego wcześniej

lusterka. Udało jej się znaleźć jedynie odłamany filtr od papierosa. Na drugim łóżku Huller rozłożył mapę. Narysował na niej czarną linię, prowadzącą od cmentarza do lasu. Pochylił się i palcami zmierzył linię.

– To prawie dwanaście kilometrów – mruknął. – Może trzynaście...

– Masz fajkę? – zapytała Dotty, wsuwając nogi między łóżka i sięgając do kieszeni w koszuli Hullera. Wciągnęła stamtąd kartkę papieru, a widząc złość na twarzy Hullera, zachichotała nerwowo. Wyciągnęła kartkę przed siebie i wymachiwała nią, jak gdyby papier stanął w płomieniach.

Huller ryknął dziko i rzucił się za kartką. Dotty pisnęła i wskoczyła na łóżko, żeby uciec przed Jiggym. Dla niej to była tylko zabawa, dobry sposób, żeby zwrócić na siebie uwagę Hullera. Rozłożyła kartkę i zbliżyła ją do oczu.

– Zachowałem to na później – powiedział niespokojnie Huller. – chciałem wam to potem pokazać.

Machnął słabo ręką i popatrzył na Wallace'a.

– Przesadzają jak cholera – dodał.

Oddech Dotty zdawał się zamierać, gdy dziewczyna czytała artykuł. Zgarbiła się i uklękła na łóżku. Jej oczy błędziły od linijki do linijki.

Wygląda jak mała dziewczynka, pomyślał Wallace. W zachodzących promieniach słońca, z pochyloną głową i włosami przyklejonymi do mokrych skroni, z jakichś dziwacznych powodów przypominała mu dziewczynki Johnsonów, które mieszkaly w lesie, nieopodal świńskiej farmy Carsona. Włoski na jego dłoniach stanęły na baczność, poczuł też gęsią skórę na plecach. Wirowało mu w głowie. Nagle przypomniały mu się rozmaite dziwaczne rzeczy. Żółte i różowe kwadraty na kołdrze, jaką Hyacinth trzymała zwiniętą w nogach łóżka i nigdy nie używała. Niektóre rzeczy były tylko na pokaz. W jego głowie pojawiły się naraz twarze i imiona, o których nie myślał od tamtego dnia, gdy zjechał z góry w towarzystwie tej dziwnej istoty, dzikiej i śmiejącej się tak, że łzy spływały jej po policzkach.

– Chryste Panie! – sapnęła Dotty, wciąż nie odrywając wzroku od kartki. – Jej ojciec to prezes banku. A niech to! – Popatrzyła na Jiggy'ego i wykrzywiła twarz. – I było FBI! – zadrzała. – FBI!

Wallace uśmiechnął się, gdy przypomniało mu się coś innego, te osmażane w cukrze ziarna fasoli, które Hyacinth robiła z resztek. W sobotnie wieczory jadali fasolkę, parówki i brązowy chleb, który ugniatła, a następnie piekła w foremkach.

– Zawsze wzywają FBI. – Huller zerknął szybko na Wallace'a. – To nic nadzwyczajnego.

– Nic nadzwyczajnego! – powtórzyła Dotty i znów zadrzała.

Wyciągnęła kartkę w stronę Wallace'a. Uśmiechnął się i popatrzył na kawałek papieru. Teraz myślał o frytkach i rodzynkach pływających w sosie serowym....

– Weź ją, cholera! – powiedziała Dotty. – Masz!

Czytał powoli, szepcząc każde słowo. Większość z nich powtarzał na głos, żeby Dotty wyjaśniła mu, co znaczą. Czuł się niewyraźnie, jak w szkole, gdy musiał głośno czytać, podczas gdy nauczycielka wzdychała mu nad głową, a cała klasa pokładała się ze śmiechu.

DOMNIEMANE PORWANIE DZIECKA

Policja bada sprawę zniknięcia Caroline Anne Bird, półtorarocznej córki Louisa i Marthy Birdów. Zaginięcie dziecka zgłoszono o 14.10. Pani Bird twierdzi, że tuż po wpół do drugiej odkryła brak córki w kojcu. Mówi, że spędziła kilka minut na piętrze domu przy Trenton Street numer 8, Caroline zaś przebywała w tym czasie w kojcu w pokoju gościnnym na tyłach domu.

Zrozpaczona matka, w dziewiątym miesiącu ciąży, opowiedziała dziennikarzowi, że wpadła w panikę i biegła wzdłuż ulicy, nawołując córeczkę.

„Chyba byłam w szoku – mówi pani Bird. – Nie mogłam uwierzyć, że w jednej chwili tu była, a w następnej zniknęła. Miałam nadzieję, że ktoś z dzieci sąsiadów zabrało ją, żeby się pobawić. Wciąż jej szukałam. Dopóki nie zadzwoniłam do Lou do banku, nawet nie przyszło mi do głowy, że mogła zostać porwana”.

Krewni, sąsiedzi, funkcjonariusze miejscowej policji, oddział Straży Narodowej i pięćdziesięciu skautów przeczesał teren wokół domu. O wpół do czwartej po południu sprowadzono Buntiego, czteroletniego blohounda, aby dopomógł w poszukiwaniach zaginionego dziecka.

Dziewczynka ma jasną cerę, niebieskie oczy i blond włosy. Ubrana była w żółto-białe bezrękawnik, miękkie białe buciki, elastyczne spodenki, pieluchę, we włosach zaś miała wąską białą wstążeczkę.

Szef Policji Stonefield, Daniel T. Missmano powiedział nam, że wezwano już FBI.

Louis Bird wydał następujące oświadczenie: „Rodzina Caroline czeka na informację, czego się od nas oczekuje. Do tego czasu oferujemy dwadzieścia pięć tysięcy dolarów nagrody za bezpieczny powrót naszej ukochanej córeczki”.

Louis Bird jest prezesem banku oszczędnościowego w Stonefield, a Martha Bird wykładowcą na Akademii Paxton i dawną radną miejską. Caroline to jedyne dziecko Birdów.

– Co to znaczy? – spytał Wallace.

Dotty zerknęła na wskazany wyraz.

– Wykładowcą – to znaczy, że jest nauczycielką.

Zastanawiał się nad tym przez chwilę, a gdy się odezwał, w jego ochryplym głosie zabrzmiała nuta zdziwienia.

– Zawsze wiedziałem, że Canny jest bystra.

– Skąd on się urwał? – Huller wyrzucił oczyma.

Dotty zachichotała nerwowo. Huller złożył mapę i podszedł do drzwi, po czym zatrzymał się i odwrócił do idącej za nim dziewczyny.

– On nie jest... no wiesz, debilem czy coś? – spytał.

Dotty roześmiała się, próbując zbagatelizować kwestię drobnego mężczyzny wpatrzonemu w kartkę papieru, którą ledwie potrafił przeczytać. Huller ze zmartwionym wyrazem twarzy obserwował dziwną mieszaninę zadowolenia i obawy na obliczu Wallace'a.

– Nie mogę powierzać tego świrowi – rozumiesz, co mówię, Dotty? – W głosie Hullera pojawił się strach.

Wallace bezgłośnie poruszał wargami, wodząc palcem od słowa do słowa.

– To tak, jak z jego prowadzeniem – odparła Dotty. – Dojeżdża do celu. Ty-le, że potrzebuje sporo czasu.

Huller wymamrotał coś bezgłośnie. Dotty cicho przytknęła drzwi i wyszła za nim w ciepły, wilgotny wieczór. Na podjeździe jej głos nagle zanikł, niczym kamień rzucony w wodę.

– On to najmniejsze z naszych zmartwień – rzekła jeszcze.

Huller nie odpowiedział, tylko wszedł do domu.

Na tle czarnego nieba księżyc był okrągły i biały niczym perła. Wallace wciąż czytał – w te i nazad te same słowa. Małe słowa przypominały mu o większych, trudniejszych. To było jak prawdziwa historia, tyle że w tej występował on sam. Gdzieś tu był. Jego ręce dygotały, a papier drgał, jakby pulsowała w nim jakaś żyła. Słowa były magiczne. Litery miały moc. Ruszały się i rzucały po całej kartce, po czym znów się ustawiały we właściwym porządku, a on zaczynał widzieć ich wszystkich. Był tu każdy – Hyacinth, on sam, obaj chłopcy i robotnicy z brygady, i Canny. Co miał zrobić? Z kim porozmawiać?

Zsunął się z krzesła na łóżko, gdzie położył się na boku, z kolanami podciągniętymi do piersi. Księżyc wznosił się coraz wyżej, a jego ostre światło wpadało przez drzwi i okno. Kiedy znalazł się dokładnie nad dachem domku, Wallace zamknął najpierw jedno oko, potem drugie, i wkrótce już spał; lecz sen wirował w ciemnym, mglistym tunelu, który wybiegał z duszy Wallace'a w najdalszą część nocy, a kończył się na tym zakręcie w ciemnym przedpokoju, gdzie z oczami zaciśniętymi jak u trupa Aubrey przyciskał policzek do wilgotnej ściany, a w uszach dźwięczał mu szorstki głos Hyacinth, opowiadający o wielkich rogatych bestiach, kryjących się w kołdrach i cieniach na oknach, gotowych zagłębić swoje ostre jak brzytwa kły w miękkich gardłach niegrzecznych chłopców, którzy w środku nocy siusiąją do łóżek.

Przez całą noc czuwał u ich drzwi. Ani razu, w ciemnościach czy głębokim bólu sennych marzeń, nie pozostawił ich bez opieki. Kiedy nastał ranek, zerwał się gwałtownie i poczuł, że na wysokości ud jego materac jest mokry. Wtedy właśnie powiew porannego wiatru wpadł przez drzwi i zatrasnął je, a Wallace krzyknął, bo tak niewiele brakowało...

12.

Mysłał, że to lipiec, któryś tam lipca. Dni były jasną pajęczyną utkaną z kobiecych głosów migoczących na dusznej werandzie i z hałasu opon jeżdżących w tę i z powrotem po podjeździe, i z nocnego trzaskania drzwi w dziecięcych koszmarach, z których czasem brały się nagle łyzy przerażenia, jego, dziewczynki... Answana... Arnolda... Drzwi do domku otworzyły się szeroko.

– Dawaj to – powiedział Huller, przesłaniając poranne światło. Wyciągnął rękę – Potrzebuję tego!

Wallace udawał, że śpi. Jego duży palec u nogi drgał nerwowo.

– Chryste Panie – jęknęła Dotty z sąsiedniego łóżka. Uniosła się na łokciu, przyciskając kołdrę do piersi. Twarz miała spuchniętą i bladą.

– Obudź go! – warknął Huller. – Potrzebny mi ten artykuł!

– Zgubił go! Mówił ci przecież! – odparła Dotty.

Huller stał teraz w nogach łóżka. Wallace leżał tak nieruchomo, że poczuł, jak kręci mu się w głowie. Miał wrażenie, że wisi w powietrzu.

– Obudź się! – wrzasnął Huller. – Nie będę marnował całego dnia.

Potrząsał łóżkiem, po czym w nie kopnął. Rama zadrżała, wydając z siebie metaliczny pogłos. Huller kopnął ponownie i tym razem łóżko podskoczyło.

– Chryste Panie. – Dotty objęła głowę rękami.

Huller pochylił się nad Wallacem. Cuchnął wczorajszą gorzałą i starym potem. Ten odór kojarzył się z zepsutym mięsem, kwaśnym i robaczywym. Wallace pozwoli otworzyć oczy. Skóra Hullera była sucha i popękana. Parę jej strzępków zwiślało przy spierzchniętych kącikach ust. Miał też przekrwione i mocno podkrążone oczy.

– Obudziłeś się? – spytał.

Wallace przytaknął.

– Znalazłeś już ten wycinek? – pytał dalej Huller. Wciąż zwilżał wargi. Jego pierś wznosiła się i opadała w rytm płytkich oddechów.

– Nie – odpowiedział Wallace.

– No to lepiej go znajdź. Masz czas do południa! – Huller zamachnął się i zatrzymał pięść tuż przed nosem Wallace'a.

– Zostaw go! – powiedziała z niesmakiem Dotty. – Musisz wyżywać się na nim?!

– Chcę ten wycinek! – warknął Huller.

– To go sobie załatw – odparła. – Sam mówiłeś, że to kopia i że w ogóle to niepotrzebne.

– Nie o to chodzi – rzekł Huller monotonnym głosem, w którym słuchać było złość i panikę. Pies drapał pazurami pod podłogą domku i węszył między deskami. – Chodzi o niedbalstwo i tracenie każdej minuty przez tego kretyna, o to właśnie chodzi!

Dotty owinęła wokół siebie poplamione prześcieradło i wstała z łóżka. Gdy szła do łazienki, jej bose stopy wydawały z siebie lepki, miękki odgłos.

– Chodzi o to, że wyżywasz się na wszystkich, bo nie możesz znaleźć telefonu tych ludzi. – Weszła do łazienki i z cichym jękiem usiadła na toalecie. Spod grubej plastikowej zasłony widać było jej stopy. – Jak gdyby to była nasza wina. – Zawołała, przekrzykując odgłos moczu.

Wallace był zakłopotany.

– Jak gdyby to przez nas mieli zastrzeżony numer. – Dotty spuściła wodę i wyszła z łazienki, poprawiając prześcieradło. Ze sterty ubrań na podłodze podniosła spodnie i wygrzebała z nich na wpół wypalonego papierosa.

– Zadzwoń do banku – ciągnęła. – Powiedz, że masz coś do obgadania i poproś go o numer domowy. Powiedz, że to sprawa osobista.

Zapaliła papierosa i przymknęła oczy, zaciągając się głęboko.

– Mamy pieprzone święto – powiedział Huller. – Wszystkie pieprzone banki są zamknięte.

Popatrzył na Wallace'a i ponownie kopnął łóżko.

– Chcę ten pieprzony artykuł – dodał i wyszedł.

– Zadzwoń do sąsiadów – powiedziała Dotty, idąc za Hullerem na podjazd.

Wallace słyszał ich sprzeczkę. Nagle drzwi furgonetki trzasnęły i silnik zawarkotał, po czym zawył.

– Nie zapomnij, że świętujemy dzisiaj! – krzyknęła Dotty.

– Pierdołę świętowanie! – odwrzasnął Huller.

Gdy tylko furgonetka odjechała, Wallace wyskoczył z łóżka. Był całkowicie ubrany, nie zdjął nawet tramppek. W łazience ochlapał się wodą, po czym zerknął na matowe, poszczerbione lustro. Jego oczy dziwnie błyszcząły. Przysunął się bliżej i chuchnął na lustro. W środku każdego oka widział mały kwadracik światła, matowy, lecz lśniący niczym zalane słońcem okno. Wallace odwrócił wzrok i szybko wyszedł z łazienki. Usiadł na skraju łóżka i przechylił głowę. Nasłuchiwał przez chwilę, zanim rozwiązał tramppek i zsunął go z nogi. Uniósł naderwaną futrówkę i wyciągnął stamtąd splaszczony wycinek. Rogi kartki były wystrzępione i poplamione. Wallace rozpostarł kartkę na kolanie.

Tak, to był lipiec – czwarty lipca, święto! Próbował to dopasować do całej historii, dorobić jakąś wzmiankę o fajerwerkach, petardach i plastrach melona. Czy *tamtego* roku była parada? Czy *oni* oglądali ją z domu? Z werandy? Z tej wielkiej, okrągłej werandy z fotelami na biegunach, które kołysały się lekko na letnim wietrze? A może zabrali dziewczynkę na paradę? Pan Bird pewnie niósł małą; pewnie posadził ją wysoko na swoich szerokich ramionach i trzymał ją za szczuplutkie kostki. Za nimi szła pani Bird z rękami splecionymi na dużym, wystającym brzuchu...

Od czasu do czasu w tej jego historii pojawiała się Hyacinth. Czasami było to zaledwie ulotne wrażenie, mgnienie jej tasiemki od fartucha, gdy ona sama skręcała za róg, albo jej zniszczony zielony śpiewnik na czarnej szafce koło łóżka.

Dziś było jednak inaczej. Z okazji czwartego lipca setki ludzi stały po obu stronach ulicy, aby obejrzeć paradę, i Wallace znalazł się na jednym zatłoczonym rogu, a na drugim stała Hyacinth, cała odstawiona w swojej niedzielnej niebieskiej

sukience z opalizującymi, szklanymi guzikami na piersi i w czarnych sznurowanych bucikach na płaskiej podeszwie – nosiła takie, bo wysokie obcasy sprawiały, że bardzo bolał ją skrzywiony, kościsty kręgosłup.

Oddech Wallace'a gwałtownie przyspieszył.

Jej wzrok prześlizgiwał się po ludziach w tłumie. Szukała kogoś. Jego. Oczywiście, że jego. Co miał powiedzieć? Jak miał jej to wytłumaczyć? Pięć lat, powiedziałaby. Pięć lat.

Nadchodziła orkiestra. Serce Wallace'a biło w rytm muzyki wygrywanej przez zbliżających się skautów. Przemaszerowało ich obok niego pięćdziesięciu; pięćdziesięciu skautów ostrzyżonych krótko, z jaskrawopomarańczowymi chusteczkami na szyjach i w czapczkach; pięćdziesięciu skautów, którzy przeczesali teren wokół domu...

Dziś był czwarty lipca. Huller mówił, że chce załatwić wszystko przed siódmym, ale ponieważ nie znał telefonu do Birdów, nie mógł zadzwonić. Wallace gapił się na kartkę, na podskakujące litery. Nie mógł myśleć logicznie – nie o Canny, nie o pieniądzech z okupu i cmentarzach, i o tym, że będzie musiał zostawić jej bezwładne ciało w lesie. Wszystko było na tyle odległe, że nie wydawało się prawdziwe. Nie mogło być prawdziwe, dopóki się nie zaczęło. Ta kartka i, w pewien przerażający sposób, Canny, stały się jego jedynym pomostem pomiędzy przeszłością a przyszłością.

Drzwi otworzyły się nagle, a głowa Wallace'a podskoczyła do góry.

– Co to? – zapytała Canny i zmrugała oczy, wchodząc z zalanego słońcem podwórza w mroczne wnętrze domu.

Usiadła w nogach łóżka. Jej policzki lśniły od brudu i potu.

– Co to? – spytała ponownie.

Wallace patrzył na nią przez chwilę, po czym zwinął wycinek i z powrotem włożył go pod futrówkę.

Z oddali dobiegł ich śmiech Dotty. Alma wyciągała krzesła z kuchni na werandę, gdzie siedziała Dotty w otoczeniu płyt. Odkąd Ellie zachorowała i w zeszłym tygodniu pojechała do domu, Dotty odzyskała wigor.

– Będziemy piec hot dogi i hamburgery – powiedziała Canny i machnęła ręką w stronę domu. – Wzięły grilla – dodała, mając na myśli zardzewiałe urządzenie bez nóg, które Wallace trzymał w aucie. – Mama wybiera ulubione płyty. Ellie ma przywieźć sprzęt...

Wallace wstał i pozbierał z podłogi porzucane ubrania Dotty, po czym położył je na krześle. Z kupki wypadły czerwone nylonowe majtki. Canny podniosła je i zaczęła leniwie kołować na palcu.

- Mam dobre wieści – wyszeptła. – Ale nie możesz powiedzieć mamie. Wyrwał jej wirujące majtki i wepchnął je do kieszeni.
- Ellie wróci tu ze wszystkim rzeczami w walizce. Schowają je w szopie, a potem uciekną, gdy tylko on znajdzie numer.
- Jaki numer? Kto? – spytał Wallace.
- Jiggy i Ellie! – Canny stanęła tuż przy nim i z radością zatarła ręce. – Czy to nie wspaniale? – uśmiechnęła się. – Czy to nie najlepsza nowina na świecie?

Jej broda zadrżała i dziewczynka rozplakała się nieoczekiwanie.

- Mam robactwo – wychlipała, pokazując swoje matowe, poplątane włosy.
- Jest gorąco – odparł. – Wszystko swędzi.
- Jeden wypadł – szepnęła, przysuwając się jeszcze bliżej.
- Pewnie jakaś pszczoła zaplątała ci się we włosy.
- Był płaski. Miał mnóstwo nóżek i ledwie go zobaczyłam.
- Więc to był kleszcz! – Uśmiechnął się do niej. – Kleszcze są płaskie i mają dużo nóżek. Kleszcze atakują tylko raz. Nie żyją na ludziach jak wszy.

Pochyliła się i obiema rękami zaczęła mocno drapać się po głowie, aż w jej oczach pojawiły się łzy.

- Tak mnie swędzi, że chce mi się rzygać – jęknęła.
- Chodź tu – powiedział i zaprowadził ją do łazienki.

Zmoczył jej włosy w maleńkiej, upstrzonej brązowymi plamami umywalce, i tak długo wcierał w nie mydło, aż utworzyła się gęsta piana. Napełnił plastikowy kubek wodą i polewał nią głowę dziecka. Na każdym paśmie lśniły kropelki światła. Wallace wytarł ręcznikiem głowę Canny. Jej włosy wciąż błyszczwały. Przyjrzał im się uważnie, odgarniając po kolei każde jasne pasemko. Miała mnóstwo gnid. Po skórze głowy pełzał tłum wszy.

- Mam je, co? Mam wszy? – zadrżała. – Przyglądasz im się.
- Masz wysypkę, ot co – odparł. – Taką swędzącą wysypkę.
- Kłamiesz, tatusiu. – Odrząciła jego rękę i odwróciła się ku niemu.

Wallace popatrzył jej w oczy.

- Nic nie mów mamie – ostrzegł ją.

Canny posępnie pokiwała głową.

Zeszłej wiosny, gdy znalazł wesz we włosach Canny, Dotty po prostu uciekła. Te dwa dni spędzone z Canny w maleńkim, dusznym pokoju były najstraszniejsze w całym życiu Wallace'a. Bez Dotty nie umiał wymyślić, co robić, nie umiał niczego logicznie powiązać. Kiedy skończyło się mleko, on i Canny pili wodę z

kranu. Kiedy skończył się chleb, jedli kielbaski. Kiedy pani z parteru dudniła do ich drzwi wrzeszcząc, że potrzebuje otwieracza do butelek, siedzieli tylko nieruchomo i patrzyli na siebie bez słowa.

- Załatwię coś na to – powiedział Wallace. – Jakąs naftę czy co.
- Jest w szopie – stwierdziła. – W czerwonej puszcze.

Oboje podnieśli wzrok słysząc głos Dotty.

- Woła cię – powiedział Wallace.
- Canny! – krzyczała Dotty. – Chryste Panie, chodź no tutaj!

Canny wybiegła z domku. Dotty kazała jej znaleźć resztę płyt. Stała przy drzwiach auta i patrzyła, jak Canny przeszukuje przestrzeń pod siedzeniami z przodu. Dziewczynka wyciągnęła kołpak, torbę z butami Dotty i butelkę whisky z motelu.

- Co to? – Dotty nachyliła się nad małą.
- Gorzała – odparła Canny i podała jej butelkę.
- Hura! – wrzasnęła Dotty i potrząsnęła rękami nad głową.

Z domu wyszła Alma i obie kobiety solidnie pociągnęły z butelki.

Jakiś czas później Wallace siedział na werandzie i obserwował, jak Canny bawi się na podwórku w poszukiwanie zakopanych skarbów, kiedy nagle na podjazd wtoczyło się zniszczone czerwone kombi na zjechanych oponach. Wyszły z niego Kelly, Krystal i Ellie, niosąc głośniki i patefon. Łączył je nie tylko kabel, ale i pewna ociężałość.

Kierowca był wysokim mężczyzną o długich, cienkich włosach i wytatuowanych ramionach. Ruszył w stronę domu ze zwieszoną głową i wystawionym łokciem, jak gdyby osłaniał się przed ostrym wiatrem. Jego przednie zęby, poszczerbione i poplamione, sterczały niczym kły i Wallace zrozumiał, że to Carl, brat. Wysysacz krwi. Wampir. Potwór ze wszystkich opowieści Hyacinth.

Noc była kleista od wilgotnego upału i upstrzona kilkoma odległymi gwiazdami. Alma, Ellie i Wallace usiedli na werandzie, a niżej, na górnym schodku, przycupnęła Dotty z trzema dziewczynkami. Dotty miała na sobie czerwoną atlasową sukienkę, która sięgała jej do ud, i czarne, lśniące pończochy. Wyglądała na smutną i zagubioną, jak gdyby trafiła na niewłaściwe przyjęcie. U jej stóp stał papierowy kubek z resztką whisky.

Jiggy zignorował zarówno przyjęcie, jak i petardy, które Carl odpalał na podjeździe. Każdy błysk sprawiał, że dziewczynki zaczynały krztusić się i chichotać. Schowany pod werandą pies skowyczał i warczał, a jego ogon uderzał miarowo o moką ziemię. Alma wstała i podeszła do dziewczynek.

- Kto chce ostatniego hot doga? – zapytała.
- Zostaw jednego dla Jigga – zawołała Ellie.

Dotty naląła sobie kolejnego drinka i oparła się łokciami o podłogę na werandzie.

- Przegapił okazję – stwierdziła Alma.

Wsunęła przypaloną, poskręcaną parówkę w bułkę i demonstracyjnie podała ją Wallace'owi. Nie miał ochoty na hot doga, ale i tak go zjadł. Alma usiadła obok niego i poprosiła Carla, żeby odpalił petardę.

– Skończyły się – mruknął Carl puszczając ostatni fajerwerk. Cienka czerwona smuga światła śmignęła i zniknęła w ciemności niczym strzała, która zboczyła z kursu.

– Cholera – westchnęła Alma. – A ja cały czas gotowałam...
– Nie moja wina. – Carl wytarł nos wierzchem dłoni; oczy, nos i usta chłopaka były czerwone od dymu, a w świetle nocy jego skóra połyskiwała dziwnie, niczym skóra ślimaka.

– Mogłeś zostawić jakąś dla mnie – wydeła wargi Alma, krzyżując na piersi spalone słońcem ramiona.

Dotty upiła spory łyk whisky, po czym odchyliła się i westchnęła. Ellie wstała, żeby zmienić płytę. Robiło się coraz goręcej, upał narastał wraz z hałasem z głośników. Ellie strzeliła palcami i zaczęła kotysać głową w rytm muzyki.

– Byłam zła, byłam złaaaa... – Zacisnęła usta, zatrzęsła ramionami i nagle poderwała głowę. – Od dnia narodzin!

Tymczasem dziewczynki wbiegły na werandę, chichocząc i tańcząc. Ich twarde, bose stopy były oblepione błotem. Próbując naśladować Ellie, małe strzelały palcami, kręciły biodrami i krzyczały razem z nią „Byłam zła, zła jak cholera!” Wrzeszcząc: „cholera!” chichotały i objęły się o siebie. Wallace uśmiechnął się lekko. Cały czas patrzył na Canny. Dotty siedziała tyłem do nich. Znowu sobie naląła, nie spuszczać wzroku z drogi.

– O, tak! – rzekła Ellie, pokazując im, jak kotysać miednicą. – Pompujcie! – roześmiała się, trzęsąc wąskimi biodrami. – Hej!

- Hej! – zawtórowały dziewczynki.

Błysk reflektorów oświetlił drzewa. Pies wypelzł spod werandy i zaczął ujadać.

Dotty wstała i przekręciła gałkę na cały regulator, po czym przyłączyła się do Ellie i dziewczynek. Muzyka wdarła się w noc niczym potworny, terkoczący silnik, który powoli pochłaniał ich wszystkich. Na ramionach Wallace'a pojawiła się gęsia skórka. Nawet Alma tańczyła. Podłoga na werandzie zadrżała.

– Ej! – zawołała Dotty i machnęła ręką na Carla.

Zawstydzony, potrząsnął przecząco głową. Dotty zbiegła po schodkach, i łapiąc Carla za ramię, zmusiła go do wejścia na werandę. Uderzyła biodrem o jego biodro i zaczęła tańczyć wokół chłopaka. Obie siostry Carla pokładały się ze śmiechu. Alma zacisnęła kolana i przykucnęła, jak gdyby bojąc się, że lada moment zsiąka się w majtki.

– O, Boże – jęczała, gdy ramiona Dotty wiły się jak węże wokół kościstej szyi i zapadniętej piersi Carla. Oczy chłopaka płonęły, a policzki zrobiły się czerwone. Dotty wysunęła język i zaczęła nim kręcić. Carl spuścił wzrok.

Pies pierwszy dojrzał, jak furgonetka Jiggy'ego wjeżdża na podjazd. Pies i Ellie ze swoją nową, chłopięcą fryzurą. Dziewczyna oparła się o poręcz i uśmiechnęła do Hullera, który siedział w samochodzie i obserwował manewry Dotty. Kołysała się wokół Carla, popychając go ku ścianie domu. Dotykała biodrami jego bioder, po czym cofała się z twarzą wykrzywioną, a chwilę później nieprzytomną, jak gdyby było jej niedobrze. Muzyka się skończyła, choć płyta wciąż wirowała, cicho zgrzytając. Dotty weszła do domu i trzasnęła za sobą drzwiami. Idąc za nią, Huller ledwie machnął głową na powitanie Ellie. On i Dotty stanęli tuż przy drzwiach. Jego głos był niski i przymiłny. Wallace odchylił się i nasłuchiwał uważnie.

– Spieprzaj – mówiła Dotty. – Po prostu spieprzaj.

– Cztery siedem sześć dwa jeden dziewięć jeden – wyrecytował Huller. – Teraz też każesz mi spieprzać...?

– Skąd go masz? – zapytała Dotty. Syknęła zapałka i w powietrzu rozszedł się zapach dymu z papierosów.

– Po prostu mam – odparł Huller. – Zawsze dostaję to, czego chcę, no nie?

– A ona? Mówiłeś, że nie wróci.

– Nie mogę jej zabronić tu przychodzić. To siostra Almy.

– Ta suka działa mi na nerwy – mruknęła Dotty.

– Uch – westchnął Jiggy. – Jesteś taka miła w dotyku....

– Tak?

Właśnie wtedy Wallace ujrzał długiego białego lincolna, który wjechał na podjazd. Zaciemniona szyba po stronie pasażera opuściła się i kobieta o platynowych

włosach spytała dziewczynki, czy tu mieszka pan Huller.

– Jig! – zawołała Alma.

Huller wyszedł i stanął na górnym schodku. Z auta wysiadł Wipes Callahan, a Huller pośpieszył się z nim przywitać.

– Cześć – powiedział Callahan.

– No cześć – skinął głową Huller.

Choć Callahan nie mógł jej zobaczyć, Doty przezornie nie wychodziła zza drzwi.

– Słyszałem to i owo – mówił cicho Callahan. – Rozpytywałem się. Wiesz, o to, o co pytała ta dziewczyna. Chodziło o sporą forszę. Podobno nadal chodzi. Nic nie znaleźli – żadnych tropów, śladów, nic. To dopiero była sensacja. Naprawdę coś, i poszło w świat. Zdjęcia. Telewizja. Gazety. To znaczy...

– Zapomnij – przerwał Huller. – Ona tak właściwie to... no wiesz.

– Jest tu? – spytał Callahan.

Huller zerknął w kierunku drzwi.

– Nie. Była walnięta. Sam wiesz. Przepraszam, że tyle się trudziłeś.

Callahan wpatrywał się w siedzące na poręczy werandy dziewczynki.

– Ładne dzieciaki – stwierdził. – Wszystkie twoje?

Wallace wpatrywał się w Canny.

– Wszystkie – odparł Huller.

– No dobra! – Callahan stuknął go w ramię. – Będziemy w kontakcie.

Z kieszeni wyciągnął wizytówkę i wręczył ją Hullerowi.

– Na wypadek, gdyby coś się zdarzyło. – Spojrzał na dziewczynki, a potem znów na Hullera. – Umieję rozwiązywać problemy.

Po odjeździe Callahana Alma nastawiała coraz to nowe płyty, ale nikt nie chciał już tańczyć. Carl kołysał się na krześle z kuchni. Przy jego stopach stało sześć pustych puszek po piwie. Ellie drzemała, oparta o poręcz, a Krystal spała z głową na jej kolanach. Kelly leżała zwinięta niczym mały kociak. We śnie drapała się po głowie i coś mruczała.

– Carl, przynieś tu Kelly, dobrze? – powiedziała Alma.

Wallace patrzył, jak Carl dźwiga się z krzesła. Pochylił się nad Kelly, a kiedy ją podniósł, zeszywniała i szeroko otworzyła oczy.

– Nie, wujku! – krzyknęła. – Nie chcę!

Jej krzyk rozszedł się po całym domu.

13.

Był ranek, a Wallace czuł się tak, jak gdyby w ogóle nie spał. Wstał z łóżka i poszedł do łazienki. Do jego bosych stóp przyklejały się rozmaite przedmioty. Chrapanie Dotty narastało i opadało, zmieniając się w cichy, chrapliwy szelest. Na krześle pomiędzy łóżkami stał talerzyk z rozmiękłymi chrupkami, przysypanymi popiołem z papierosów.

Było już dobrze po północy, kiedy Dotty w końcu położyła się spać. Wieczorna wizyta Callahana zdenerwowała ich wszystkich, zwłaszcza Hullera, który zaprowadził Wallace'a i Dotty do dusznego domku. Znowu chciał dokładnie wiedzieć, co wydarzyło się w dniu uprowadzenia Canny. Spacerował w tę i z powrotem i zadawał Dotty wciąż te same pytania. Jak wyglądał w środku dom Birdów? Która dokładnie była godzina? Dokąd pojechali po opuszczeniu domu?

– Nie jestem pewna – odparła Dotty.

– Jaką ulicą? Droga? Autostradą?

– Nie wiem, cholera! – wrzasnęła Dotty. – Po prostu ruszyliśmy przed siebie. Mówiłam ci już!

– To za mało! – odparł Huller.

– Dlaczego? – Wysunęła szczękę i spojrzała na niego płonącymi oczyma. – Nie wierzysz mi? Myślisz, że pieprzę?

– Może. Połowa z tego, co mówisz, to pieprzenie.

– Ach, tak?

– Skąd mam wiedzieć! – rzekł Huller. – Skąd mam wiedzieć, czy nie wma-wiasz mi, że to dzieciak Birdów. Nie wiem, kim jesteście! Możecie mnie nieźle wydymać! – Głos mu drżał, gdy ocierał spocone czoło.

– Musisz mi uwierzyć – odezwała się Dotty. – Powiedziałam ci już wszystko, co mogłam powiedzieć.

– Dotty, słyszałaś Callahana! Zniknięcie dzieciaka to było wielkie wydarzenie. W życiu nie zrozumieję jak wy dwoje, ty i on – zwłaszcza on – zdołaliście to zrobić. Uciekliście im sprzed nosa – FBI, policji, strażnikom, psom, całej pieprzonej obławie! Chryste Panie, jak wyście to zrobili?

Wallace spojrzał na Dotty. Pamiętał tę niekończącą się jazdę. Płacz Canny za każdym razem, gdy się budziła i na niego spojrzała, i w środku tego wszystkiego głos Dotty, twardy i pewny jak droga pod oponami.

– Zwyczajnie – odparła Dotty, najwyraźniej chcąc uspokoić siebie i Hullera.
– Po pierwsze, nikt nas nie widział; po drugie, byliśmy tam tylko przez parę minut; po trzecie, ta cholerna Birdowa nie wzywała policji przez ile? Czterdzieści pięć minut?

– Czterdzieści – skorygował Huller.

– Wtedy już od dawna nas tam nie było. – Roześmiała się. – Ruszyliśmy na orbitę. Wcale się nie zatrzymywaliśmy Z nikim nie rozmawialiśmy. Zmieniliśmy jedno życie na drugie, całkiem nowe. Nie kupowaliśmy gazet ani nawet nie mieliśmy w wozie radia. Nie wiedzieliśmy, co się dzieje. Jechaliśmy przed siebie, aż dotarliśmy na Florydę. Kiedy była nam potrzebna benzyna, ściągałam ją do kanistra. Kiedy byliśmy głodni, brałam jedzenie.

– To popieprzone – powiedział Huller. – To wszystko. Zwyczajnie popieprzone.

– Nie – stwierdziła Dotty. – To szczęście. Zawsze miałam szczęście...

Już z daleka Wallace usłyszał skrzypienie otwieranych drzwi. Podniósł głowę i ujrzał, jak Canny wychodzi na palcach na werandę i ogląda się za siebie w głąb domu, po czym zbiega po schodkach do małej, walącej się szopy, gdzie podobno miała być nafta.

Wallace ruszył ku wyjściu, zadowolony, że Dotty wciąż śpi. To był właściwy moment, żeby natrzeć włosy Canny. Kiedy inni się obudzą, będzie już po wszystkim.

Zanim zdążył otworzyć drzwi, zobaczył, że z domu wychodzi Carl. Miał rozpiętą koszulę i schodząc z werandy zapinał spodnie, ale zostawił rozpięty rozporek. Z nieprzytomnym wzrokiem, wciąż wiotki od snu, ruszył w stronę stodoły. Trzymał się blisko domu, skąpanego w porannych cieniach, które drżały i falowały niczym woda. Gdy otwierał drzwi do szopy, rozejrzał się bacznie dookoła, po czym wśliznął się do środka.

Wallace czekał, ale kiedy po paru minutach Carl wciąż nie wychodził, opuścił domek i szybko podszedł do lekko uchylonych drzwi szopy. Przechylił głowę, oślepiony blaskiem wpadającego przez drzwi światła. Powietrze w pomieszczeniu było rozgrzane i suche.

– Tylko go dotknij – mówił niskim i lepkiem głosem Carl. – Dam ci ćwierć dolca, tak jak Kelly.

– Nie – wyszemrała cicho Canny.

– Dam ci dwie ćwiartki.

- Nie chcę.
- Tylko go dotknij.
- Nie.
- Chodź...
- Puść mnie...
- Daj rękę... tylko...
- Puszczaj...
- Przestań! – ryknął Carl. – Au! Ty mała...
- Tatusiu! – krzyknęła. – Tatusiu!

Słyszając to, Wallace popędził do domku i potrząsnął Dotty, potrząsał nią, jak gdyby była topielcem, wytrząsał sen z jej mokrych pleców.

– On ją zabije... Wyssa jej krew i ją wypije, a potem zabije Canny... Obudź się, Dotty. Błagam! Błagam!

Usiadła, cała drżąca, ale wciąż z zamkniętymi oczyma. Zaniepokojona przerażeniem w jego głosie, wstała i zataczając się, w samych majtkach i staniku ruszyła do drzwi. Wallace złapał prześcieradło z łóżka i zarzucił je na Dotty, gdy dotarli do szopy. Z Wallacem za plecami, Dotty pchnęła uchylone drzwi. Siedząca na krokwiach gołębia rodzina poderwała się ze swoich ciepłych grzęd, a szelest ich skrzydeł przypominał trzaskanie płomieni.

– Ty sukinyś! – wykrzyknęła Dotty i rzuciła się na zaciemioną sylwetkę, która klęczała nad walczącą i jęczącą dziewczynką, zatykając jej usta dłonią.

Zanim Carl zdążył wstać, Dotty skoczyła mu na plecy i wyrwała garść włosów z jego czaszki. Canny poderwała się i pobięła ku Wallace'owi. Z jej nosa i ust sączyła się krew. Wallace podniósł prześcieradło i usiłował zatamować krwawienie. Próbował znaleźć ślad po wampirzym pocałunku, ale jego oczy były zamglone od łez.

– Biedna Canny – szlochał i przytulił ją mocno. – Biedna mała Canny.

Drzwi od szopy otwarły się szeroko i w blasku światła ramię Dotty uniosło się i opadło z głuchym łomotem. Zardzewiała łopata, którą wyciągnęła z pojemnika, trafiła Carla w ramię. Jęcząc, zwinął się i runął na zabrudzoną smarem podłogę.

– Co do cholery... – To był Jiggy.

Stanął w drzwiach z zaniepokojonym psem u boku, podczas gdy Wallace wciąż usiłował wytrzeć rąbkiem prześcieradła poplamioną brodę Canny.

- Co ty...– Jiggy złapał Dotty za przegub i wytrącił jej z ręki łopatę.
- Zabij go! – krzyknęła. – Zabij go, zabij....

Sięgnęła po łopatę i w tej samej chwili Jiggy uderzył dziewczynę otwartą dłonią, tak mocno, że jej głowa odskoczyła i zakołysała się na szyi.

Carl przywarł do puszki i obejmował głowę ramionami. Kwilił jak niemowlak.

– Już dobrze. Już dobrze, już dobrze – wciąż szeptał Wallace w suche, zniszczone włosy Canny, chociaż wiedział, że to nieprawda; że stało się najgorsze. Ze stronic baśni o zagubionych księżniczках i czarodziejskich dzieciach, na długie, ciemne, wilgotne korytarze koszmarów sennych wyszedł potwór, wysysacz krwi, Carl. I, tak jak w swoich snach i w dawnych czasach (gdy przywierał uszami do zimnej, twardej ściany) Wallace wciąż zadawał sobie to samo pytanie: co on zrobił, co on zrobił, co on zrobił...

14.

Jak to brzmi? – zapytała Dotty z głową pochyloną nad kartką papieru. – Dzień dobry, panie Bird – przeczytała. – Pozwoli pan? Chciałbym zabrać panu kilka minut, jeśli wolno...

– Brzmi do dupy – przerwał Jiggy, zakreślając ołówkiem krótką linię na mapie. Następnie odwrócił mapę na bok i narysował dłuższą linię, która przecinała poprzednią.

Pod oczami Dotty utworzyły się ciemne cienie. Zerknęła na siedzącego na krawędzi łóżka Wallace'a. Od incydentu z Carlem tego ranka Dotty wydawała się na krawędzi czegoś – czy to łez, czy śmiechu, czy też hysterii, Wallace nie wiedział, ale czuł, że wkrótce coś w niej wybuchnie. Już po raz dziesiąty Jiggy zbywał tekst, który pisała dla Wallace'a, do wykorzystania w trakcie rozmowy telefonicznej.

- A co z nim nie tak? – spytała teraz.
- To samo, co poprzednio. Wydaje się sztuczny. Wymyślony. – Jiggy pochylił się nad mapą.
- O czym ty mówisz, do cholery! Pewnie, że jest wymyślony! Właśnie go wymyśliłam!

Rzuciła długopis i kartkę na łóżko, po czym przebiegła przez pokój i stanęła przy drzwiach. Po chwili odwróciła się i wyciągnęła palec w kierunku Hullera.

– Wiem, o co chodzi. – powiedziała pełnym napięcia głosem. – Jesteś wkurzony z powodu swojego szwagra...

– Zamknij się – przerwał jej Jiggy – Usiądź i się zamknij!

Ostrożnie narysował kolejną linię na mapie, tym razem atramentem, krwistoczerwonym atramentem. Uśmiechnął się i poprawił linię.

– Pewnie, że jesteś – rzekła. – Czepiasz się mnie przez cały dzień i mam już tego dosyć.

Jiggy popatrzył na nią i wyszczerzył zęby.

– Chyba masz rację – stwierdził. – Mylisz się co do powodu. Wkurza mnie to, że możemy nie zdążyć na czas – zanim zdążysz rozwalić łeb tego pojeba...

Dotty westchnęła. Nerwowo wzruszyła ramionami i znowu westchnęła. Zatrzępotała powiekami i nagle jej oczy pełne były łez. Huller odchylił się na krześle i potrząsnął głową.

– Co ty wyprawiasz? Najpierw obcinasz włosy mojej szwagierce, potem chcesz urwać ją szwagrowi. Kto będzie następny? – Uśmiechnął się do niej.

Dotty zaśmiała się niespokojnie. Zgarnęła z łóżka torebkę i zaczęła szukać w niej papierosów.

– On nie zasłużył na to, żeby żyć. – Zaciągnęła się głęboko i przez chwilę w milczeniu wpatrywała się w przestrzeń. – Niektórzy na to nie zasługują. Znałam kiedyś jedną dziewczynę. To był jeszcze dzieciak. Chyba mówiła, że ma czternaście lat. Nic nigdy nie miała. Przez całe życie, zupełnie nic. Nawet własnego wyra. Jej ojciec był najpodlejszą mendą w okolicy. Był naprawdę podły, ohydny! – Zadrżała i objęła się ramionami. – Ciągle się jej czepiał. Cały czas, w każdej chwili. Zrób to! Nie rób tego! Pomóż mamusi! Zabierz maluchy na spacer! Nigdy nie pozwolił jej być dzieckiem, rozumiecie? On i jej matka wciąż ją wykorzystywali. Tyle że on był gorszy – wykorzystywał ją najwstrętniej, jak można. Najpierw tylko dotykał. Potem poszedł na całość. Biedna mała. Miała wtedy dziesięć lat, ale kiedy skończyła trzynaście, poszła do mamy i wszystko jej powiedziała. A jej mama na to: „Ty brudna, kłamliwa świni, jak możesz mówić takie rzeczy o własnym tatu-siu”. I jej mama uderzyła ją i skopała; i po prostu oszalała, tłukła ją i wrzeszczała: „Ty świńska dziwko, brudna świńska dziwko...” Pobiła ją tak mocno, że dziewczyna przez tydzień nie mogła pójść do szkoły. I wtedy dziewczyna powiedziała sobie: „Ja jej dam! Ja jej pokażę!” Wyczekała tylko na odpowiedni moment, kiedy

był pijany, złośliwy i podkręcony, i mrugał, i ocierał się o stół, i miał taki nieprzytomny wygląd jak stary cap, co chce być miły, ale umie mówić tylko brzydkie wyrazy, jak jakiś dzieciak.

Tym razem nie uciekła. Nie wyszła z domu ani nawet z pokoju. Lada chwila jej mama wróci ze sprzątanania u hodowcy świń, a siostry siedziały na dole i oglądały telewizję. Usiadła na krześle za nimi, wpatrując się w ich główki i pomyślała, że jeśli ktoś go nie powstrzyma, dorwie się do którejś z nich, do którejś z tych słodkich dziewczynek, które kochała tak bardzo, jak gdyby były jej własnymi córeczkami. Więc siedziała tam i pozwalała mu to tak ciągnąć. A kiedy uznała, że zaraz wróci mama, popatrzyła na niego i uśmiechnęła się, i pierwszy raz nie uciekała ani nic takiego.

Złapał ją, a ona wstała i wcale się nie wrywała. Poszła do pokoju i nie odezwała się ani słowem. Był już prawie gotowy, kiedy usłyszała skrzypienie drzwi i głos mamy, która witała się z jej siostrzyczkami. Wtedy on zaczął, a jej było wszystko jedno, nawet gdyby wszyscy mieli się dowiedzieć.

„Mamo! – krzyknęła. – Mamo! Chodź i zdejmij go ze mnie! Mamo! Pomóż mi, mamo!”

– I wiecie, co się stało? – uśmiechnęła się Dotty, jak gdyby to ją bawiło. – Telewizor ryczał tylko coraz głośniej. I wtedy przestała krzyczeć i walczyć, i leżała pod nim, czekając, aż skończy. I zrozumiała, że jej mama też musiała przez to wszystko przejść. I że to ona sama musiała go powstrzymać.

Potem, jeśli mówiła cokolwiek, jej mama powtarzała tylko: „Nic nie mogę zrobić. Uciekaj. Zniknij stąd”. Wtedy dziewczyna miała chłopca, którego lubiła, starszego trochę, któremu opowiadała o sobie i ojcu, tyle że mówiła, że to chodzi o jej znajomą. I ten facet rzekł: „Powiedz tej koleżance, że niektóre skurwysyny nie zasłużyły na to, żeby żyć”.

Pewnej nocy, niedługo potem – a to była strasznie gorąca noc – dziewczyna w samej koszuli spała na kanapie i wtedy on przyszedł. Było tak gorąco i parno, że sama czuła się podkręcona po niedawnej randce z chłopakiem; a on nią potrząsał, chciał ją obudzić, i kiedy już miał się na niej położyć, zsunęła się z kanapy i wybiegła na zewnątrz. On wybiegł za nią z butelką w dłoni. Złapał dziewczynę, a kiedy było już po wszystkim, usiadł, zapalił papierosa i łyknął sobie, i nagle ona złapała za butelkę i mu przywaliła. Wciąż tłukła go po głowie i twarzy, a kiedy z butelki została tylko zakrwawiona szyjka, podniosła duży kamień i dalej go biła.

Wtedy, że-by nie było żadnych wątpliwości, żeby jej mama wiedziała, zapaliła zapalną i próbowała go podpalić. Zapalnik gasnął, ale ona czuła zapach jego palonych włosów. Więc pocierała zapalną za zapalną, aż pudełko było całkiem puste.

Dotty popatrzyła na papierosa i zgasła go na talerzyku z popiołem i chrupkami.

– Najdziwniejsze jest to, że chciała jeszcze więcej zapalek. Mogła myśleć tylko o tym, że potrzeba jej więcej zapalek. Kiedy jednak wróciła do domu, drzwi były zamknięte. Poszła spać do szopy, a gdy rano ojciec nie wrócił, wiedziała już, że nie żyje. Jak jej mama wyszła do hodowcy świń, wzięła więcej zapalek i wróciła do niego. Oddała rękawy jego koszuli, położyła mu je na brzuchu i podpaliła, ale ogień wciąż gasł. Uznała więc, że lepiej zniknie, tyle że zgubiła się w lesie na parę dni. Słyszała tylko jakieś głosy, wstrętne i rozszuszczone, i szczekanie, i warczenie psów, i zrozumiała, że nikt nie będzie jej słuchał. Że będzie tak, jak z mamą. Że ją nawyzywają i nikt jej nie uwierzy.

Zapadła cisza. Wallace gapił się na Dotty i Jiggy gapił się na Dotty, i w całym domku słuchać było tylko kapanie wody z kranu. Wygląda tak młodo, jak mała dziewczynka, pomyślał Wallace. To był ten rodzaj młodości, który powstaje z marzeń, ze snów, bezcielesnych i poszatkowanych na kawałki.

– Złapali ją? Znaleźli? – spytał Huller. Zagiął kawałek pudełka od zapalek, jak zawsze, gdy zamierzał wygrzebać sobie brud spod paznokci.

– Nigdy mi nie mówiła – odparła lekko Dotty, a jej głos zabrzmiał jak brzęczące szklane dzwonki, które kołysały się na wietrze na werandzie Hyacinth.

– To znaczy, że być może nadal jej szukają? – Wyciągnął kciuk i marszcząc brwi, oglądał go pod różnymi kątami.

– A kto tam wie. – Dotty przeciągnęła się i ziewnęła szeroko. – I kogo to obchodzi...

– Mnie.

Powiedział tak cicho, a jednocześnie tak dobitnie, że Dotty zeskoczyła z łóżka i stanęła nad nim.

– A co cię to obchodzi, do cholery? – warknęła.

– Jak jej na imię? – odparł.

– Zapomniałam. – Dotty wzruszyła ramionami. – Daj już temu spokój, co? Spotkałam ją tylko parę razy, a i tak nie uwierzyłam w połowę tego, co mówiła, taka z niej była kłamczucha.

Huller popatrzył na Wallace'a.

- Spotkałeś ją kiedyś, tę dziewczynę, o której opowiadała? – spytał.
- Nie – potrząsnął głową Wallace i zastanowił się przez chwilę. – Ale słyszałem o niej. Tu i ówdzie.

Opowieść Dotty wytrąciła go z równowagi. Kiedy dziewczyna i Jiggy wsiedli w furgonetkę i pojechali, żeby kupić mleko dla Almy i znaleźć odpowiednią budkę telefoniczną, z której zadzwonią do Birdów, Wallace wyciągnął swój wycinek. Tylko niektóre z liter układały się w słowa, i to te łatwe – „jak”, „tu”, „że”, „mi”. Wallace wpatrywał się w czcionki i usiłował przypomnieć sobie tę historię. Wciąż jednak mieszała mu się z opowieścią Dotty, tak, że to Canny siedziała w słabo oświetlonym pokoju przed telewizorem, a gdzieś z oddali dobiegało kwiczenie wieprzy, co było dziwne, bo jedyny znany mu hodowca świń mieszkał we Flatts. A bloodhound Bunti lizał twarz trupa. Ciekła po niej krew, a z krwawej miazgi wyłaniała się twarz o zaczerwienionych oczach i czarnych wąsach, twarz, którą niegdyś znał, którą widział i której się obawiał, i unikał na górskich ścieżkach i w Idzie w piątki. A Canny wyciągała ręce i krzyczała: „Tatusiu! Tatusiu!” A kiedy ruszył, żeby wziąć ją w ramiona, rzucił się na niego pies i zagłębił kły w jego gardle, w miękkiej tkance pod szczęką, gdzie jakieś usta zaczynały ssać, chleptać jego krew...

Drzwi trzasnęły nagle. Na tle ostrego blasku zarysowały się sylwetki Almy i Canny.

– Ma robactwo? – zapytała z wściekłością Alma i wypchnęła przed siebie dziewczynkę.

– Nie mam żadnego robactwa! – wrzasnęła z oburzeniem Canny. – Powiedz jej, że nie mam robactwa...

Otworzyła szeroko oczy, czekając, aż Wallace potwierdzi jej słowa. – Nie ma robactwa – powiedział.

– To czego wciąż drapie się po głowie i na co jej była nafta? – zapytała Alma.

– Głowa ją swędzi – wzruszył ramionami Wallace. Popatrzył na Canny. – Dlaczego cię swędzi? – spytał cicho

– Bo jest gorąco. – Canny wyrwała ramię z mocnego uścisku Almy. Palce kobiety zostały na ciele dziewczynki ślady w kształcie półksiężyców. – Pewnie dlatego.

- No a po co była jej nafta? – zmrużyła oczy Alma.
- Po co ci była nafta? – zapytał Wallace.

Na twarzy małej pojawiła się panika.

– Pić mi się chciało – odparła Canny. – Było gorąco i chciałam się napić.

– Zamierzałaś ją wypić? – zdziwiła się Alma.

– Myślałam, że to jabłecznik. – Canny popatrzyła na nią szeroko otwartymi oczyma.

Alma prychnęła i potarła spoconym policzkiem o ramię.

– Nie jesteś zbyt bystra – powiedziała. – Cały ten kłopot przez to, że jesteś głupia...

Właśnie wtedy, zupełnie znienacka, wydobył się z niej głęboki szloch. Opadła na brzeg łóżka i zaczęła się wydzierać. Nogi rozstawiła tak szeroko, że Wallace widział jej wielkie białe majtki. Wpatrywał się w punkt tuż za jej głową, w żółty otwór po sęku, który szpecił wybieloną boazerię.

– Wszystko się rozpada – płakała. – Całe moje życie się rozpada.

Która godzina? – zapytała Dotty.

– Szósta – odparł Jiggy.

Nadeszła pora kolacji, ale nikt nie był specjalnie głodny. Jiggy siedział na werandzie i odchyłał się na krześle. Nogi założył na drewnianą poręcz. Tuż za nim stał sześciopak piwa, który Dotty właśnie przyniosła z lodówki. Dziewczyna miała na sobie czarne szorty i białą bluzkę bez ramiączek, która wciąż się ześlizgiwała. Dotty nie mogła usiedzieć na miejscu. Alma leżała w łóżku, uskarżając się na ból brzucha, więc Dotty smażyła bekon i jajecznicę na czarnej żeliwnej patelni. Co chwilę wychodziła na werandę, by sprawdzić, czy Jiggy czegoś nie potrzebuje.

Kiedy nadszedł czas jedzenia, Wallace wyłączył telewizor i zagonił dziewczynki do kuchni. Zauważył, że już po kilku minutach wszystkie trzy drapały się po głowach. Dotty postawiła patelnię z jajkami i bekonem wprost na stole i kazała im się częstować. Podeszła do drzwi i oparła się o framugę.

– Która godzina? – zapytała.

– Pięć po wpół do siódmej – odparł Huller.

Dotty westchnęła i przycisnęła czoło do szyby w drzwiach. Wallace pochylił się nisko nad talerzem. Nagle Krystal wypluła jajko na swój talerz i wybuchnęła płaczem. Kelly kopnęła ją pod stołem. Canny jadła spokojnie i nic nie mówiła. Kojarzyła się Wallace'owi z małą szarą myszką. Raz czy dwa zerknęła na niego. Wszystko w niej wydawało się pozbawione życia i ponure, tylko jej oczy błyszczały.

– Kopnęła mnie! – poskarżyła się Krystal.

- Kłamczucha! – parsknęła Kelly.
- Która godzina? – zapytała znów Dotty.
- Za dwadzieścia siódma – odrzyknął jej Huller.
- Świntucha! – sapnęła Krystal i pokazała siostrę palcem. – Otwiera buzię i pokazuje jedzenie!

- Gówniana morda – wyszeptła Kelly, a między zębami tkwiły jej kawałki jaj.

Krystal wzięła z patelni garść niedosmażonej jajecznicy i rzuciła nią w siostrę, ale całkowicie chybiła i trafiła w nagie plecy Dotty. W porywie wściekłości Dotty doskoczyła do małej i trzepnęła ją w twarz.

- Mamusiu! – zawyła Krystal i pobiegła na górę z policzkiem czerwonym od uderzenia. Jej krzyki wibrowały w całym domu.

- Chryste Panie – mruknął Huller na werandzie. Wyprostował się i po kolei ciskał pustymi puszkami w drzemiącego na podjeździe psa.

- Teraz muszę się przebrać! – krzyczała Dotty, biegnąc między łazienką a prowadzącymi na werandę drzwiami. – Która godzina? Zdążę się przebrać? Chole-
ra, nie chciałam jej uderzyć... Kurde... Zaraz mi łeb pęknie, taka jestem zdenerwo-
wana. Wytrzymaj mnie, tatusiu.

Stanęła do niego plecami, żeby mógł usunąć jajecznicę.

- Straszna z ciebie suka – powiedziała do Kelly, sięgając rękami do tyłu i potrząsając bluzką. – Najpodlejsza suka, jaką w życiu widziałam! – Jej głos drżał, rozpadał się na kawałki.

Rysy dziecka stwardniały, a oczy jakby zapadły się w głąb czaszki.

- Nie mogę się doczekać, kiedy cię aresztują – wypaliła Kelly i wysunęła brodę. Nawet nie mrugnęła, kiedy Dotty pochyliła się nad nią, lecz wpatrywała się zimno w poszarzałą twarz kobiety.

- O czym ty mówisz? Jak to, aresztują? – dopytywała się Dotty. – Natych-
miast mów, co chciałaś przez to powiedzieć!

Złapała Kelly za ramię. Dziecko zaczęło wołać matkę głosem pełnym takiego przerażenia, że Dotty odskoczyła i podniosła ręce w poddańczym geście.

- Co do... – W drzwiach pojawił się Huller.

- O co jej chodzi? Dlaczego mnie aresztują? – pytała Dotty.

- Mamo! Mamo! – krzyczała dziewczynka i nagle zaczęła się krztusić. Jej pierś wznosiła się i opadała, oczy wywróciły się, a usta zrobiły granatowe. Nagle głowa dziecka odskoczyła, a nogi zeszywniały. Wijąc się, Kelly spadła na podłogę. W kącikach jej ust pojawiła się ślina.

Wallace był przerażony. Spojrzał na Canny, która wciąż jadła. Dopiero gdy do kuchni wpadła Alma, dziewczynka odłożyła widelec. Alma uklękła nad córką.

– Dawaj poduszkę! – krzyknęła.

Krystal pobiegła po poduszkę z kanapy, po chwili wsunęła ją pod głowę Kelly.

– Powiedziała, że mnie aresztują – mówiła Dotty do Jiggy'ego, który pochylał się nad Alną i Kelly.

– Ma atak! – powiedział, odtrącając ręce Almy, która usiłowała przytrzymać wierzgające nogi dziecka. – Zostaw ją.

– Ona umiera! – zaskrzeczała Alma i odepchnęła męża. – Umiera przez nich! Niech się stąd wynoszą!

– Nie umiera, ty głupia krowo! Ma atak! – wrzasnął na żonę pochyloną nad poskręcany ciałkiem dziecka.

– Słuchaj go! – błagała Canny. – Słuchaj Jigga!

– Nie umieraj – szlochała Krystal w swoją koszulkę. – Proszę, nie umieraj.

Canny ześliznęła się z krzesła, przeszła do pokoju gościnnego i włączyła telewizor. Siedziała twarzą do kuchni, ale nie patrzyła w ich stronę. Jej spojrzenie nie odrywało się od ekranu. Co jakiś czas drapała się po głowie. Jest zbyt spokojna, pomyślał Wallace. Wiedział, że musi mu powiedzieć coś na temat tego, co się zdarzyło w szopie. Jednak za każdym razem, gdy spoglądał na małą i myślał o tym, czuł się zbyt zawstydzony.

– Chcę wody – wymamrotała Kelly. Powoli otworzyła oczy.

Dotty klapnęła na krzesło obok Wallace'a. Gdy zapalała papierosa, jej dłón drżała.

Alma wstała, a Jiggy podniósł Kelly, po czym zaniósł ją na górę. Idąca za nimi Alma domagała się, żeby zawieźli dziewczynkę do szpitala.

– To był atak – powtórzył. – Widzę to nie pierwszy raz.

– Widziałeś, co się stało – rzekła Dotty do Wallace'a. – Nawet jej nie dotknęłam, prawda, Aubie? Byłeś tu. Widziałeś, co się stało.

Wstała i podeszła do schodów, nasłuchując uważnie. Spacerowała w tę i z powrotem pomiędzy zniszczonymi wełnianymi bieżnikami a stołem. Co jakiś czas sięgała ręką przez ramię i drapała się po plecach.

– Wciąż to czuję – mruknęła pod nosem. Głosy na górze brzmiały coraz donośniej.

– ...interes... – To był głos Jiggy'ego.

– Własną córkę?... ważniejsze od tego? – słuchać było Alnę.

Dotty popatrzyła na Wallace'a i zanim zdążyła powiedzieć choć słowo, zrozumiał, że nadszedł czas. To się miało stać tego wieczoru. Dotty ruszyła ku niemu, ale Jiggy i Alma właśnie schodzili po schodach.

– Słuchajcie doktora Hullera! – wrzeszczała Alma. – Moja ciotka miała ataki padaczki i połknęła pół języka. Musieli go wydobyć i przyszyć!

Spojrzała na Dotty i Wallace'a, jak gdyby szukając u nich wsparcia.

– Być może to się nigdy nie powtórzy – powiedział Huller i oplukał ręce w zlewie.

– A może będzie miała jeszcze dziesięć ataków dziś wieczorem! – odgryzła się Alma.

– Nic jej nie będzie – rzekła Dotty. – Naprawdę.

Alma nie zwróciła na nią uwagi.

– Proszę, Jig – błagała. – To nie zajmie wiele czasu.

Moczył właśnie grzebień pod kranem. Kiedy zaczął czesać włosy, Alma złapała go za ramię.

– Posłuchaj mnie! – wrzasnęła. – Posłuchaj!

Wyrwał się i ponownie zmoczył grzebień. Powoli przeciągnął go przez mokrą, ciemną falę na czubku głowy.

Alma wyglądała tak, jak gdyby bardzo bolał ją brzuch.

– Wiem, co się tu dzieje! – krzyknęła. – Nie myśl, że nie wiem. Widzę wszystko – ciągnęła, stukając się w skroń. – Mam uszy! Wszystko słyszę!

Huller ostrożnie zagłębił palce we włosy i starannie przyglądał fryzurę.

– Wiem, co knujecie! – powiedziała Alma.

Dotty zamarła. Ona także wpatrywała się w przyлизane, jasne włosy Hullera.

Huller odwrócił się do nich.

– Słuchaj no – pogroził Almie grzebieniem. – Zamknij się wreszcie! Zamknij się i zjeżdż mi z drogi.

Ze skrzyżowanymi ramionami i trzęsącą się brodą Alma stanęła dokładnie na wprost męża.

– Widziałam plamy – wykrztusiła. – I to, jak ona na ciebie patrzy.

– Alma... – zaczęła Dotty.

– Coś ci powiem, mój panie. Jesteś równie zły jak Carl. Nawet gorszy, bo biedny Carl jest chory, a ty... Tobie wszystko jedno, kogo pieprzysz. – Podeszła bliżej i wyciągnęła pięść, łapiąc go za brodę. – Ty sukinsynu – krzyknęła, kiedy zaczął się śmiać.

– No, dalej – szlochała. – Śmieję się! Zobaczysz, jakie to śmieszne, kiedy zadzwonię do twojego kuratora i opowiem o tym pieprzonym interesie za pięćdziesiąt patyków, który ty i El...

– Zamknij się, świnio! – ryknął Huller, zaciskając dłonie na gardle Almy i potrząsając nią z całej siły. – Ty żałosna, gruba świnio!

15.

Furgonetka pędziła przez noc. Cała przednia szyba upstrzona była owadzimi trupami. Dotty paliła jednego papierosa za drugim i stukwała palcami o torebkę. Huller garbił się nad kierownicą z kamiennym wyrazem twarzy.

– To tu – rzekł, gdy wciąż jeszcze jechali po autostradzie.

Przed nimi, nad czubkami drzew wznosiła się olbrzymia tablica z napisem „CENTRUM HANDLOWE W EASTPORT, 1,5 KM”. Huller skręcił za znakiem.

– Musisz powiedzieć tylko to, co jest na kartce – mówił, przekrzykując hałas. – Jeśli Bird będzie ci zadawał jakieś pytania, mów je głośno... powtarzaj je. – Spojrzał na Wallace'a, który zapadł się na siedzeniu, a daszek czapeczki niemal dotykał mu nosa. – Wtedy będziemy mogli podsunąć ci odpowiedzi. – Huller trącił Dotty. – Powtórz mu, co powiedziałem.

– Słyszał cię przecież – odparła głucho.

Wallace nie ruszał się ani nie odzywał.

– To będzie łatwizna, tatuśku – parsknął Huller. – Nie ma się czym przejmować. – Przez cały czas zerkał na Wallace'a. – Robisz im przysługę. Masz to, czego pragną, i jeszcze chcą za to zapłacić. – Roześmiał się. – Bardzo po amerykańsku.

Znów się roześmiał, gdy wjechał na zjazd z autostrady i na most, gdzie skręcili na lewo, do centrum handlowego.

Huller zatrzymał auto na samym końcu parkingu, gdzie stały trzy puste sklepy z tablicami „DO WYNAJĘCIA” w oknach. Wyciągnął rękę i wskazał budkę telefoniczną na skraju parkingu. Cicho wyjaśniał im, jak ciężko było mu znaleźć budkę z dala od innych. Większość postawiono po dwie albo trzy lub przy samych sklepach. Tym razem Huller podjął nadzwyczajne środki ostrożności, wykręcając

żarówkę z budki. Pomyślał o wszystkim. Kiedy mówił, Dotty rozpięła torebkę i wyjęła stamtąd dwie kartki papieru.

- Wejść razem z nim – powiedziała i sięgnęła do klamki.
- Czekaj no! – powstrzymał ją Huller. – Przeczytaj to jeszcze raz.
- Denerwujesz mnie – stwierdziła.
- Nie powiem ani słowa. Chcę tylko, żeby jeszcze raz to usłyszał – przekonywał ją.

Dotty zaczęła czytać monotonnym, pozbawionym życia głosem, a Huller energicznie kiwał głową przy każdym zdaniu.

- Słuchasz, tatuśku? – spytał w pewnej chwili.
- Tak – odparł Wallace.
- Najważniejsze to przekonać Birda, że wiesz, o czym mówisz. Że jesteś porywaczem.

- Ale nie jestem – zaprotestował Wallace.
- Jesteś – stwierdził Huller cichym, lecz ostrzegawczym głosem.
- Ale nie takim prawdziwym. Nie naprawdę – powiedział Wallace, gdy wysiadł z auta, ale ani Dotty, ani Huller go nie usłyszeli.

Huller wręczył Dotty garść drobnych i trzymając dłoń na ramieniu Wallace'a, poszedł razem z nim do budki.

- Zaraz będzie po wszystkim – powiedział. – Nie denerwuj się, tatuśku.

Wallace i Dotty stłoczyli się w dusznej budce zaśmieconej zakurzonymi, pożółkłyymi gazetami i styropianowymi kubkami. Dotty wrzuciła do aparatu dziesięciocentówkę, posłuchała chwilę i zaczęła wystukiwać numer. Wallace ścisnął w dłoni kartkę, której treść Dotty próbowała mu wbić do głowy. Teraz dziewczyna zapaliła małą latarkę i przez jego ramię oświetliła kartkę. Telefon już dzwonił. Szybki, nerwowy oddech Dotty łaskotał Wallace'a w kark. Huller opierał się o drzwi budki, trzymając ręce na framudze. Wallace wpatrywał się w napisany przez Dotty tekst. Zginał i rozprostowywał palce u nóg i nie mógł sobie przypomnieć, o co chodzi, dlaczego tu jest. Gdyby ktoś zapytał go o to w tej chwili, uczciwa odpowiedź brzmiałaby: „Muszę przeczytać tę kartkę. Dlaczego? Nie wiem. Co ona oznacza? Nie wiem. Muszę to zrobić, i tyle. Nie mieszaj mi w głowie. Nie zadawaj pytań”.

Telefon wciąż dzwonił. Komar gryzł Wallace'a w rękę, w której trzymał on słuchawkę.

- No już! No już! – jęknęła Dotty, kręcąc się nerwowo wokół niego.

– Cholera! – zaklął Huller, bębniąc palcami o metalową framugę. – Odłóż. Poczekamy chwilę w wozie.

Właśnie w chwili, w której Dotty zgasila latarkę, dziwnie znajomy głos w słuchawce pochłonął całą ciemność.

– Halo? – powtórzyło dziecko. – Kto mówi? Halo?

– Odłóż. – Dotty sięgnęła po słuchawkę.

– Halo? – powiedziała dziewczynka.

– Halo – odezwał się Wallace, przypominając sobie treść kartki. – Witam, panie Bird. Dzwonię w sprawie Caroline...

– Ona nie żyje – przerwało dziecko. – Chce pan rozmawiać z tatusiem? – Wallace skinął głową, a dziewczynka zaczęła krzyczeć: – Tatusiu! Tatusiu! Jest na basenie! – odezwała się do słuchawki. – Mamy przyjęcie... Tatusiu! Tatusiu!

Dotty włączyła latarkę. Drżące światło sprawiło, że słowa zdawały się wyskakiwać wprost na Wallace'a.

– Chwileczkę – powiedziało dziecko i telefon wydał z siebie głuchy odgłos. Chwilę później rozległy się jakieś kroki i trzaśnięcie drzwiami.

– Co się dzieje? – wyszeptala natarczywie Dotty i dźgnęła go w plecy. – Z kim gadasz?

– Z nikim, – Przełknął ślinę i potrząsnął głową.

– Tatusiu... – wrzaski dziecka oddalały się coraz bardziej. – ...Pan przez telefon... Caroline...

– Rozmawiasz z... – zaczął Huller.

Nagle do uszu Wallace'a dotarł kolejny odgłos, tym razem jeszcze bardziej odległy. Głos dziecka wciąż wibrował w powietrzu, w umyśle Wallace'a, zakodowany tam niczym cykanie świerszczy czy szelest liści.

– Halo? – rozległ się męski głos, rozzłoszczony i zadyszany, a gdy przemówił, wszystkie głosy wokół niego, całe to pluskanie, śmiechy i rozmowy, i brzęk szkła, umilkły.

Wallace czuł, niemal widział zastygłe sylwetki kobiet i mężczyzn, ich twarze Kluggsów i Mooneyów. W uszach brzęczał mu głos Hazlitta, jego teścia, którego słowa wryły mu się w umysł niczym ostry kamień, Hazlitta, który po tych wszystkich latach domagał się zwrotu swojej ciężarówki.

– Odłóż słuchawkę! – rozkazał głos, a Wallace pomyślała, że mówi do niego i jego ręka powędrowała do aparatu. – Elizabeth! Odłóż słuchawkę.

Rozległo się ciche szczęknięcie. Dziecko zniknęło. Jakie dziecko? Czy Kluggsowie mieli Canny?

Dotty potrząsnęła kartką.

– Kto mówi? – zapytał mężczyzna. – Czego chcesz, do diabła?

Gdzieś po drugiej stronie jakaś kobieta krzyknęła „Louis!”, a Wallace szeroko otworzył oczy. Wyobraził sobie inną kobietę na linii, i połączoną z nią jeszcze inną, i jeszcze inną, na podobieństwo papierowych drzwi z książki Canny, co otwierały się na mniejsze drzwi, a te na jeszcze mniejsze, aż do ostatnich zupełnie maleńkich drzwiczek, za którymi ukryto maciupeńkie lustro, żeby człowiek mógł się w nim przejrzeć. Dotty syknęła i uderzyła go kartką.

– Halo? – powiedział. – Czy jest pan Bird? Mogę z nim rozmawiać? Tak, poczekam.

– Czego pan chce?

– Czy jest tam pan Bird? – powtórzył Wallace lekko śpiewnym tonem. Był straszliwie zmieszany. Jego mózg zaciął się i Wallace nie mógł zrobić nic, aby znowu zaczął normalnie pracować.

– Czy to ma być zabawne? Ja jestem panem Birdem. Czy to jakiś dowcip?

Dotty przycisnęła ucho do słuchawki i nasłuchiwała. Teraz położyła dłoń na słuchawce.

– To on! – stwierdziła. – Powiedz mu!

Wallace popatrzył na nią. Co miał powiedzieć? Przecież Kluggs chciał tylko dostać z powrotem swoją ciężarówkę. Ciężarówki nie było. Sprzedali ją.

– To ojciec Canny – powiedziała Dotty, obejmując palcami głowę Wallace'a. – Dzwonię w sprawie Caroline – szeptała, gestykulując zachęcająco dłonią.

– Dzwonię w sprawie Caroline – odezwał się Wallace drżącym głosem'. Słowa mieszały się ze sobą. – Jestem człowiekiem, który trzydziestego sierpnia osiemdziesiątego roku ją zabrał i nadal ją ma. Nic jej nie jest. Oddam ją, jeśli dostanę pieniądze z nagrody.

– Jesteś tym samym szaleńcem, co w zeszłym roku. Tym razem jednak powiadomię prokuratora – rzekł Bird i odłożył słuchawkę.

Wallace stał nieruchomo, podczas gdy Dotty i Huller zasypywali go pytaniami.

– Co powiedział?

– Czy ci uwierzył?

– Zadawał jakieś pytania?

– Chce się dowiedzieć czegoś o Canny?

– Odłożył słuchawkę – odpowiedział Wallace. W dłoni wciąż mocno ścisnął swoją słuchawkę.

- Ale co powiedział, zanim ją odłożył? – wypytywał Huller.
- Że powiadomi prokuratora – odparł Wallace.
- Co takiego? – spytał Huller cienkim głosem.

Wallace powtórzył.

– Miał tylko zatrzymać go przy telefonie! – darł się Huller w drodze do furgonetki. – Gadać, tylko tyle! Czy to takie trudne?

Dotty nie odpowiedziała, a Wallace wyglądał przez okno. Byli na autostradzie. Furgonetka nie mogła już jechać szybciej. Huller wciąż naciskał pedał gazu. Szybkościomierz wskazywał 110, 115. Auto drżało, a kierownica głośno wibrowała. Dotty otworzyła dwa piwa, jedno dla siebie, a drugie dla Hullera.

– Sam muszę wszystko robić? Zdobyć mapy! Zdobyć numer! Napisać moją! Chryste, równie dobrze mogłem sam zadzwonić do Birda i powiedzieć mu, że ja to zrobiłem!

– No – mruknęła Dotty.

– Żebyś wiedziała! Przecież on nic nie potrafi!

– To przez telefon. – Odwróciła głowę do Hullera i zniżyła głos: – Mówiłam ci. Przez telefon wszystko mu się pieprzy.

– Ach, tak? – Z kieszeni koszuli wyjął długą czarną kapsułkę. Włożył ją do ust i popił piwem.

– Wziąłeś już jedną po drodze – przypomniała mu Dotty.

– Odpierdol się! – parsknął i zwolnił, gdy dojeżdżali do pustego parkingu. Zahamował i zatrzymał się naprzeciwko budki telefonicznej. Dopił resztkę piwa, po czym wyskoczył z furgonetki, głośno trzaskając za sobą drzwiami.

Wallace i Dotty przyglądali się, jak wrzuca dziesięć centów do telefonu. Wystukał numer, szybko odwiesił słuchawkę, wygrzebał monetę z otworu, po czym wrzucił ją ponownie i jeszcze raz wybrał numer.

– Wkurzył się – stwierdziła pod nosem Dotty. – Przeraza mnie, kiedy się tak zachowuje.

– Możemy jechać – odezwał się Wallace. – Jeszcze dziś. W szopie jest benzyna.

– Dokąd jechać? – westchnęła.

– Nie wiem. Gdzieś.

– Wszędzie już byliśmy, Aubie.

Zastanawiał się przez chwilę. – Mówiłaś o Hollywood...

– Nie jesteś zmęczony, Aubie? – Oparła głowę o fotel. Jej pokryte złotym cieniem powieki były zamknięte. – Nie jesteś po prostu zmęczony?

Wyprostowała się nagle, słysząc wściekle wycie, a potem brzęk tłuczonego szkła. Huller właśnie trzasnął w budkę potężnym kamieniem.

– Odwiesili pieprzony telefon – mruknął, zjeżdżając na autostradę.

Wyciągnął rękę po kolejne piwo i zaklął, bo Dotty nie mogła poradzić sobie z otwarciem puszkii – odpadła z niej zawleczka.

– Dawaj otwieracz – warknął. – Jest w schowku!

Dotty przechyliła się przez Wallace'a i zaczęła grzebać w schowku wśród załuszczonych map i pogniecionych chusteczek.

– Co to jest? – spytała, podsuwając wycinek z gazety pod światło z tablicy rozdzielczej.

– Dawaj to! – rozkazał Huller.

– To o Canny. – Popatrzyła na niego.

– Ten sam co poprzednio – odparł.

– Nie – zaprzeczyła, zerkając na artykuł. – Ten jest inny. To zdjęcie jej ojca.

– Pochyliła się nad gazetą i zaczęła czytać. – Dziś rano ogłoszono, że...

– Powiedziałem – dawaj to! – ryknął Huller i wyrwał jej kartkę. – Nie rób tego! Nie bądź taką natrętną pipą! Nie przywłaszczaj sobie wszystkiego!

Złożył kartkę i wsunął ją do kieszeni koszuli. Zerknął szybko w lusterko i zmienił pas.

Znowu podjechali na pusty parking z budką telefoniczną. Hamulce zapiszczały, a Huller wyskoczył do budki. Linia nadal była zajęta. Miał już ponownie wrzucić dziesiątkę, kiedy nagle zmienił zdanie. Wyszedł z budki, stanął przy oknie od strony Wallace'a i z krzywym uśmiechem oparł się o drzwi.

– A może zaprowadzę cię tam osobiście, tatuśku? – W świetle wysokich latarni twarz Hullera lśniła różowawym potem.

– Zgłupiałeś? – odezwała się Dotty.

– Mógłbyś mu opowiedzieć, co się stało...

– Chyba zartujesz! – przerwała Dotty. Przechyliła się w jego stronę. – Zupełnie ci odbiło?

– Co ty na to, tatuśku? Co o tym myślisz? – pytał dalej Huller, zupełnie ignorując dziewczynę.

Wallace potrząsnął głową i popatrzył na Dotty.

– Mógłbyś mu powiedzieć, co się stało. Żadnych telefonów, żadnego myślenia...

Wallace nadal potrząsał głową.

– Przestań, Jig! – odezwała się Dotty.

– Masz jaja czy nie? – wyszczerzył zęby Huller.

Nagle drzwi się otworzyły, a Huller złapał Wallace'a za ramię i wyciągnął go z furgonetki. Wallace stracił równowagę i wpadł na Hullera, a ten zacisnął dłonie na jego ramionach.

– Czy ty w ogóle masz jaja?! – wrzasnął.

– Zostaw go – zażądała Dotty, gramoląc się z auta.

Huller złapał Wallace'a za koszulę.

– Nie dotykaj go! – krzyknęła dziewczyna i dobiegła do Hullera od tyłu. Chwyciła go w pasie, zaciskając ręce na jego brzuchu.

Wyjąc, Huller kręcił się dookoła, a Dotty niczym lalka obracała się razem z nim w powietrzu, ledwie dotykając stopami zakurzonej ziemi. Nagle Huller pochylił się i uwolnił od niej, przerzucając ją przez siebie.

– No chodź... no chodź... – Machnął ręką przed nosem Wallace'a. – Nic ci nie zrobię, mój mały. Chcę tylko zobaczyć twoje jaja.

– Sukinsyn – jęknęła Dotty, podnosząc się z ziemi.

Huller ponownie trzymał Wallace'a za koszulę. Z pięścią wymierzoną w jego szczękę włókł go w kierunku ciemnych drzew, tam, gdzie zaczynał się las. Dotty pobiegła do ciężarówki i chwyciła z podłogi dwa nietknięte piwa. Trzymając puszki za łączący je plastik, zamachnęła się i rzuciła nimi w Hullera, trafiając go w głowę i kark.

– Puść go! – krzyczała. – Nic ci nie zrobił. Nikomu nic nie zrobił....

16.

Następnego ranka Wallace czekał, aż Jiggy odjedzie, i dopiero wtedy opuścił domek. Kiedy wszedł do kuchni, Alma już siedziała przy stole. Ciemny meszek nad jej górną wargą upstrzony był okruchami po chrupkach ziemniaczanych. Zgniotła puste opakowanie i rzuciła je do papierowej torby na odpadki, ale nie trafiła i śmieć potoczył się po podłodze aż do kuchenki.

– Muszę z tobą porozmawiać – powiedziała. Z kieszonki na piersi wyciągnęła kawałek papieru toaletowego i wydmuchnęła w niego nos. – Muszę wiedzieć, co się dzieje.

Ledwie ją słyszał. W uszach wciąż mu brzmiało dziecięce seplenienie, dźwięk znajomy i dodający otuchy, a jednocześnie równie niezwykły co szum krwi w arteriach.

Był też jeszcze głos tego mężczyzny. Ojca Canny, jak twierdziła Dotty. Wallace otworzył szeroko oczy i wyobraził sobie pana Birda, wysokiego i szczupłego, ze złotym zegarkiem przyczepionym do ciemnej kamizelki. Caroline była jasnowłosym, ubranym na biało dzieckiem, wznoszącym ręce ku smukłemu cieniowi pana Birda. Caroline była dzieckiem pana Birda, ojca Canny, jak twierdziła Dotty. Ale to Wallace był ojcem Canny. Dlatego pan Bird wczoraj o nic nie dbał i niczego nie zrozumiał. Rozmawiali o dwóch zupełnie różnych dziewczynkach. Pan Bird nie znał Canny, ot, co. Dla Wallace'a było to niemal pewne. Niemal. Głos Almy łąził mu po mózgu i mącił myśli.

– Obudziłam się z tym okropnym uczuciem – mówiła właśnie, nakładając łyżeczką dżem winogronowy na ciastka z cukrem. Niecierpliwymi, szybkimi ruchami napełniła nimi cały talerz. – Tak, jakby miało się stać coś złego. Jak gdyby w powietrzu czaiło się zło. – Zlizała galaretkę z wierzchu dłoni. – To coś złego. Przeczuję to. On się dziwnie zachowuje. Zeszłej nocy wstał w środku nocy i zaczął czyścić broń. Słyszałam, jak pogwizduje i śmieje się sam do siebie. – Popatrzyła na Wallace'a. – Gdzie byliście wieczorem, ty, Dotty i on? Po co te mapy? Czego chciał ten gość w lincolnie? Musisz mi powiedzieć. Proszę!

Na drodze słychać było warkot furgonetki Hullera. Alma wstała i pośpieszyła do drzwi.

– To on – powiedziała i zasłoniła oczy przed słońcem. – Cholera! Znow jest z nim Ellie.

Przez cały dzień Wallace trzymał się w pobliżu Dotty i Canny. Ellie leżała na kanapie. Na poduszce widniała wielka wilgotna plama, w miejscu, w którym dziewczyna zaśliniła się przez sen. Zadrzała, gdy drzwi się otworzyły, a następnie zatrasnęły. To Dotty wróciła z opalania. Miała na sobie obcisłe czarne szorty i męski podkoszulek z podwinętymi rękawami. Ona i Alma wyjęły papierosy i usiadły przy stole. Po powrocie Ellie obie kobiety zapomniały o wczorajszych gorzkich słowach. Siedziały z pochylonymi, głowami. Ze zmieszania na twarzy Dotty i jej szybkiego potrząsania głową

Wallace domyślił się, że Alma zadała jej te same pytania o wczorajszy wieczór.

– Złaż ze mnie – jęknęła nagle Ellie, gdy Krystal wdrapała się na jej podkurczone nogi.

– Dopiero jak wstaniesz – powiedziała Krystal.

– Źle się czuję – ostrzegła ją Ellie. – Będę rzygać.

– Proszę bardzo – roześmiała się Krystal.

Słyszając to, Ellie zerwała się z kanapy, zrzucając Krystal na podłogę. Z ręką przytkniętą do ust i szeroko otwartymi oczami przebiegła obok obu kobiet i wpadła do łazienki.

– Mam nadzieję, że nas czymś nie zaraziła – powiedziała Dotty i dotknęła dłonią czoła. – Jestem strasznie rozpalona.

W tej chwili do domu wpadł Huller, wycierając ręce w tłustą szmatę. Zadudnił w drzwi łazienki, ale cofnął się szybko, słysząc jęki Ellie.

– Niedobrze jej. – Alma popatrzyła na niego spod zmrużonych powiek. – Ja i Dotty mamy nadzieję, że nie złapałyśmy tego samego.

Huller ruszył szybko w stronę schodów.

– Tylko mi nie mów, że też się źle czujesz – zawołała Alma. – Nie mów mi, że to ten sam wirus.

Huller szarpnął gwałtownie głową, ale uśmiechnął się tylko.

– Jestem zbyt podły, żeby chorować.

Mówiąc to rzucił w żonę szmatą. Alma uchyliła się, a szmata trafiła w szybę na drzwiach.

– Sukinsyn – mruknęła Alma, a Dotty wybuchnęła śmiechem.

Było już późne popołudnie, a Huller wciąż nie wracał. Wyszedł o dwunastej i nie chciał powiedzieć Almie, dokąd idzie. Z łazienki Wallace słyszał rozmowę obu kobiet.

– Powinna zadzwonić do jego kuratora – stwierdziła Alma.

– I co to pomoże? – spytała niespokojnie Dotty.

– Może on mi powie, co się dzieje.

– Już ci mówiłam. Jig usiłuje wydostać mnie i Aubiego z kłopotów. Właściwie to tylko Aubiego – dodała cicho. – Kiepsko to wygląda. Aubie ma poważne kłopoty.

Dotty mrugnęła do niego, gdy wyszedł z łazienki i usiadł przy stole. Cesała właśnie tłuste, przyлизane włosy Almy w koronę cienkich, drobnych warkoczyków. Następnie podkręciła rzęsy kobiety, tak krótkie, że zalotka chwyciła jedynie ich koniuszki.

Dziewczynki przyszły z podwórka i usiadły przy stole, czekając na swoją kolej. Canny szeroko otworzyła oczy, podczas gdy Dotty powoli zbliżyła zalotkę do jej bladych rzęs.

Patrząc na Dotty, Wallace niemal wierzył, że nic się nie stało, że wczorajszego wieczoru w ogóle nie było.

– Pewnie miałabym już własny sklep – mówiła tym miękkim, roztargnionym głosem kobiety, która jest czymś bardzo zajęta. I podkręcała rzęsy Krystal. – Kiedy zostałam Miss Florydy, tak mi odbiło, że nie mogłam się do niczego zabrać.

Zwilżyła mały palec i przy jego pomocy wepchnęła do zalotki rzęsę w kąciku oka Krystal. Wallace uśmiechnął się i zmrużył nieco oczy, słuchając tego radosnego szczebiotu.

– A teraz róż – powiedziała, zanurzając pędzel w szklanym słoiczku z perłową substancją. – Uśmiech! – zażądała, po czym kilkakrotnie dotknęła pędzlem płaskich, okrągłych policzków Almy.

Podeszła do dziewczynek.

– Jeśli pozwolą mi użyć własnych kosmetyków, wezmę ten odcień na zdjęcia próbne – oznajmiła, przejeżdżając pędzlem przy skroniach Kelly.

Dziewczynki były tak zachwycone tymi zabiegami, że ledwie mogły mówić. Ich oczy błyszczały radośnie.

Canny nadstawiła najpierw jeden, a potem drugi policzek.

– Oj – westchnęła, gdy Krystal podała jej okrągłe lustro bez ramy. – Wyglądam jak nastolatka.

– A kim jest ta brzydka baba? – Dotty roześmiała się i udała, że badawczo przygląda się Wallace'owi. – Zobaczymy, co da się zrobić. Położę tu trochę koloru.

Zanim zdołał odepchnąć jej rękę, namalowała jaskrawe koła na jego zarosniętych policzkach. Dziewczynki zachichotały radośnie.

– Tatusiu! – wykrzyknęła Canny. – Wyglądasz jak klaun!

Dotty oderwała się od swoich kosmetyków i popatrzyła na Wallace'a.

– Faktycznie! – stwierdziła wykręcając czerwoną szminkę. – Naprawdę tak wyglądasz, Aubie.

Przykucnęła i obrysowała szminką skórę dookoła jego ust.

– Doskonale – mruknęła i głęboko zaciągnęła się papierosem. – Po prostu doskonale. Właśnie tak wyglądasz – powiedziała, a kłęb dymu z jej ust oślepił Wallace.

Za pomocą kredki do oczu narysowała mu długie rzęsy, a od kącików, jego ust kocie wąsy.

– Wyglądasz dokładnie jak klaun. Jednocześnie wesoły i smutny. Jakby za chwilę miało ci pęknąć serce...

Alma nie mogła przestać się śmiać. Przywarła do brzegu stołu.

– O, Boże... O, Boże... – jęczała.

Dziewczynki Hullerów także chichotały. Uśmiech Canny powoli zniknął. Teraz Dotty rysowała błękitną gwiazdkę na czole Wallace'a.

W pokoju obok Ellie zaczęła się wiercić, słysząc śmiech i czując odór papierosów obu kobiet.

– Zgaście te pety! – krzyknęła. – Mówiłam wam, że mi niedobrze od dymu.

– Jak ci przeszkadza, idź na werandę – wrzasnęła Alma.

Ellie ponownie zaczęła je błagać, żeby zgasiły papierosy.

– Zaraz zwymiotuję – ostrzegła.

– Proszę bardzo! – odwrzasnęła jej Alma.

Dotty zapaliła kolejnego papierosa. Wallace podniósł głowę, gdy usłyszał auto Hullera. Z uśmiechem na twarzy Alma także zapaliła, na co Ellie zaczęła kląć i wyzywać siostrę. Obie kobiety w kuchni głęboko się zaciągały, po czym wypuszczały kłęby dymu w kierunku pokoju gościnnego. Ellie wydarła się głośno i rzuciła do kuchni trampek jednej z dziewczynek.

– Niech to szlag – dobiegł z werandy głos Hullera.

– Proszę, nie palcie – jęczała Ellie.

– Zgaś to – powiedział Huller najpierw do Dotty, a potem do Almy.

Na podwórzu wciąż ryczał silnik pikapa.

– Powiedz jej, żeby usiadła na werandzie – parsknęła Alma i rzuciła Dotty porozumiewawcze spojrzenie.

– Mówię ci, żebyś to zgasiła – warknął.

Alma znowu spojrzała na Dotty, szukając u niej wsparcia.

– Nikogo nie obchodziło, kiedy mnie przeszkadzało palenie. Palileś cały czas, jak byłam w ciąży.

Słyszając to, Huller wyciągnął papierosa z jej ust. Rzucił go na podłogę i przydeptał obcasem. Rozległo się krótkie syknięcie, gdy Dotty pospiesznie gasiła swój niedopałek w kawie.

Alma wpatrywała się męża, a jej twarz pod makijażem była nie tyle biała, co wręcz woskowa. Kobieta zadrzała nagle i wyglądała tak, jak gdyby to ona miała właśnie wymiotować. Nie spuszczała wzroku z mężczyzny.

Z kieszeni spodni Huller wyjął kawałek papieru i machnął nim w kierunku Dotty.

– Chodź – powiedział. – I ty też, tatuśku... – Zamilkł, widząc wymalowaną twarz Wallace'a. – Na lito... – Popatrzył ze zdumieniem na Dotty. – Powiesz mi, żeby coś z tym zrobić? Jasne? – Ruszył do wyjścia. – Jasne? – powtórzył, a drzwi zatrzasnęły się za nim.

– Umyj twarz! – warknęła Dotty i nagle Wallace poczuł się strasznie głupio.

– Zrobił mi to – rzekła Alma ciekawym głosem.

Spojrzała w stronę pogrążonego w mroku pokoju, na szczupłą postać skuloną na kanapie, na Ellie z kolanami podciągniętymi pod brodę i potarganymi, wystrzępionymi włosami, które opadały jej na czoło.

– To niesprawiedliwe – ciągnęła Alma. – To niesprawiedliwe, żeby przejść przez wszystko, przez co przeszłam, i skończyć w taki sposób.

– Alma... – zaczęła Dotty, ale z zewnątrz dobiegło trąbienie klaksonu.

– To niesprawiedliwe – powtarzała wciąż Alma, kiedy Wallace wyłonił się z łazienki.

Pobiegł od razu do furgonetki. W zagłębieniach w policzkach i wokół oczu wciąż miał resztki makijażu.

Gdy wszyscy znaleźli się w aucie, Dotty zażądała: – Chcę, żebyś odpowiedział na kilka pytań. I to teraz!

– Wiesz wszystko co trzeba wiedzieć, lalczko – Huller wjechał na drogę i zmienił bieg. – Dziś dzwoniemy. Za parę dni wyjeżdżają na wakacje. – Wyciągnął kartkę. – Niech przeczyta...

– Nie! – Odepchnęła jego dłoń. – Wiesz, o co mi chodzi, do cholery.

– Nie mam nic do powiedzenia! – Jego pięść z głuchym łoskotem opadła na kierownicę. – A teraz niech to przeczyta. Tylko tym razem ma to zrobić porządnie, ostrzegam cię...

Dotty rzuciła kartkę na kolana Wallace'a. Popatrzył na nią. U nasady jego nosa pojawił się pot.

– Nikt mnie nie będzie ostrzegał – powiedziała dziewczyna. – I nikt, ale to nikt, mnie nie wydyma.

– Daj spokój. – Huller położył dłoń na jej kolanie, ale natychmiast ją zepchnęła.

Huller zwilżył wargi i uśmiechnął się do dziewczyny.

– Przeczytaj mi to, co, lalczko? No, już – zachęcał ją, kiedy nawet się nie poruszyła. – To grubszy interes. Odpręż się. Teraz będzie mu łatwiej. Tym razem zbadałem teren.

- Jak to? – zapytała.
- Sam zadzwoniłem – odparł Huller i włączył kierunkowskaz. – Żeby wszystko ustawić. Tym razem tatusiek niczego nie spieprzy.
- Mówiłeś, że sam nic nie będziesz robił – powiedziała Dotty. – Zdaje się, że tak ustaliliśmy.
- Przepraszam – rzucił Huller. – Przyszło mi to do głowy, gdy byłem poza domem.
- Mnie też różne rzeczy przychodzą do głowy, ale ich nie robię – odparła Dotty podniesionym głosem.

Wallace starał się wsłuchać w tę rozmowę. Mrugając, siłował skoncentrować się na tym, co mówią, ale strach, jaki wyczuwał w Dotty, sprawił, że i on zaczął się bać.

Teraz Huller tłumaczył Dotty, że Wallace będzie musiał podać Birdowi parę szczegółów. Wallace'owi to odpowiadało. Nie rozumiał złości Dotty.

- Jakich szczegółów? – zapytała.
- W co było ubrane dziecko i dokąd pojechaliście...
- A co to ma do rzeczy, do cholery? – przerwała mu. – To nie jego sprawa, dokąd pojechaliśmy.
- Wiem – odparł Huller. – To po to, żeby go dobrze nastawić. Musimy go przekonać. Właściwie dlaczego miałby zostawić te dwadzieścia pięć kawałków? Tylko dlatego, że twierdzimy, że mamy jego dzieciaka? Pan Louis Bird musi nam wierzyć. I, możesz mi zaufać, jest gotów nam uwierzyć.

- Jak to?
- Wydawał się zmęczony. Jak gdyby przechodził przez to już tysiące razy i chciał mieć już to za sobą.
- To tak jak ja – westchnęła Dotty. Zapaliła papierosa i znowu westchnęła. – Też jestem zmęczona.

Huller także zapalił. Zaciągnął się szybko trzy razy i wyrzucił papierosa przez okno. Kiedy znaleźli się blisko niewielkiego sklepu spożywczego, zjechał z drogi i zatrzymał się obok telefonu, który stał na samym końcu parkingu.

- Jeszcze jedno – powiedział. – Bird chce rozmawiać również z tobą.
- Dlaczego? – Dotty złapała go za ramię. – Dlaczego chce rozmawiać ze mną? Skąd wie o mnie? Coś ty mu powiedział, do cholery?

Huller strząsnął jej dłoń z ramienia.

– Powiedział, że chce rozmawiać z tą osobą, która wzięła dziecko, z tą, która weszła do domu. – Wzruszył ramionami i spróbował się uśmiechnąć, ale ten uśmiech był niewyraźny i zimny.

– Dlaczego? Co to ma udowodnić?

– A skąd mam wiedzieć? – W głosie Hullera zabrzmiało napięcie. Przejechał dłonią po spoconym czole. – Tak powiedział.

– Nie – odparła z szeroko otwartymi oczyma. Uśmiechała się do Hullera. – Nie będę z nim rozmawiać.

– Owszem, będziesz – roześmiał się Huller. – Będziesz.

Odwróciła się do niego i obniżyła głos.

– Mówiłeś, że nikt się nie dowie, że siedzi w tym więcej niż jedna osoba. To przede wszystkim tobie na tym zależało! – Teraz mówiła chrypliwym i stanowczym głosem. Wallace wyobraził sobie, że słyszy jej głos przez szybę. – Mówiłeś, że Aubie będzie z nim rozmawiał. Mówiłeś, że tak trzeba.

– Teraz trzeba inaczej. – Huller uszczypnął ją w brodę i przyciągnął do siebie. – Najpierw porozmawia z tobą. A potem z tatuśkiem. Powiesz mu tylko, co się stało. I tyle.

Dotty wyrwała się i odskoczyła.

– Nie będę z nim rozmawiać, Jig! – Zgasiła niedopałek i włożyła do ust kolejnego papierosa.

– Ty su... – zaczął Huller.

– Nie przeginaj! – wyrzuciła z siebie, celując w niego papierosem. – Poważnie! Nie przeginaj!

Huller złapał ją za nadgarstek.

– Będę przeginał – parsknął. – Włazłem w to gówno po uszy i przynajmniej tyle mogę zrobić!

Wallace wyglądał przez boczne okno.

– Zabieraj swoją pieprzoną łapę – warknęła Dotty, a jej głos załamywał się z bólu. – Nie nabierzesz mnie. Wiem, o co ci chodzi. Myślisz, że mnie nabierzesz, ale nic z tego!

Ręka Hullera opadła. Teraz mówił znacznie łagodniej.

– Pewnie, że wiesz, o co mi chodzi, Dot. Pewnie, że wiesz. To, co zaplanowaliśmy. Tyle że czasem trzeba wprowadzić jakieś zmiany. – Uśmiechnął się.

Minęło pół godziny. Ponieważ Dotty nie zgodziła się na rozmowę przez telefon, Huller musiał wszystko przepisać. Wyglądało na to, że rozpaczliwie starał się ją uspokoić.

Patrzyła, jak pisał, paliła i nie odzywała się ani słowem.

Wallace bawił się zapięciem przy swojej czapce. Domyślał się, że też powinien być wściekły, ale tak naprawdę czuł jedynie strach. Kiedy Huller skończył, Dotty przećwiczyła tekst z Wallacem, podczas czytania wskazując palcem każde słowo. Wallace kiwał głową i cały czas kręcił postrzępionym guzikiem.

Dotty i Wallace weszli do ciasnej budki z telefonem. Huller stał na zewnątrz z rękami na framudze i zwieszoną głową. Jego wypłowiałe dzinsy marszczyły się nisko na biodrach, a gęste włosy na piersi były mokre od potu. Dotty wykręciła ostatnią cyfrę, nasłuchiwała przez chwilę, po czym szybko przyłożyła słuchawkę do ucha Wallace'a. Po drugiej stronie odebrano po pierwszym dzwonku.

– Halo? – Głos mężczyzny zabrzmiał niczym wystrzał z pistoletu, odbijający się echem w słuchawce (odległe „halo... halo... halo...”) – Halo? – Teraz mężczyzna niemal krzyczał.

– Halo – mruknął cicho Wallace i zaczął czytać słowa, które Dotty wskazywała mu palcem. – Jestem tą samą osobą, z którą rozmawiał pan poprzednio – przeczytał z wahaniem. – Mam pana córeczkę... – Przybliżył papier do oczu.

– Caroline – wyszeptała Dotty.

– Caroline – powtórzył. – Chcę ją oddać. Jest...

– Jak wygląda Caroline? – przerwał Bird.

Wallace pochylił się nad kartką w poszukiwaniu odpowiedzi. Dotty przycisnęła ucho do słuchawki i nasłuchiwała uważnie.

– Jak ona wygląda? – zapytał ponownie Bird. Dotty trąciła Wallace'a, chcąc go ponaglić.

– Powiedz mu – odezwała się cicho. On jednak milczał.

– Powiedz mu, jak wygląda Canny – szepnęła.

– Jest mała. Ma teraz długie włosy i niebieskie oczy.

– Jakiego koloru są jej włosy? – spytał Bird.

– Są... są... – Wallace nie mógł znaleźć właściwego słowa. Nagle spojrzął na włosy na piersi Hullera. – Żółte! – powiedział nagle.

Huller trącił Dotty i szepnął jej coś do ucha. Dotty potrząsnęła kartką papieru. Wallace znowu zaczął czytać.

– Zabrałem ją trzydziestego sierpnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku. W sobotę. Dochodziło południe. Wszedłem głównym wejściem, przez dom i do kuchni. Była w kojcu w pokoju na tyłach domu. Wziąłem bochenek chleba

z lodówki i niebieski słoik z dziesięciocentówkami, i nagle usłyszałem telefon. Wtedy ją podniosłem. Telefon przestał dzwonić, wziąłem ją i wyszedłem głównym wejściem. – Cały czas patrzył błagalnym wzrokiem na Dotty. To ona powinna to czytać, nie on.

– Dalej. – Skinęła głową.

– I odjechałem – przeczytał. – Nikt mnie nie widział...

– Miała coś przy sobie? – wtrącił Bird. – Coś w ręce? Zabrała coś ze sobą?

– Tylko łyżkę – przypomniał sobie nagle Wallace. – Właśnie tak. Zapomniałem o łyżce.

Popatrzył niespokojnie na Dotty.

– Pamiętasz tę łyżkę? – zwrócił się do niej. – Pamiętasz, jak nie chciała jej puścić?

Dotty skinęła głową i przyłożyła palec do ust. Zapadła dziwna cisza. Wallace słyszał w słuchawce jedynie oddech, dziwny oddech, jak gdyby dyszenie albo bicie serca.

– Jaka to była łyżka? – zapytał w końcu Bird pełnym napięcia, zmęczonym i wysokim głosem.

Wallace wzruszył ramionami i popatrzył na Dotty.

– Nie wiem. Chyba zwykła łyżka... Taka dziwna... Miała jakieś słowo, nie, nie słowo... Tylko samo A. Takie fikuśne A. Zapamiętałem, bo moje im...

Dotty przycisnęła rękę do jego ust i jęknęła cicho.

– Co? Co pan powiedział? – zawołał głośno Bird. – Nie słyszę. Gdzie jest łyżka? Co pan zrobił z łyżką? Proszę się nie rozłączać!

– Wyrzuciłem ją przez okno – powiedział Wallace.

– Łyżkę? Gdzie?

– Na czerwonym świetle. Zatrzymaliśmy się, a ja ją wyrzuciłem.

– Dlaczego? – spytał Bird.

– Bałem się, że dzieciak coś sobie zrobi – wyjaśnił Wallace. – Tak ją ścisnęła...

– Czy ona... – mówił Bird, gdy Huller wziął do ręki słuchawkę.

– W porządku? – rzucił szorstko Huller, po czym skinął głową i nasłuchiwał. – Więc wszystko ustalone?

Znowu pokiwał głową. Uśmiechał się teraz, a jego twarz lśniła od potu.

– Tak... tak... – mamrotał.

Dotty wpatrywała się w niego zmrużonymi i błyszczącymi oczyma.

– To właśnie chcieliśmy usłyszeć, tatuśku – rzekł potem Huller w drodze do auta i poklepał Wallace'a po plecach. – Sztuczka z łyżką zadziałała. Tego nie było w gazetach. Nikt nie wiedział o łyżce.

– Powiedział ci o tym? O łyżce? – zapytała Dotty, gdy byli już w samochodzie.

– Nie powiedział, co to było. Tylko, że było coś, o czym wie jedna jedyna osoba...

– A ty nigdy mi o tym nie wspomniałeś – zamyśliła się Dotty. – Uznałeś, że to wypaplamy, tak?

– Wiedziałem, że tego nie wypapłasz. – Huller odwrócił się, zerkając przez ramię i wycofując furgonetkę z parkingu.

– A może wciąż myślałeś, że kłamię. No pewnie! Sam się chciałeś przekonać.

– Daj spokój, Dot...

Następne kilka kilometrów przejechali w całkowitej ciszy. Wallace czuł, że Dotty stuka stopą o podłogę. Przygryzła wargę i westchnęła.

– Nie wiem, czy zdołam to zrobić – powiedziała.

– Co zrobić? – spytał Huller.

– Oddać ją. Pięć lat to szmat czasu – rzekła dziwnym głosem.

Wallace słuchał uważnie. Znał ten głos. To był drżący głosik stukniętej dziewczynki, dziewczynki ze sznytami na przegubach; głos, który z łatwością przemierzał drogę od łez do radosnego śmiechu i z powrotem, i wciąż był taki sam, gdy krzyczała, mówiła, śmiała się, płakała, taki sam, powtarzający to samo, ślizgający się po ostrym brzegu wyszczerbionej skały...

– Kocham tego dzieciaka – ciągnęła urywanym, łamiącym się głosem. – Może nie okazuję tego przez cały czas, ale tak jest.

– Do czego zmierzasz? – spytał Huller, zjeżdżając na pobocze. Zatrzymał auto i popatrzył na dziewczynę. – Co ty wygadujesz, do cholery?

– Tylko tyle, że będzie ciężko. – Łzy spływały jej po policzkach. – To moja jedyna rodzina – zaszlochała i wytarła nos w chusteczkę. – Ona i Aubie...

Uniosła głowę i popatrzyła na Wallace'a, po czym zaczęła szlochać jeszcze rozpaczliwiej. Jego oczy także były zamglone od łez.

– Słuchaj, tam jej będzie lepiej – mówił Huller. – Mają mnóstwo forsy. Dadzą jej wszystko.

Dotty nie przestawała płakać. Smutek boleśnie rozsadał pierś Wallace'a. Huller bębnił stwardniałymi od odcisków palcami w kierownicę. Płacz Dotty przybiegał na sile.

– Nie zapominaj, że to ich dziecko – powiedział z rozpaczą Huller. – Nie wasze.

– Muszę się napić – chlipnęła Dotty. – Albo wziąć jakiegoś procha, Jig. Muszę się uspokoić. – Znowu wydmuchała nos. – Rozpadam się na kawałki. Chryste, czuję, jak się rozlatuję...

Uniosła ręce, a jej ostre, srebrne paznokcie zaślśniły.

– Zobacz, jak drżą. – Wpatrywała się w swoje dłonie, jak gdyby nie były częścią niej samej.

– Masz – mruknął Huller, rozprostowując nogi, aby sięgnąć do kieszeni spodni. – Ale tylko jedną. – Położył jej na dłoni nakrapianą kapsułkę. – Żeby ci przeszło – dodał, po czym sam wrzucił do ust identyczną pastylkę i przełknął ją głośno.

Dotty wyjęła z torebki ćwiartkę dżinu. Popiła kapsułkę długimi, łapczywymi łykami, po czym podała butelkę Hullerowi.

Oczy Wallace'a były mokre od łez. Wpatrywał się bezmyślnie w jadące obok pojazdy. Wszystko wydawało mu się zbyt głośne i zbyt żywe. Czerwień przejeżdżającej ciężarówki sprawiła, że cały się skulił i poczuł, jak zaciskają mu się wnętrzności. Otoczył go słodkawy zapach dżinu. Głos Dotty był przytłumiony, niczym pijacki pocałunek, byle jaki, mokry i obrzydliwy.

– ...chyba się jeszcze napiję – mówiła, zdejmując zakrętkę.

– Najbliższa doba będzie najważniejsza – ostrzegł Huller.

– Wciąż myślę o tym, jak blisko byliśmy – westchnęła.

– No cóż – odparł Huller.

– A to, co wie? Co, jeśli zaczniesz opowiadać o Carlu?

– Nie przejmuj się.

– Albo o tych wszystkich razach, kiedy musiałam ją uderzyć? Jezu! Jak tyle o mnie opowie, od razu będą wiedzieli, gdzie szukać...

– Przestań! Przestań! – powtarzał Huller słysząc, jak narasta jej histeria. – Mówiłem ci już, że się tym zajmę.

– Ale jak? – Wciąż popijała z butelki. – Nie mówisz, jak.

– Nie przejmuj się. – Położył dłoń na jej kolanie. – Zajmę się wszystkim.

– Cholera – zakłęła cicho. – Długo jeszcze? Huller spojrział na zegarek.

– Niecałe trzydzieści sześć – odparł.

– Co trzydzieści sześć? – zapytała i zaśmiała się nerwowo. – Dni, tygodni?

Huller zerknął na Wallace'a, który wciąż wglądał przez okno.

- Godzin – wyszeptał.
- Cholera – powtórzyła. – Cholera, nigdy nie dam rady.
- Dasz radę – powiedział Huller i roześmiał się pod nosem.

17.

Przez całą noc wiercił się i przekręcał z boku na bok, z jednym okiem utkwionym w bladym rożku księżycy. Trzydzieści sześć godzin, myślał. Jeszcze trzydzieści sześć, i to wszystko.

Nad ranem trzydzieści sześć skurczyło się do dwudziestu czterech. Za dwadzieścia cztery godziny Canny zniknie. Tylne siedzenie będzie puste. Skończą się historyjki i wspólne oglądanie telewizji. Będzie jadał sam. I co wtedy? Co to wszystko oznacza? Czy ten ból w piersi kiedykolwiek minie?

Usiadł na brzegu łóżka i zasznurował czarne trampki, wpatrując się w jasny promień światła, który wpadał do domku przez dziurę w podłodze. Przeszukiwał to małe spokojne miejsce w sobie, gdzie trzymał Hyacinth i obu chłopców, gdzie jego ojciec karmił świnię Carsona, gdzie mały chłopiec opierał się o płot i uderzał patykiem o metalową obręcz na swojej nodze; szukał i trafił tam na oderznięty kciuk Camellii Crebbs i na odświętną sukienkę Hyacinth, tę ciemnoniebieską z kwadratowymi guzikami ze szkła i szerokim koronkowym kołnierzykiem, który marszczył się na ramionach; szukał, ale nie zdołał znaleźć Canny ani też żadnego miejsca, w którym mogłaby przebywać.

Przez całe życie miał ten kłopot – znał A, znał B, znał C, ale nigdy nie mógł ich połączyć w cokolwiek znaczącego. Zawsze czegoś brakowało. Kiedy był dzieckiem, i później, gdy dorósł i sam został ojcem, zawsze o czymś zapominał, malując obrazki dla chłopców i ostatnio dla Canny – człowiekowi brakowało ręki, twarzy lub nosa, a psu ogona.

Przez ostatnie kilka dni rzadko odzywał się do Canny. Wybrzuszenie w jego bucie, artykuł, teraz tak wytarty, że sypał się za każdym razem, gdy Wallace go rozwijał, stał się bardziej realny niż sama Canny.

Na łóżku po drugiej stronie Dotty głośno zajęczała. Zatrzepotała powiekami, po czym szybko zakryła oczy dłonią. Do domku sączyło się poranne światło, ale nie z

okien, tylko z dziury w podłodze. Wzniosło się tak wysoko, że zagościło we wszystkich kątach pokoju. Kurz krążył w promieniach słońca, a powietrze było całkiem nieruchome – nigdzie nie padał żaden cień.

Dotty włożyła rękę do torebki na podłodze i szukała na oślep, aż wyjęła okulary przeciwsłoneczne w białej oprawce i papierosy. Założyła okulary, zapaliła i zaciągnęła się głęboko, kaszląc cicho w poplamioną poduszkę. Poprosiła Wallace'a o szklanekę wody, którą popiła kolejną kolorową pigułkę, taką samą, jaką brała wieczorem. Z trudem pochyliła głowę, żeby się napić. Gdy oddawała mu szklanekę, jej dłoń drżała tak bardzo, że woda wylewała się na łóżko.

– Głowa mi zaraz pęknie – oznajmiła po paru minutach, odpalając drugiego papierosa od pierwszego, którego następnie zgasiła w stojącym na krześle talerzyku.

– To przez te proszki – powiedział. – Wariujesz od nich, wiesz przecież.

– Już jestem wariatką – odparła. – Urodziłam się nienormalna.

– To przez proszki – powtórzył. – Pamiętasz ostatnio?

Jej usta zadrżały i dziewczyna przygryzła wargę. Popatrzyła na Wallace'a. Nie widział jej oczu za ciemnymi szklami, ale czuł, że mu się przygląda. Z zakłopotaniem wzruszył ramionami.

– Wariowałaś przez te proszki – powiedział cicho. – Wzięłaś nóż i zamknęłaś się w pokoju razem z Canny. Mówiłaś, że zabijesz i siebie, i ją. A potem zasnąłaś, a Canny wzięła nóż i otworzyła drzwi...

Śmiała się. Wypuściła z ust kłąb dymu i się zaśmiała.

– Ach, Aubie – rzekła i wtedy zobaczył, że wyciera łzy, które wyciekły spod szkieł. – Myślisz, że zapamiętała takie rzeczy i o nich opowie?

– Była strasznie mała – odparł.

– Może ty z nią porozmawiasz – powiedziała Dotty. – Albo ja napiszę jakiś list. Żeby wiedzieli, że nie chcieliśmy jej skrzywdzić. Mogę go włożyć jej do kieszeni. Po tym, jak dasz jej tę pigułkę na sen. Jig się nie dowie.

– A jeśli ten proszek jej zaszkodzi? – spytał nagle. – Jeśli się po nim pocho-ruje?

To go martwiło. Nie mógł zapomnieć, jak biegła w kółko po tym, jak dał jej łyżkę syropu na kaszel. Uderzała głową o ścianę, rzucała przedmiotami i zachowywała się tak dziwnie, że w końcu musiał związać jej ręce i nogi. Mimo to rzucała się i kopała, aż w końcu sznury otarły jej ręce i nogi do żywego mięsa.

– Nie zaszkodzi – odparła Doty. – Jig będzie musiał dopilnować, żeby nie był za mocny.

– A jeśli nie będzie wiedział? – spytał Wallace.

– Będzie!

– A jeśli będzie myślał, że wie, ale się pomyli, a ona...

– Cholera, Aubie! Skończysz wreszcie? Szlag mnie trafia, kiedy tak gadasz.

– Ale jeśli...

– A jeśli świat przestanie się kręcić, Aubie? A jeśli słońce wybuchnie? Chryste Panie! – Zdjęła okulary i spojrzała na niego spod zmrużonych powiek. – Czy ty rozumiesz, co tu się dzieje, Aubie? Czy ty w ogóle to rozumiesz?

Patrzył na nią. Nie umiał powiedzieć, czy rzeczywiście oczekiwała odpowiedzi, czy tylko przygotowywała się do walki.

– Czy rozumiesz, że jutro rano ubierzesz Canny, nakarmisz ją i każesz jej wziąć proszek, a potem pojedziemy twoim samochodem do Stonefield, a Jig będzie za nami jechał w furgonetce. Zabierzemy małą do lasu, do domku, który przygotował Jiggy. Zostawimy ją tam, a on pojedzie po pieniądze. Jeśli będą na miejscu, Jig zadzwoni do Birdów i powie im, gdzie znajdują Canny. Potem...

Urwała, a jej usta na przemian otwierały się i zamykały. Czuł, że cała gotuje się w środku.

Zza drzwi dobiegł ich głos Canny, podniesiony i rozzłoszczony:

– Nieprawda! Nieprawda! Ty się zamknij!

Nagle krzyknęła przeraźliwie.

Wallace ruszył do wyjścia, po czym odwrócił się i popatrzył bezradnie na Doty.

– Słuchaj mnie, Aubie! – zawołała go z powrotem.

Nie przestawał wpatrywać się w drzwi.

– Być może mamy ostatnią okazję, żeby porozmawiać – powiedziała. – Muszę to powiedzieć. Czasem... Czasem czuję się jak staruszka. Jak gdybym umierała. Jakbym miała umrzeć, jeśli się nie wyrwę. Muszę zacząć radzić sobie sama. Ale ty mnie powstrzymujesz, Aubie. Tak sobie myślę, że wtedy wzięłam nie tylko Canny, ale też i ciebie. I to mnie przeraża – nie tylko to, że odejdzie Canny, ale i ty, Aubie. Na myśl o tym... Nie mogę znieść myśli o tym, że coś ci się stanie i...

Drzwi domu trzasnęły i chwilę później rozległ się znajomy ryk i wycie odjeżdżającej furgonetki Hullera.

– Ona pewnie przyjmie cię z powrotem – powiedziała Dotty. – Możesz jej wyjaśnić, że dostałeś w głowę i przez cały czas próbowałeś przypomnieć sobie, kim jesteś. – Usiadła na skrzyżowanych nogach. – Widziałam to kiedyś w telewizji. Facet zniknął na dziesięć lat i przez ten cały czas szukała go rodzina. Założy się, że ona też cię szukała, Aubie. Założę się, że odkąd zniknąłeś, nie zmrużyła oka... – Uśmiechnęła się. – Dlaczego do niej nie zadzwonisz, Aubie? Zadwoń i powiedz: „Cześć, Hyacinth, właśnie się ocknąłem i wiem już, jak się nazywam, i chcę wrócić do domu”.

Wallace potrząsnął głową.

– Chcę jechać z tobą – rzekł. – Jak mówiliśmy.

– No, tak – westchnęła. – Cóż, pamięć... pomyśl o tym, co powiedziałam. Zapamiętaj to.

Wstała z łóżka.

– Cholera – mruknęła i owinęła się prześcieradłem.

Odchyliła plastikową zasłonkę i weszła do łazienki.

Gdy z niej wyszła, miała na sobie czerwoną spódnicę i rozciągnięty czarny podkoszulek z błyszczącym różowym napisem „MIAMI BEACH”.

– Muszę coś zjeść – powiedziała przy drzwiach.

Z podwórka znowu dobiegł krzyk dzieci. Alma też coś do nich wrzeszczała.

Dotty zawróciła i wyjęła z torebki pigułkę, po czym wrzuciła ją do kieszeni.

– Zaraz mi łeb pęknie – powiedziała, zapalając papierosa. – Czuję to.

Wallace zabrał się do sprzątanía domku.

Każdy kąt był zawalony ciuchami Dotty. Wallace podniósł je wszystkie i wrzucił na kupę na jedno z łóżek. Po kolei składał każdą rzecz i umieszczał ją na sąsiednim łóżku. Kiedy wszystkie ubrania były poskładane i ułożone, a kolorowe buty poustawiane w pary, Wallace sięgnął pod łóżko i wyciągnął spod niego puste torby i pudełka, których nigdy nie wyrzucali. Przez całą drogę, pomyślał, przez cały czas, z miasta do miasta... Nagle opadły mu ręce i usiadł na drewnianym krześle.

Tym razem ona mówi poważnie, stwierdził w duchu. Odejdą obie – i Dotty, i Canny.

– Szybko, tatusiu!

Podniósł wzrok i ujrzał, że Canny wpycha kwadratową, czerwoną puszkę po benzynie przez rozwaloną klapkę w drzwiach.

– To na robactwo – syknęła i szybko weszła do środka. Nawet gdy mówiła, drapała się po głowie. – Nafta! – jęknęła, podnosząc puszkę obiema rękami i ciągnąc ją do łazienki. Po chwili wyszła stamtąd i potrząsnęła ramieniem Wallace'a. – Jest moja, tatusiu! Moja puszką!

Miała na sobie starą zieloną koszulkę, której nigdy wcześniej nie widział. W miejscu, w którym odpruto rękawy, zwisały nitki. Niebieskie spodnie dziewczynki były wytarte na obu kolanach. Stopy miała czarne od brudu.

Nie może wrócić w takim stanie, pomyślał.

– Tatusiu! – Znowu potrząsnęła jego ramieniem. – Nasmaruj mi włosy! Oni wszyscy oglądają telewizję.

Wzięła go za rękę i usiłowała ściągnąć z krzesła.

– Proszę, tatusiu! – błagała. – Strasznie mnie swędzi, a Alma powiedziała mamie, że dziewczynki mają ospę albo robactwo im się załęgło. Proszę, tatusiu! Alma jest wściekła!

Postawił krzesło na środku pokoju i posadził na nim Canny, po czym zakrył jej ramiona rozdartym papierowym workiem na śmieci. Przy pomocy starej skarpety umoczonej w nafcie klepał delikatnie każdą skołtunioną kępkę włosów, aż cała głowa dziecka była mokra. Oczy dziewczynki poczerwieniały od oparów, ciekło jej z nosa. Wallace włożył natłuszczone kosmyki jej włosów między kciuk i wskazujący palec, próbując zdrapać perłowo białe jaja wszy. Kiedy pociągnął, mała wzdrygnęła się i poruszyła ramionami.

– Au – powiedziała cicho.

Rozdzielił jej włosy i zrobiło mu się niedobrze na widok strupów. Skóra na głowie Canny wyglądała jak surowe mięso.

– Masz zapalenie – powiedział, przyglądając się uważnie. – Leci ropa. Po tem posmaruję ci głowę lekarstwem. – Teraz pracował ostrożniej. – Lepiej się poczujesz – mruknął. – Nie będzie robactwa i ran... będzie lepiej...

– Kocham cię, tatusiu – wyszeptwała. Przechyliła głowę i popatrzyła na niego. – A ty mnie kochasz?

Pokiwał głową, a ona się uśmiechnęła.

Zakrakała wrona, a nad dachem przemknął silny wiatr, poruszając papą niczym skrzydłami. Właśnie wtedy furgonetka Hullera skręciła na podjazd i zapiszczała przy hamowaniu.

– Ellie jest w ciąży – powiedziała z ożywieniem Canny. – Alma mówiła mamie, że jeśli zdobędzie pistolet, zabije ich oboje.

- Kogo?
- Ellie i jego. Jiggy'ego.
- I co mama na to? – odchrząknął Wallace. Opary podrażniły mu oczy.
- Nic. – Canny wzruszyła ramionami. – Chyba jest pijana albo zaraz będzie.

Je śniadanie. Piwo i precelki.

Gdy znowu zaczął smarować jej włosy, Canny złapała go za przegub.

– Tatusiu, jeśli teraz powiesz, żebyśmy jechali, na pewno się zgodzi. Wygląda tak smutno... – Kiedy nie odpowiadał, dodała: – I wiesz co? Wszystkie rzeczy Ellie są w pudle z narzędziami w samochodzie Jiggy'ego. Oni chyba uciekną! – wyszeptala uszczęśliwiona. – Widziałam, jak wczoraj w nocy wkładali tam te rzeczy. Później, kiedy Alma spała i u was też zgasło, Ellie powiedziała: „Trzydzieści sześć godzin. Nie wytrzymam tak długo”. I dodała coś o tęczy.

Słyszając furgonetkę Hullera, oboje spojrzeli na otwarte drzwi. Auto, za którym biegł i czekał rudy pies, zatoczyło koło i wyjechało na drogę. Wallace pochylił się i ściągnął kolejne gnidy z włosów dziecka.

Deszcz zaczął padać w południe. Nadciągał miękkimi, ciepłymi falami, co jakiś czas ustępując na chwilę miejsca mokrym promieniom słońca tylko po to, żeby ponownie spaść z zachmurzonego nieba. Większość dnia dzieci spędziły w domu, oglądając telewizję z Alną i Dotty.

Kiedy nadeszła pora kolacji, do drzwi domku podeszła Ellie. Przystawiła swoją drobną, bladą twarz do szyby w drzwiach.

– Dzieciaki zgłodniały, tatuśku. – Zmrużyła swoje tępe, blisko osadzone oczy. – Jesteś tam?

Wallace skinął głową.

– Tak – powiedział.

– Dotty śpi, dzieciaki głodują, a Alma mówi, żeby wszyscy poszli się pieprzyć, bo nie będzie więcej gotować. Próbowałam, tatuśku. Tyle że nawet od parzenia na puszki mi niedobrze, nie mówiąc o gotowaniu. Może coś przygotujesz?

Wallace wstał z łóżka i poszedł za nią.

Co parę minut na ekranie telewizora pojawiały się zakłócenia. Dotty spała na kanapie z szeroko otwartymi ustami i pełną niedopałków popielniczką na piersi. Canny i córki Hullerów siedziały na podłodze i usiłowały oglądać kreskówki. Na ich twarzach migotał blask z ekranu. Krystal i Kelly drapały się po głowach.

Canny popatrzyła na niego z niepokojem. Jej włosy zwisały na ramiona w tłustych, wyglądających na mokre strąkach.

Huller siedział w szopie, a Almy nigdzie nie było widać, lecz co parę minut, niczym odległy grzmot, słuchać było na górze jej szuranie.

Wallace otworzył dwie puszek mielonki, którą pokroił dla ośmiu osób, po czym zmieszał ze smażącą się na patelni cebulą. Nie było ziemniaków, więc wrzucił do wody makaron. Po ugotowaniu i odcedzeniu dodał go do mielonki i cebuli.

Ellie wbiegła do łazienki i trzasnęła drzwiami. Mimo że odkręciła kran, Wallace słyszał, jak wymiotuje. Na zewnątrz niebo się nagle zachmurzyło, po czym rozbłysnęło od kolejnego pioruna. Pies wdrapał się po schodkach na werandę i skulił przy wejściu. Przy każdym piorunie wyl i drapał drut, który podtrzymywał dolną część drzwi. Wallace przyglądał się psu i dziwił się, czemu ten nie zaszczeka albo po prostu nie popchnie łapą drzwi. Pies wpatrywał się w niego ciężkim, wilgotnym wzrokiem.

Wallace podszedł do drzwi i korzystając z osłony szyby powiedział:

– Głupi z ciebie pies, wiesz?

Zwierzę uniosło pysk ku zachmurzonemu niebu i cicho zawyło. Wallace zachichotał, po czym otworzył drzwi. Pies wbiegł do środka i natychmiast skrył się pod stołem.

Na schodki wchodził właśnie Huller. Miał na sobie żółte ortalionowe ponczo, a jego buty uwalane były grubą warstwą błota, które zostawiało ślady na podłodze w kuchni.

Ściągnął przez głowę mokre ponczo i rzucił je na werandę.

– Jesteśmy prawie gotowi – powiedział i porozumiewawczo klepnął Wallace'a w ramię.

Gdy tylko go minął, pies wydostał się spod stołu i warcząc, złapał w zęby spodnie Wallace'a.

– Wynocha stąd! – wrzasnął Huller i kopnął psa w zad, aż zwierzę ponownie wczło gało się pod stół.

Wallace słyszał pśpieszne uderzenia swojego serca.

– Co to za gówno? – spytał Huller, zdejmując pokrywę z patelni.

– Kolacja – odparł Wallace, wciąż świadom ponurego, mętnego spojrzenia psa.

– No to jedzmy – stwierdził Huller. – Alma! – wrzasnął w kierunku schodów. – Chodźcie wszyscy! Jemy!

Zgromadzili się przy stole, spoceni i w ponurych nastrojach. Oczy Doty były

błyszczące i puste niczym oczy ptaka. Jej olbrzymie źrenice zdawały się wylewać z tęczówek. Nie chciała wstać z kanapy, ale Huller nalegał. Nic nie jadła.. Zamiast tego cały czas paliła, zapelniając talerz popiołem i zapalkami. Huller był w doskonałym nastroju, opowiadał dowcipy i żartował z córkami.

Alma nie odzywała się ani słowem. Najpierw Kelly zaczęła drapać się po głowie, a potem w jej ślady poszła Krystal. Pozbawione rzes, małe oczy Almy przenosiły się z jednej córki na drugą.

- Co masz na włosach? – Popatrzyła w końcu na Canny.
- Nic – odparła dziewczynka i pochyliła głowę nad talerzem.
- To dlaczego są takie tłuste? – spytała Alma.

Jej córki nie przestawały się drapać.

Canny wzruszyła ramionami i popatrzyła na Wallace'a. Alma otworzyła szeroko oczy.

- Ma wszy, co? – Pociągnęła nosem w stronę Canny.

Twarz dziewczynki była niemal tak biała, jak jej talerz.

Alma ponownie pociągnęła nosem.

– To dlatego – powiedziała, patrząc na Kelly i Krystal. – To dlatego tak je swędzi. – Sama zaczęła drapać się po rzadkich włosach. – Wszyscy mamy wszy!

Ellie dotknęła wystrzępionych włosów i uważnie przyjrzała się swoim palcom.

Dotty wybuchnęła śmiechem. Ukryła twarz w dłoniach, a z oczu leciały jej łzy.

Potrząsnęła głową, wciąż zanosząc się dzikim chichotem.

- Wszyscy! – wykrzyknęła Alma. – To twoja wina – powiedziała do męża.
- Zamknij się i jedz – rozkazał Huller, odpychając od siebie talerz.
- Patrz, jak się śmieje – rzekła Alma. – Ma to gdzieś.
- Zamknij się – warknął Huller.

Nagle Krystal zaczęła płakać.

- Czuję robaki – powiedziała i zesztyniała na krześle – Jedzą mnie całą!

– Zeżrą ci głowę – stwierdziła Kelly i nie bacząc, że Krystal krzyknęła głośno, dodała szybko: – A potem zjedzą ci szyję...

Ellie zerwała się z krzesła i z dłonią na ustach pobiegła do łazienki. Alma wpatrywała się w Dotty, która wciąż zanosila się od śmiechu.

- Przestań – zażądała. – Przestań się tak śmiać.

Dotty roześmiała się jeszcze głośniej.

Wargi Almy zadrżały.

– Wyjdź stąd! – rzekła do Dotty, a w jej głosie słuchać było strach. Cofnęła się i popatrzyła na Hullera. – Powiedz jej, żeby poszła. – Zabrzmiało to niemal jak szept. – Powiedz, żeby poszła, zanim coś się stanie.

Kelly przestała dręczyć Krystal. Teraz obie wsłuchiwały się w urywany, nabrzmiały łzami śmiech Dotty.

– Mamo – zaczęła Canny.

Nad Dotty stał już jednak Huller i mówił jej, żeby poszła się trochę przespać. Położył rękę na jej ramieniu, ale ją odepchnęła. Jej oczy przepełnione były nienawiścią.

– Ty sukinsynu – mamrotała wciąż. – Nie oszukasz mnie, sukinsynu.

– Pomóż mi, tatuśku – powiedział Huller.

Złapał dziewczynę za ramię, ale znów go odepchnęła. Wstała, a jej krzesło przewróciło się do tyłu. Wciąż mamrocząc, chwiejnym krokiem wyszła z kuchni.

Huller usiadł i przysunął do siebie talerz. Zanurzył kawałek chleba w stygnącym tłuszczu, nieświadom faktu, że tylko on je. Canny wstała i okrążyła stół, kierując się ku drzwiom. Huller złapał ją za nadgarstek i przyciągnął do siebie.

– A ty dokąd, księżniczko? – zapytał z ustami pełnymi chleba.

– Sprawdzić, co z mamą – odparła Canny i odsunęła się od niego.

– Nic jej nie będzie. Musi się trochę przespać – powiedział.

– Tylko zobaczę. – Chciała się uwolnić, ale wciąż trzymał ją za rękę.

– Puść ją – rzekła Alma. – Niech wszyscy idą w cholerę.

Huller uśmiechnął się do Canny.

– Powiem ci, co zrobimy – powiedział, wycierając usta wierzchem dłoni, w której trzymał rączkę dziecka. – Pójdę i sprawdzę, co z twoją mamą. A ty będziesz mogła pobawić się z dziewczynkami.

– Nie ze mną – zastrzegła Kelly i wykrzywiła twarz.

– Ani ze mną – zawtórowała jej młodsza siostra.

– Spać z nimi też nie będzie – dodała Alma. – Nie z tymi wszami.

– Będzie – orzekł Huller, wciąż trzymając Canny. – Może spać na kanapie.

– Uśmiechnął się i poklepał dziewczynkę po wąskich plecach. – Zamierzam się zająć tym małym bagażem.

Znowu ją poklepał i tym razem nie zabrał dłoni. Pot zalewał oczy Wallace'a. Żarówka wydała mu się zbyt jasna. Gapił się na rękę Hullera, a jakiś głos w jego głowie powtarzał: „Zabieraj tę łapę!”. Nikt go jednak nie słyszał.

– Ej, tatuśku! Sprawdź, co z Dot, a jeśli chce coś wziąć, spróbuj jej to zabrać.

– Ja też pójdę – oznajmiła Canny.

Zrobiła krok w stronę Wallace'a, ale Huller ją zatrzymał.

– Tatusiek się tym zajmie, księżniczko. I dzięki temu ja będę mógł zająć się tobą – powiedział i ponownie ją poklepał.

Jego uśmiech był nie tyle uśmiechem, co szybkim, mokrym grymasem, który sprawił, że Wallace podkurczył palce w trampkach i błyskawicznie przebiegł przez podjazd. Oddychał szybko i urywanie. Miał wrażenie, że stado głodnych ptaków kłuje go w żebra.

Domek był pusty. Wallace odwrócił się i ujrzał, że Huller obserwuje go z werandy. W tej samej chwili, z identycznym zdumieniem na twarzach obaj mężczyźni ujrzeli, jak Dotty wyłania się z szopy i idzie chwiejnym krokiem po nierównym zboczcu. Z ręki zwisał jej długi kawałek papieru.

– Ty sukiny! – wrzasnęła, gdy Huller zbiegał z werandy.

Wyrwał jej papier i zbliżył się do niej, mówiąc cichym, łagodnym i natarczywym tonem.

– ...fałszywy, nędzny skurwysyn... – przekrzykiwała go.

Huller złapał Dotty za ramię. Usiłował wciągnąć ją do domku, jak najdalej od domu, gdzie w drzwiach pojawiła się Alma. W oknie na górze stała Ellie i przyciskała do szyby policzek, który wyglądał jak rozplaszczona zasłona.

Za każdym razem, gdy Huller łapał Dotty za rękę, dziewczyna odskakiwała gwałtownie, miotając przekleństwa. Przez chwilę wydawało się, że Huller się jej boi. Teraz jednak znów ją trzymał, a jego grube palce zakleszczyły się na jej przegubach, gdy ciągnął ją do domku. Wallace musiał przeskoczyć przez chwiejny murek z cegieł, żeby zejść im z drogi.

– Szybko, Aubie – krzyknęła Dotty, gdy Huller wpychał ją na schodki. – Uciekaj z Canny, zanim... – Krzyknęła z bólu, kiedy Huller rąbnął ją w głowę.

– Właż, do cholery! – warknął i wepchnął ją do pogrążonego w mroku domku.

Wallace słyszał odgłos upadku i płacz dziewczyny, ostry niczym chirurgiczny skalpel.

Huller popatrzył na Wallace'a.

– Odbiło jej – powiedział. – Nie powinienem był jej niczego dawać. Zaraz ją uspokoję. – Znowu zajął do wnętrza domku, skąd dobiegał głos Dotty.

– Zaraz zrobię z nią porządek – dodał, nerwowo strzelając palcami. – Idź. Wracaj do domu, a ja ją uspokoję.

Miał takie same oczy jak Dotty, błyszczące i pozbawione głębi niczym czarne szkło.

– Powiedziałem, wracaj do domu! – wrzasnął, zbiegając ze schodka i złapał Wallace'a pod brodę.

Stał tak blisko, że Wallace czuł jego pot i słodki odór alkoholu.

– Pierdolony dur... – mruknął, a Wallace szybko ruszył przez podjazd.

Nie wszedł jednak do domu. Stał na środku podjazdu i przysłuchiwał się, jak oboje wrzeszczą na siebie. Rozumiał tylko, jak wykrzykiwali jego imię. Podszedł do domku i stanął na schodkach.

– Przyznaj się – powtarzała Dotty. – No już, przyznaj się!

– Masz pierdolca – powiedział Huller. – Nie wiesz, o czym mówisz.

– Przyznaj się – mówiła nieustępliwym, ostrym głosem. – Przyznaj.

– Masz! Weź jedną... Na pierdolec... Masz...

– Ty i ten Callahan, wszystko sobie przygotowaliście, co?

– Zglupiałaś? Callahan? Od razu by mnie sprzedał!

– A ten artykuł z gazety?

– Wszystko ci się popieprzyło! – odparł Huller. – Niedokładnie go przeczytałaś.

– Dobrze przeczytałam. Dwadzieścia pięć kawałków za dzieciaka i jeszcze dwadzieścia pięć za złapanie porywaczy.

– To tylko tak wygląda. – Próbował się zaśmiać, ale wyszedł mu jedynie kaszel.

– Ty... – znów zaczęła.

– Nie chciałem cię przestraszyć, i tyle, mała. – Jego głos brzmiał teraz łagodniej. – Nie mogłem ryzykować, że wpadniesz w panikę, i tyle! Postanowiłem ci powiedzieć już po wszystkim... Kiedy uciekniemy i będziemy tak bogaci, że nie... że nie zmienisz zdania.

– A Ellie? Ona też jedzie? Czy ja i ona będziemy...

– Ona nie ma z tym nic wspólnego! Mówiłem ci już – nic!

– No to kto zmajstrował jej bachora?

– Skoro ona nie wie, to skąd ja mam wiedzieć? – krzyknął Huller.

– Alma myśli, że to ty.

– Słuchaj, Dot, rano musimy jechać. Jutro rano nie będzie już żadnej Almy, żadnej Ellie, żadnego Callahana. Będziesz tylko ty i ja, i pieniądze. Myśl o tym w

ten sposób. Zapomnij o reszcie tego gówna. Pójdzie nam jak z płatka, wszystko już przemyślałem. Przewidziałem każdy ruch, każdą chwilę. Niczego nie przegapiłem. Nie masz się czego bać, Dot. Wszystko jest świetnie obmyślane. Nawet rozmowa tatuśka z Birdami. To była robota geniusza. Przyznał się! Nie rozumiesz? O tobie nigdy nie wspomniał. Tylko on rozmawiał.

– Przecież chciałeś, żebym ja mówiła, ale się nie zgodziłam – przerwała Dotty.

– I wtedy zacząłem wszystko rozumieć – powiedział Huller. – To było tak, jakbym poukładał kawałki układanki.

– A co z Canny? – zapytała Dotty słabym głosem.

– Była malutka. Nic nie pamięta. Wszyscy pomyślą, że ciebie też porwał. Przecież i ty byłaś dzieckiem. Zabrał ciebie, a potem ją.

Teraz Dotty płakała.

– Nie możesz tego zrobić... Nie Aubiemu. Ty nie rozumiesz.

– Czego?

– Sama nie wiem – chlipała. – Nie potrafię tego wytłumaczyć. Ale ze wszystkich ludzi on... on jest...

– Ale tak musi być. – Głos Hullera górował nad jej szlochami. Skrzyknęło krzesło, a potem rozległ się odgłos ciężkich kroków. – Wszystko jest już ustalone.

– Ale co z Aubiem?

Zapadła cisza.

– Będą na niego czekać – powiedział Huller.

– Nie – jęknęła. – Nie na biednego Aubiego... Proszę... Pozwól mu wrócić do domu. Pozwól mu...

– Chryste Panie!

– Może podwieziemy go kawałek...

– Zamknij się!

– Posłuchaj...

Teraz oboje stali tuż przy drzwiach. Huller złapał Dotty za nadgarstki i trzymał ją tak blisko siebie, że oboje wyglądali jak jedna poskręcana osoba, oświetlona ostatnimi promieniami słońca, napięta i blada na tle zabrudzonej szyby. Dotty wzięła się i walczyła.

– Posłuchaj... – powtarzała wciąż.

– Zamknij się wreszcie! – ryknął na nią. – Mam już dość! Chryste Panie, nie jesteś mi w ogóle potrzebna! – darł się, przyciskając jej głowę do swojego ramienia. – Tak jak i ten pieprzony...

– No to go zabij – wrzeszczała. – Zabij! Zastrzel go i niech się to wszystko skończy!

– Dobry pomysł – zaśmiał się Huller.

– Daj mi broń – zażądała. – Sama to zrobię. Wszystkim nam strzelę w łeb – zawodziła. – Wszystkim...

Jej głos stawał się coraz bardziej histeryczny.

Głęboki i ochryply głos Hullera wdzierał się w krzyki dziewczyny.

– Potrzebuję tylko dzieciaka – mówił. – Nawet i to nie. Mogę ją oddać martwą, słyszysz?

Bił ją teraz po twarzy.

Wallace zadrzał słysząc ten dźwięk.

Dotknął chropowatej ściany domku i zdumiał się, że ziemia wcale nie drży pod wpływem tych ciosów, że pozostaje niewzruszona i obojętna na to cierpienie.

– Martwą! – warczał Huller, nie przestając jej bić. – W torbie, pudle, wystarczą mi nawet jej zęby albo włosy.

Ciągnąc Dotty za włosy, rąbnął nią o łóżko, które podskoczyło na podłodze. Ten dźwięk przyprowadził Wallace'a o dreszcz. Potem rozległ się łomot, i jeszcze jeden, niczym bicie monstualnego serca. Czy on ją kopał? Kopał łóżko? Dotty nie wydawała z siebie żadnego dźwięku.

– Potrzebuję tylko dowodu, że ją odnaleziono – chrypiał Huller przy każdym uderzeniu. – Żywa czy martwa, to nie ma znaczenia... słyszysz, ty rąbnięta suko, ty...

Dotty zapiszczała. Coś się rozbiło. Może krzesło. Rozległ się brzęk tłuczonego szkła.

– Nie potrzebuję żadnego z was, więc nie przeginaj! Mam tego dosyć – charczał Huller.

Ona też charczała.

– Przestań – błagała – ...Sukinsyn.... Cholera... Au! – jęknęła, po czym Wallace usłyszał klaśnięcie, jakby ciała o ciało. I jeszcze jedno.

Dotty znowu jęknęła i wtedy rozległ się trzask, jak gdyby coś pękało, i hałas rozniósł się po całym domku.

Po nim nie było żadnego dźwięku, nawet ciszy. Zapanowała zupełna martwota, a dopiero chwilę później gałęzie zaszeleściły sucho o dach domku.

Muszę tam iść, pomyślał. Ona padła. Dotty padła. On jej to zrobił...

Drzwi do domku otworzyły się i trzasnęły o ścianę. Nad schodkami, a potem na podjeździe zamajaczył cień Hullera. Poszedł sobie.

W domku Wallace ujrzał ją na łóżku z twarzą wtuloną w ścianę. Oparcie krzesła było połamane, a plastikowa zasłanka na drzwiach łazienki wisiała na jednej zabce. Wszędzie wałały się ubrania, buty i pokruszone szkło z buteleczek od kosmetyków. Idąc ku Dotty, Wallace deptał po jakichś ciemnych płynach rozlanych na podłodze.

– Dot? – Dotknął ramienia dziewczyny i powtórzył jej imię. Poczul ulgę, kiedy jęknęła.

Pochylił się, słuchając jej urywanego szlochu.

– Dotty! – wyszeptał. – Obudź się! Obudź się, Dotty!

Potrząsnął nią i znowu to powtórzył.

Dziewczyna zakłęła i skuliła się jeszcze bardziej.

– Musimy jechać – błagał. – On nas pozabija, Dotty. Zabije Canny... Obudź się, proszę, obudź się, Dotty.

Zadrzała, a kiedy się odwróciła, ujrzał, że ma rozciętą dolną wargę, a krew cieknie po jej brodzie i szczęce aż do ucha i znika za linią włosów. Prawe oko Dotty były podbite i spuchnięte, a kiedy znowu poruszyła głowę, zobaczył pastylki, którymi Huller musiał w nią cisnąć w ostatecznym geście obrzydzenia. Niczym jaskrawe cukierki leżały porozrzucane po poplamionej niebieskiej poduszce i brudnym prześcieradle. Pozbierał je, wszystkie, które mógł znaleźć, i włożył do kieszeni, po czym usiadł na drugim łóżku i uważnie przyglądał się dziewczynie.

Będą musieli wyjechać dziś w nocy, gdy tylko Hullerowie pójdą spać. Musiał się nad tym zastanowić. Potrzebował planu. Tym razem ucieczka będzie inna. Tym razem będą uciekali przed kimś, kto wszystko o nich wiedział. O tym jednak nie mógł myśleć. Teraz najbardziej obawiał się tego, że nie zdoła obudzić Dotty na czas. W przeszłości, gdy brała proszki, potrafiła przespać dwanaście i więcej godzin z rzędu. Może uda mu się jakoś zanieść ją do samochodu. Razem z Canny powinni dać sobie radę. On usiadzie po jednej stronie, Canny po drugiej i zarzuca sobie jej ręce na ramiona, po czym dźwigną ją na nogi...

Canny, pomyślał, i rozejrzał się nagle. Musiał przyprowadzić tu Canny, zabrać ją Hullerowi. To był pierwszy krok. Właśnie, pomyślał. Po kolei.

– Nie bój się. Wszystko przemyśl – rzekł cicho sam do siebie, gdy wyszedł z domku i przeszedł przez podjazd. – Nie bój się. Po kolei...

– Co tam gadasz, tatuśku? – Huller wyłonił się z domu i stanął na schodach. W palcach trzymał puszkę piwa, a w kąciku ust papierosa. Jego rozżarzony koniusek poruszał się w tę i z powrotem, gdy mężczyzna mówił. – Przysłała cię? Kompletnie jej odbiło.

– Nie – odparł Wallace. – Przyszedłem po Canny. Na noc. Na ostatnią noc.

Huller zszedł ze schodów i językiem wypchnął z ust niedopalek, który upadł pod stopy Wallace'a.

– Niech się dobrze wyśpi, tatuśku – powiedział. – Przyda się jej sen. Tak będzie najlepiej, tatuśku. Jasne?

Wallace stał bez ruchu. Nie wiedział, co jeszcze powiedzieć. Canny podeszła do drzwi.

Przycisnęła czoło do szyby, a brodę oparła na kędzierzawym misiu z wyrwanymi uszami.

– Tatusiu! – krzyknęła i zaczęła otwierać drzwi.

– Zostań tam – zażądał Huller. – W środku!

Gdy drzwi się zatrzasnęły, Wallacem wstrząsnął dreszcz. Huller położył rękę na jego ramieniu.

– Zaufaj mi – rzekł, popychając go lekko w stronę domku. – Niczym się nie przejmuj. Wszystko jest pod kontrolą. Bird dostanie dzieciaka z powrotem, a ty wyjdiesz na bohatera. No wiesz, bo zająłeś się małą, i to dobrze. Bird będzie ci tak wdzięczny, że...

– Ale Alma nie chce jej w domu... z wszami, ona nie może... – bełkotał Wallace. W końcu wymyślił inny pretekst, żeby Canny spała z nimi w domku.

– O czym ty do cholery...

– Powinna spać tutaj – powiedział z ożywieniem. – Ma straszne robactwo. Tak straszne, że cała jej głowa jest w strupach. W życiu nie widziałem tylu gnid. Pewnie dziś zaczną się wylęgać. Pewnie już się wylęgają. – Błyszczącymi oczami wpatrywał się w Hullera. – Pewnie szukają kolejnych ludzi, żeby ich pogryźć...

– Spokojnie! Zwolnij trochę, tatuśku. Powiedziałeś teraz więcej niż przez ostatni miesiąc. Canny się prześpi na dole....

– Będzie się bała – przerwał Wallace.

– Nie przy mnie – odparł Huller i mocno klepnął Wallace'a. – Nie wpuszczę żadnej zmory...

Potem obaj stanęli nad łóżkiem Doty. Dziewczyna otworzyła oczy i spojrzała na nich z nieruchomym i zaciętym wyrazem twarzy. Równie dobrze mogłaby być ślepa czy martwa. Wallace usłyszał, jak nabiera powietrza i szlocha tak cienko i jednocześnie tak tęsknie i dziko, że ten dźwięk zdawał się rozrywać jego ciało.

– Przepraszam... Przepraszam – płakała. – O, Boże.

Huller przyklęknął przy niej i zbliżył swoją twarz do jej twarzy. Wallace nie słyszał dotąd, by jakikolwiek mężczyzna mówił równie łagodnie.

– Wszystko w porządku... W porządku... Straciłem panowanie nad sobą...

– Och, Jig – zawodziła. – Tak mi przykro. To wszystko moja wina. Jestem taka popieprzona.

– Daj spo...

– Nie, posłuchaj mnie chwilę. – Oparła się na łokciu. – Nie powinnam była się z tobą kłócić. Wszystko co robisz, jest w porządku. Nawet jeśli...

– No już! – Huller podniósł się nagle. – Wszyscy się denerwujemy. Nawet tatusiek jest podładowany, gada jak wariat.

Dotty zamruwała i popatrzyła na Wallace'a mętnymi, podbitymi oczyma.

– To ci pomoże – Huller wyjął coś z kieszeni i położył obok jej policzka. – Masz. Tatusku, ty też weź jedną. Masz. – Wyciągnął rękę. – Weź ją!

W chwili gdy proszek dotknął dłoni Wallace'a, zaczął się rozpuszczać, tak gorące było ciało mężczyzny, tak chore wnętrze. Ona to robi, pomyślał. Pomoże Hullerowi zabić Canny, a potem zabije mnie. I nawet się tym nie przejmie, myślał, słysząc, jak jej szloch zmieniają się niespodziewanie i nieobliczalnie w dziewczęcy chichot.

– Jezu, Jezu... – śmiała się. – Aubie będzie nawalony. Nie mogę w to uwierzyć...

Będzie się śmiała, pomyślał. Nawet jeżeli się przejmie, nadal będzie się śmiała, żeby nie musieć się denerwować. Dotty nie lubi się przejmować, myślał.

– Masz! – Huller włączył światło. Popatrzył uważnie na długą, żółtą pigułkę, starannie owiniętą w celofan. – Ta jest dla małej. Musi ją wziąć na pół godziny przed naszym wyjazdem. Oszołomi ją na tyle, że będziemy mogli bez trudu ją przenieść... Co tak się gapisz, tatusku? To zwykła pigułka na sen. Przynajmniej dzieciak się nie wystraszy.

– Boi się, że to jej zaszkodzi – odezwała się Dotty, opierając się o poduszki. Zamknęła podpuchnięte oczy, a mówiła z trudem i niewyraźnie. – Że zrobi się jej niedobrze.

Wciąż lizała ranę na wardze. W ostrym świetle jej zniekształcona twarz kojała się Wallace'owi z zepsutym owocem.

– Nie – odparł Huller. – To jej nie zaszkodzi. Powiedz mu, Dot.

– To jej nie zaszkodzi, Aubie. – Oblizła wargę i spróbowała się uśmiechnąć. – To ją wzbogaci... wzbogaci nas wszystkich... Taki jeden mały proszek wzbogaci nas wszystkich.

Krew sączyła się z rany na jej uśmiechu.

18.

Jeśli Aubrey Wallace wyróżniał się jakąś cechą, to na pewno była nią cierpliwość. Miał jej wystarczająco wiele, by jego ojciec mógł powiedzieć: „Tylko czekaj. To nie potrwa długo. Rób, co ci każą, a ja wrócę. To nie potrwa długo”.

I czekał; robił co mu kazano, nigdy się nie uskarżał ani nie zadawał pytań, tylko czekał, tak obojętny na nieszczęścia i wątpliwości jak oszronione drzewa za oknem podczas tej pierwszej, długiej zimy w Domu. „Czekaj na swoją kolej”, głosiła najważniejsza zasada w Domu, w którym mieszkało wielu trudnych chłopców. Z czasem te słowa przybrały formę wyuczonej, monotonnej modlitwy: czekaj na swoją kolej; czekaj na swoją kolej; po prostu czekaj na swoją kolej.

Teraz też czekał. Czekał, aż Dotty zapadnie w głęboki sen, aż zgasną światła w domu, aż pies przestanie od czasu do czasu poszczekiwać. Na początek sprawdził samochód, a potem podszedł pod dom, pod okno pomieszczenia, w którym Canny spała na kanapie. Telewizor wciąż był włączony. Jego niebieskawe światło migotało na rozwieszonym w oknie, pogniecionym prześcieradle. Z tego samego okna dochodził zapach papierosów. Pies zaszczekał, a Huller zaklął. Wallace pobiegł do domku i usiadł w ciemnościach, podczas gdy Dotty spała mocnym snem, chrapiąc głośno i miarowo.

Na zewnątrz noc lśniła od robaczków świętojańskich i szeleściła skrzypiącą pieśnią świerszczy. Na sinym niebie pojawiały się błyskawice, a od czasu do czasu słychać było odległe grzmoty.

Przez ten cały czas Wallace myślał. Zamęt stopniowo ustępował. Oto fakty niczym kamienie milowe wzdłuż niebezpiecznej drogi: rano Huller odda go za dodatkową nagrodę. Dotty się na to zgodzi, a w międzyczasie Canny może się stać coś złego. Albo jeszcze gorzej – pamiętał, jak Huller mówił, że wystarczy mu kość, garść włosów albo choćby zęby. Nawet jeśli Huller rzeczywiście planował

uciec z Ellie, Dotty w to nie uwierzy, dopóki nie będzie za późno. Wszystko się zmieniło, pomyślał. Sam będzie musiał zwrócić Canny, a potem pojechać do domu, do Hyacinth. Jego oczy rozszerzyły się w ciemnościach. Czuł, że plan jest właściwy, jest słuszny. Wszystko będzie tak jak kiedyś, dawno temu. Powie: „Zniknąłem, ale to nie była moja wina, i teraz jestem z powrotem”, i zapomni o wszystkim, co się w tym czasie zdarzyło – to nie będzie miało znaczenia. Wszyscy pójdą własnymi drogami, on, Dotty, Canny, tak jak kiedyś, każde osobno, i z dała, i nieznane pozostałym jak planeta na własnej orbicie.

Zadziwiało go, że to może być takie proste. Pewność tego, co musiał zrobić, była niczym wyjątkowo czyste, jasne szkło, które przechylone choć o włos w tę czy drugą stronę do światła mogłoby go oślepić. Więc siedział, nieruchomy i milczący, nie mając odwagi się poruszyć.

Ponieważ to wydawało się niemal zbyt proste, czuł, że potrzebuje jakiegoś talizmanu, amuletu; jakiejś komplikacji, która uczyni sukces tym wartościowszym, ochroni ich przed złem; misji takiej jak podróż błędnego rycerza przez wrogie królestwa śmiertelnie groźnych smoków i wysokich żywopłotów. Potrzebne było wyjaśnienie, które przedstawi jego punkt widzenia i wytłumaczy, dlaczego to wszystko się stało; potwierdzenie, że ten czyn był rzeczywiście bezsensowny, niezaplanowany i że nikt nie chciał nikomu zrobić krzywdy. Wallace czuł, że to mogłoby wystarczyć, ten kosmiczny porządek, to wytłumaczenie, ta historia, która zdawała się zaczynać nie od Canny, jak początkowo przypuszczał, lecz od tego dnia na wiejskiej drodze, nie, nawet nie tam. To było coś więcej, prawda? Wykrczało poza fakty i daty. To był pan Bird, jego głos w uchu Wallace'a, głos, który pytał dlaczego. Dlaczego? Bo obluźowała się rura wydechowa, bo Dotty, była głodna, bo nie mieli pieniędzy, bo furka była uchylona, bo drzwi były otwarte; bo w tamtym momencie zadzwonił telefon i ten, kto go poniósł, żeby się przywitać, nie miał bladego pojęcia, że dwa istnienia zbliżają się do siebie niczym spadające na oślep gwiazdy... ciche kroki, dziecko, które się przygląda; na górze, słuchawka przy uchu, może nawet śmiech... i bliżej, łącząc się z innymi zdarzeniami, eksplozja, która niszczy, a potem tworzy kosmos, ta ślepotą, która dopiero później się układa, ale nigdy nie stanowi całości ani nie może być zrozumiała... na górze, niewidoczne, niesłyszalne „Halo, wszystko w porządku”, podczas gdy na dole, w pokoju pełnym światła i luster, dziecko, samotna dziewczynka, domagająca się odpowiedzi na powitanie, dziecko, którego zapragnęła dziewczyna o dzikim spojrzeniu i zaschniętej krwi za paznokciami.

Kim byli w chwili tego spotkania, jeśli nie nieznajomymi, którzy już nigdy nie mieli pozostać sobie nieznanymi, czy by się spotkali czy nie, nawet gdyby nie znali swoich imion, gdyż tak jak Canny była całą swoją rodziną, tak i on był każdym Wallacem, Horenbondem czy Kluggsem (choć, tak naprawdę, nie był z nimi spokrewniony, lecz w chwili kolizji, tak się stało – już na zawsze), Dotty zaś uosabiała dla niego zagadkę, marzenia, dzikość i przypadek.

Niczego nie mógł zrozumieć, ale wyczuwając złożoność i tajemnicę, był przepełniony takim samym zdumieniem jak ten, który patrząc w gwiazdy, wierzy, że może pojąć tajemnicę nocy.

Wciąż siedział na brzegu łóżka. Dotty leżała tyłem do lampy z poduszką na głowie. Wallace wbił wzrok w blok papieru na krześle. Zmarszczył brwi i zaciskał usta, gdy przeczytał pierwsze zdanie, które sam napisał. To nie miało sensu. Zgniółł papier i wsadził go do kieszeni, po czym zaczął od początku, powoli i z trudem.

– Do diabła – wymruczał.

Z wysiłkiem poruszał ołówkiem. To przypominało lutowanie dwóch drutów. Wallace wiedział, co chce powiedzieć, ale połączenie między jego mózgiem a ręką nie działało, jak należy.

Godzinę później napisał w końcu:

NIE ZNA MIE PAN. ALE OTO PANA ZAGINIONA CURKA KTURE ODDAJE PO TYCH WSZYSKIH LATACH. TO NAPRAWDĘ PANA CURKA KTURE KOHAM I NIE HCIALEM SKSZYWDZIC.

NIE ZNAM PANA WIENC ZOSTAWMY WSZYSKO JAK JEST. NIE HCIALEM NIC ZŁEGO. TYLE ŻE NIE ZATSZYMAŁEM OSOBY KTURA NAPRAWDĘ JOM WZIEŁA.

Bolały go zaciśnięte na ołówku palce. Pod czapką na głowie zgromadził mu się pot. Bolała go głowa, w gardle czuł dziwny ucisk. Napisał jeszcze:

TO NIE JA JOM WZIOŁEM. JESTEM WINNY BO NIC NIE MUWIŁEM ALE CHCEM TO NAPRAWIĆ I JOM ODDAĆ I TO SAM I TO CHYBA SIE LICZY.

MAM NADZIEJE ŻE BENDZIE WAM DOBRZE, TO WASZA PRAWDZIWA CURKA WIENC BENDZIE DOBRZE BO TO DOBRA DZIEWCZYINKA. BARDZO JOM LUBIE, CZASEM NAWET KOHAM.

BENDEM WDIENCZNY JEŚLI NIE NAŚLECIE NAM MNIE GLIN BO

OBIECUJE ŻE NIGDY NIE ZROBIĘ NIC ZŁEGO A TAK WOGULE TO NIGDY NIE ZROBIŁEM.

PS. PSZEPRASZAM ZA KŁOPOTY. POWIEDZCIE JEJ ŻE BENDE TENSKNIŁ.

Wallace podniósł kartkę i przybliżył ją do zaczerwienionej twarzy.

– Coś takiego – wyszeptał ze zdumieniem.

To był pierwszy list, jaki kiedykolwiek napisał.

Wyłączył światło i stanął przy drzwiach. Dom naprzeciwko pogrążony był w ciemnościach. Wallace na palcach przeszedł po schodach do auta. Z jedną ręką na kierownicy i barkiem na ramie drzwi zaczął pchać. Samochód zaskrzypiał i wtedy Wallace naparł na niego z całych sił, naparł opierając głowę o ramię, pojękując cicho, aż w końcu auto zaczęło się toczyć. Pchał je tak aż przez dobry kilometr, a potem wrócił. Każdy jego krok zdawał się rozlegać głośnym echem w bezksiężycowej nocy.

Gdy stanął pod oknem, lekki wiatr unióśł nieco podarte prześcieradło, po czym wydał je, aż znów opadło na szybę. Wallace słyszał nierówne, lekkie pochrapywanie Canny.

– Canny! – wyszeptał, drapiąc palcami po szybie. – Canny, obudź się!

Przycisnął ucho do szyby i nasłuchiwał. Właśnie wtedy prześcieradło uniosło się i pies przytknął do szyby swój mokry pysk. Wallace opadł na kolana, a zwierzę warknęło.

Z pokoju rozległ się zaspany głos dziecka.

– Przestań! Niedobry piesek...

– Canny! – syknął. – Podnieś szybę. Szybko!

Gdy to robiła, utkwiał wzrok w szerokich plecach Hullera, który spał przy stole z głową wtuloną w ramiona.

Proszę zjechać na drugim zakręcie w lewo, na 495. Zobaczy pan znaki. Stonefield jest jakieś dwadzieścia kilometrów stąd – powiedział mężczyzna ze stacji benzynowej.

– Dokąd jedziemy? – spytała Canny, gdy Wallace wszedł do auta.

Popatrzył na nią.

– Muszę ci coś powiedzieć – zaczął. – Kiedyś, dawno temu, była sobie mała dziewczynka. Miała rok...

– Jak się nazywała? – przerwała Canny.

- Nieważne. Słuchaj mnie – powiedział. Nie mógł przypomnieć sobie imienia z artykułu, a nie chciał się zatrzymywać, żeby wyciągnąć go z buta i sprawdzić.
- Tak czy siak była mała i...
 - Wymyśl imię.
 - Co?
 - Lubię historyjki, gdzie wszyscy mają imiona – wyjaśniła.
 - Ale to nie historyjka, Canny. – Popatrzył na nią. – To historyjka, ale właściwie nie.
 - Ale powiedziałaś: „Dawno temu”.
 - Cholera, Canny, wszystko mi mieszasz. Rozumiesz, ona była malutka. Nie miała nawet dwóch latek, kiedy przyszła ta pani... Właściwie to jeszcze nie pani. Chyba raczej dziewczyna...
 - Gdzie mama? – ziewnęła Canny.
 - Śpi.
 - Wie, że pojechaliśmy?
 - Nie. Tak czy siak...
 - Jak to? – chciała wiedzieć Canny. – To niespodzianka? Tak jak wtedy, kiedy zabraliśmy wszystkie te puszki w środku nocy?
 - Tak. Tak czy siak....
 - Pamiętasz, tatusiu? – westchnęła. – Było ich chyba z tysiąc, nie?
 - No... dużo.
 - Mogę się położyć? – Znowu ziewnęła.
 - Pewnie – odparł, a ona oparła głowę na jego nodze. – Tak czy siak, to była tylko dziewczyna. W ciężarówce zaczęła łomotać rura wydechowa. I facet w ciężarówce powiedział: „Rura odpada”, a dziewczyna na to: „No i co?” I się śmieje. – On także się uśmiechnął. – Cały czas się śmiała. Śmiała się bez względu na wszystko.

Wallace zmarszczył brwi.

- Cholera, co było dalej? A no tak, rura. I facet mówi: „Rura odpada” Mówi jej, że nie ma ani grosza, że się zgubił i że jego żona nie ma pojęcia, gdzie jest... – Wallace westchnął ciężko. – Popatrzyłem na nią i powiedziałem: „Wracamy. Jak tylko zdrutują rurę”.

Jego oczy zalsniły nad kierownicą.

- No i pracuję nad rurą, a ona nagle wyskakuje z ciężarówki i biegnie ulicą, i powiedziałem do siebie: „Jedź! To twoja szansa”. No i wsiałem do wozu, ale zniknęły kluczyki. Zabrała je... Więc siedzę tam i się boję, myślę, co robić. Nagle widzę, jak ona biegnie, jakby ją gonili. No i ma to małe dziecko na rękach...

Podobało mu się brzmienie własnego głosu w ciemności. Kiedy opowiadał, wszystko stawało mu przed oczyma, jak gdyby to był właśnie tamten dzień.

– A następne, co pamiętam, to jak byliśmy za Waszyngtonem, stolicą, a ona już cię nauczyła mówić do nas mamó i tato. I dziewczyna powiedziała: „Jeszcze tylko dwa dni. Zatrzymajmy ją jeszcze na dwa dni”. Ciągłe jechaliśmy i minęły dwa dni, a ona przymilała się: „Jeszcze parę dni”.

A potem: „tydzień”. „Zgoda!” powiedziałem. „Tydzień. Dobra, miesiąc”.

I zanim się zorientowałem, ona uważała się za twoją prawdziwą mamę, a mnie zrobiła tatą, i ty też tak myślałaś.

Popatrzył na małą, po czym znów skierował spojrzenie na drogę.

– Potem przyszła zima i lato, i znowu zima, a my wciąż jechaliśmy. Zajmowaliśmy się tobą. Oczywiście, wtedy już mama zorientowała się, jak ciężko zadbać o małego dzieciaka. Wciąż chciała się dobrze zabawić, była taka młoda. Całe to jeżdżenie i strach zaczęły na nią działać, a ja chciałem najlepiej, jak mogłem, zajmując się tobą, żeby ona nie musiała, i nią też się zajmowałem. Wtedy już się bałem, że ona od nas ucieknie i co byśmy wtedy zrobili? Rozumiesz, co mówię, Canny? – Dotknął dłonią jej twarzy. – Canny? Śpisz, Canny? Nic nie słyszałaś?

Skręcił ostro na prawy pas. Znak drogowy głosił „Stonefield, następny zjazd”.

– Obudź się, Canny! Obudź się!

Na wschodzie czarne niebo przecięła błada wstęga srebrnej błyskawicy. Canny siedziała ponuro na siedzeniu obok kierowcy. Bez przerwy ziewała.

– To miało być w prawo – mruknął Wallace, znowu jadąc do centrum miasteczka. – I z głównej drogi skręciliśmy w prawo...

Teraz znów znaleźli się na głównej ulicy. Wallace zwolnił. Samochód toczył się powoli wzdłuż stacji benzynowej, poprzez oślepiające czerwone światła, obok poczty i pasażu drogich sklepów, po czym jeszcze raz skręcił.

– Zgubiliśmy się, tatusiu?

– Nie wiem – powiedział Wallace, zjeżdżając w wąską, ocienioną drzewami ulicę. – Może nie. W ciemnościach to wszystko wygląda inaczej. – Jego oczy się rozszerzyły. Po drugiej stronie ulicy, na rogu, stał ten sam biały dom, który zapamiętał. – To tutaj – rzekł i zahamował przy krawężniku.

– Jest za wcześnie, tatusiu! Nie możesz zbierać rzeczy, kiedy wszyscy śpią.

Wallace wyjął list z kieszeni. Canny ziewnęła i podrapała się obiema rękami po głowie.

– Nie rób tego. – Popatrzył na nią i oderwał jej rękę. – Chyba nie chcesz, żeby ludzie myśleli, że ciągle masz wszy.

Canny wysunęła szczękę.

– Może jeśli pomyślą, że mam wszy, to dadzą nam więcej rzeczy i szybciej wrócimy – roześmiała się.

– Posłuchaj mnie. Posłuchaj dobrze, Canny... – Ton głosu Wallace'a przerażał nawet jego samego. – Jesteś... Muszę... Widzisz, nie zawsze byłem... – Odwrócił wzrok i ponownie złożył list. – To jest ta ulica.

Otworzył drzwi samochodu i wysiadł.

– Chodź – powiedział, kiwając na nią ręką.

Patrząc na niego nieufnie, Canny ześliznęła się z fotela i stanęła przy aucie. Przyglądała się, jak Wallace wchodzi na chodnik.

– Chodź – wyszeptał, ale ona nie ruszyła się z miejsca.

Wallace zawrócił i wziął ją na rękę. Gdy wolno szedł ulicą, zarzuciła mu rękę na szyję.

– Widzisz ten wielki dom? – szepnął jej do ucha. – Ten z okrągłą werandą? Musisz tylko tam podejść i zadzwonić, a jeśli nie mają dzwonka, zapukasz do drzwi. Tylko pukaj głośno, bo mogą spać. – Jego kroki chrzęściły na chodniku. – Dasz im ten list.

Pochylił się, żeby postawić ją na ziemi. Nogi Canny były zaplątane wokół jego talii. Przycisnęła twarz do jego szyi.

– Nie – wymruczała.

Trzymała go za szyję tak mocno, że zakreśliło mu się w głowie i zatoczył się na gęste, ciemne krzewy. Wyciągnął rękę, aby się uwolnić.

– Puść! Cholera, Canny! Muszę to zrobić! Chcesz oberwać? No to oberwiesz! Puszczaj! Cholera! – krzyczał, aż w końcu rozdzielił jej splecione palce. Rozplatał jej nogi i postawił ją na chodniku. Słyszał za sobą szybkie plaskanie jej sandałów na asfalcie.

– Tatusiu! – krzyczała. – Nie zostawiaj mnie, tatusiu! Proszę... Będę grzeczna! Kocham cię, tatusiu! Kocham cię!

– Elizabeth? – rozległ się zaniepokojony głos z domu na rogu.

Canny zapisała z przerażenia i odwróciła się, tak jak Wallace, by ujrzeć starą kobietę o długich siwych włosach, która stała w oknie na pierwszym piętrze.

– Tatusiu! – wrzasnęła Canny i podbiegła do niego.

Przyciągnął ją do siebie i nakrył jej usta dłonią.

Kobieta uchyliła szybę w oknie.

– Elizabeth Bird! Co tu robisz tak wcześnie rano? Czy twoja mama wie... Och! – urwała kobieta, gdy pochyliła się i spojrzała w dół, na dziecko w ramionach Wallace'a. – Och nie, znowu?! – jęknęła.

Przez chwilę staruszka i Wallace patrzyli na siebie z ustami otwartymi w niemym przerażeniu.

Chcesz mnie zostawić – szlochała Canny. – Tak jak mówili.

Jej pierś wznosiła się i opadała. Dziewczynka siedziała blisko Wallace'a, trzymając go za ramię. Za każdym razem, gdy przyspieszał, stare auto prychało gwałtownie. Wallace prowadził ze wzrokiem utkwionym w lusterko. Spodziewał się, że w każdej chwili z ciemności może wyłonić się wóz policyjny.

– Cii – powtarzał tylko.

– Chcesz mnie zostawić. Ty i mama macie mnie dosyć. Nienawidzicie mnie. Wszyscy mnie nienawidzą – płakała, a jej drobne ramiona drżały przy każdym chlipnięciu.

– Cii: Szukaj telefonu. – Ledwo mógł mówić. Słowa więzły mu w gardle. Czuł, że język ma gruby i nieruchawy. Powinienem być ją zostawić, pomyślał. Powinienem być uciec.

– Nie zostawiaj mnie, tatusiu. Błagam cię! – chlipała, wtulając głowę pod jego ramię. Przywarła buzią do piersi Wallace'a. – Będę grzeczna. Będę tak grzeczna, jakby mnie wcale nie było.

Nie słyszał większości tego, co mówiła, ale dotyk jej ust na jego klatce był jak bicie dodatkowego serca.

Skręcił w prawo i znowu znaleźli się na głównej ulicy. Jaki był plan, powtarzał wciąż. W panice zupełnie zapomniał. Pamiętał jedynie, że miał odwieźć ją do jej domu. Skoro nie mógł jej tam dostarczyć, musiał zadzwonić do Birdów i powiedzieć im, gdzie ją znajdują. Zostawi ją w budce telefonicznej. Powie jej, że zaraz przyjdzie Dotty, że powinna czekać na Dotty. Da jej list. List! Zgarbił się na siedzeniu, gdy uświadomił sobie, że musiał go upuścić wtedy, gdy ta stara zawołała z okna. Nie pamiętał nawet, co było napisane w liście. Nie przypominał sobie ani jednego słowa.

Z oddali dał się słyszeć dźwięk syreny. Na pobliskim parkingu, wyglądającym jak czarne jezioro pomiędzy pralnią chemiczną a sklepem z damską odzieżą, stała budka telefoniczna. Wallace zahamował i zaparkował obok sklepu. W świetle ulicznych lamp smutne, chropowate twarze manekinów sprawiały wrażenie, jak gdyby ich obserwowały.

– Chodź – powiedział.

Otworzył drzwi i nie musiał jej nawet ciągnąć, tak mocno do niego przywarła.

– Gdzie chcesz dzwonić? – spytała. – Do mamy? Powiedz jej, że...

– Ciii – przerwał, przygarniając ją do siebie, żeby zamknąć drzwi od budki.

Wycie syren nasiliło się.

– Powiedz jej, żebyśmy wyjechali – syknęła Canny. – Powiedz jej, że w ciąży są rzeczy Ellie...

– Ciii! – Pogrzebał w kieszeni i wyciągnął stamtąd garść drobnych. Żadnych dziesiątek. Miał tylko pięciocentówkę, grosze i cztery ćwierćdolarówki. Wrzucił jedną z nich do otworu. Przeraziło go nagle brzęczenie w słuchawce. Nacisnął guzik wzywający telefonistkę.

Canny szarpała go za koszulę.

– Powiedz jej....

– Przestań! – przerwał. – Przestań...

– Halo, proszę podać numer – odezwała się telefonistka, a głowa Wallace'a gwałtownie podskoczyła.

Usiłował stanąć tyłem do Canny, ale ona odwróciła się razem z nim.

– Pan Bird – rzekł. – Louis.

Telefonistka spytała, do jakiego miasta dzwoni.

– Stonefield – odparł, ale nie mógł przypomnieć sobie nazwy ulicy.

– To taki duży, biały dom – powiedział do słuchawki. – Z dużą, okrągłą...

– Bardzo mi przykro, proszę pana – przerwała telefonistka. – Tego numeru nie ma w książce.

Na wzmiankę o dużym, białym domu Canny objęła go mocno w pasie. Wpatrywała się w niego z napięciem. Wallace ściszył głos i odwrócił głowę.

– Wiem – powiedział. – Dlatego go potrzebuję.

– Bardzo mi przykro, proszę pana, ale nie mogę go panu podać...

– Ale ja... – nagle zorientował się, że odłożyła słuchawkę. Ćwierć dolara zagrzechało w otworze na zwrócone monety.

– Kto to jest Bird, tatusiu? – Canny potrząsnęła jego ramieniem. – Dlaczego do kogoś takiego dzwonisz?

– Ciiii.

– Zadzwoń do mamy! Do kogo dzwonisz? Dzwonisz do mamy? – dopytywała się, gdy wrzucił monetę do otworu i wcisnął przycisk.

– Halo – rzekł, gdy odezwała się telefonistka. – Muszę zadzwonić do Atkinson w stanie Vermont, ale mam tylko parę ćwierćdolarówek.

Przyjrzał się uważnie drobnym w swojej ręce. Canny także na nie popatrzyła.

– Siedemdziesiąt pięć... Osiemdziesiąt sześć centów – policzyła, wskazując na każdą monetę.

– Osiemdziesiąt sześć centów – powtórzył telefonistce. – Dobrze – powiedział, wysłuchawszy jej wyjaśnień. – Ale nie wiem, czy ona zapłaci. Minęło sporo czasu. Ona... Chodzi o Hyacinth Wallace – rzekł, a kiedy podawał kobiecie swój stary numer, poczuł się słabo. Kolana miał jak z waty. Ziemia zdawała usuwać się mu spod nóg. – Mówi Aubrey Wallace – podał, po czym zamknął oczy i pochylił się, gdy usłyszał dzwonek.

– Tatusiu... – Canny wciąż chwytła go za ramię.

– Halo? – rozległ się odległy głos, zbyt odległy, by wydawał się rzeczywisty.

Będzie wiedziała, co robić, pomyślał, podczas gdy telefonistka pytała ją, czy zapłaci za rozmowę. Na linii wystąpiły zakłócenia, trzeszczały mu w uchu jak wyładowania elektryczne, jak błyskawice. Może tam jest burza, pomyślał. Telefonistka powtórzyła pytanie.

– Aubrey Wallace już tu nie mieszka – odpowiedział głos. Wiedział, że należał do Hyacinth.

Gdzieś w tle dał się słyszeć głos mężczyzny, niski i przytłumiony, jakby spod kołdry, spod poduszki, prosto ze snu. Początkowo Wallace uznał, że nastąpiło przeciążenie, że omyłkowo połączyły się dwie linie. Wtedy zaskrzyphiało ich stare łóżko. Słyszał je tak wyraźnie, jak gdyby był w tym pokoju, w tym ponurym, kwadratowym pokoju.

– Ani pani Wallace. Mówi Hyacinth Farnham. Żona Henry'ego T.J.P. Farnhama – obwieściła dumnie.

– Tatusiu! To... – zasyczała nagle Canny.

– Cholera! – wyszeptał.

Dlaczego Hyacinth tak powiedziała? Nie mógł tego zrozumieć.

– Tatusiu! – Canny szarpała go za ramię.

– Przykro mi, proszę pana – mówiła tymczasem telefonistka. – Zechce pan...

Klik! Nagle połączenie się przerwało. To była *ta* ręka, to porośnięte żółtawymi włosami przedramię, które przemknęło obok jego twarzy i nacisnęło widełki, po czym wyjęło mu słuchawkę z dłoni, a to wszystko bez słowa, bez jednego dźwięku. Pistolet Hullera zmusił Wallace'a, żeby wyszedł z budki i pomaszerował do samochodu.

Za sobą Wallace słyszał odległy głosik Canny, przerażony i wciąż pytający Dotty, co się stało.

– Co się dzieje? Mamusiu, masz taką pobitą buzię... taką poranioną...

– Ty skurwysynu! – warknął Huller i co chwila dźgał Wallace'a lufą pistoletu w żebra. – Ty głupi skurwysynu...

Gdy znaleźli się przy samochodzie, Huller otworzył drzwi. Wierchem dłoni uderzył Wallace'a w głowę i wepchnął go do auta, na siedzenie kierowcy.

– Niczego nie rób. Nawet o tym nie myśl – parsknął, a Dotty usiadła obok Wallace'a.

Jej twarz była pobita, spuchnięta i wykrzywiona. Czerwone szparki oczu wyglądały jak zakrwawione rany, koniuszek nosa wydawał się przekrzywiony, a usta były ciemne i bardzo opuchnięte. To była twarz trupa, kogoś, kto nie żył od wielu dni, obrzękła i brzydka, wykrzywiona i falująca w świetle mijanych latarni, niczym twarz topielca pływającego do góry brzuchem. Dziewczyna nie odzywała się ani słowem.

– Ona jedzie ze mną – powiedział Huller przez okno. – Pamiętaj o tym. Mam dzieciaka i broń.

Byli już w połowie drogi, zanim Wallace się odezwał.

– Chciałem zadzwonić do domu – powiedział. Bolała go głowa, a w piersi czuł pulsowanie. Nie ośmielił się wspomnieć jej o tym, że zaprowadził Canny na ulicę, przy której stał dom Birdów. – Chciałem jej powiedzieć, że wracam do domu. Chciałem zabrać Canny i wrócić do domu. Wszystko napisałem.

Nic nie odpowiedziała. W ciemnościach potarła zapalką o pudełko i zapaliła papierosa, którego trzymała w nierozetniętym kąciku ust.

– Napisałem im, co się stało... Że to nie było specjalnie, że...

– Zamknij się – powiedziała bezbarwnie, prawie nie ruszając szczęką. – Po prostu się zamknij.

– Powiedział, że ją zastrzeli. Powiedział, że to zrobi! – Wallace poczuł nagle przyływ złości. – Słyszałem, jak to mówił!

– Nie zrobi tego – odparła.

– I każe mnie aresztować – ciągnął Wallace. – Każe...

– Nie – powtórzyła tym samym bezbarwnym, płaskim głosem, który dochodził jakby z ciemności, zza muru. – Teraz wszystko się zmieniło.

A więc nadal jej nie zależy, pomyślał. Liczy się tylko ona i on.

W spokojnych ciemnościach dom wydawał się wysoki i bezdeny, niczym olbrzymia płyta nagrobkowa. W oknie na górze zapaliło się światło, lecz zaraz potem zgasło. Huller zahamował i zaparkował w poprzek, żeby zablokować wyjazd. Wysiadł z auta, otworzył drzwi po stronie Canny i wyciągnął do niej ramiona. Mała wyskoczyła z pikapa i ignorując Hullera, ruszyła w stronę wozu Wallace'a. Huller złapał ją za ramię, obrócił i poprowadził do domu. Kiedy otworzył drzwi, żeby wepchnąć ją do środka, na werandę wyskoczył pies. Skowycząc radośnie, przykucnął przy stopach Hullera. Piszcząc i ocierał się o nogi pana, podczas gdy Huller stał przy otwartym oknie, tłumacząc Dotty, że teraz ona musi się zająć całą sprawą.

Dziewczyna patrzyła prosto przed siebie, a jej zniekształcona twarz z profilu dziwnie przypominała oblicze Almy.

– Za kilka godzin będzie już po wszystkim – mówił Huller. – Musisz się trzymać. – Wyciągnął rękę i ujął Dotty za brodę. – Paskudnie się czuję... zrobiłem ci krzywdę...

Pokiwała głową niemal niezauważalnym ruchem, niczym w transie.

– Ze wszystkich ludzi... Po tym, co zrobiłaś... Chryste! – powtarzał, przemawiając do niej niskim, łagodnym głosem.

– Potrzebuję czegoś – odezwała się.

– Żadnych prochów. Zostało tylko parę godzin. Musisz być przytomna – odparł.

– Pistoletu. – Mówienie przychodziło jej z trudem. – Boję się. – Machnęła ręką w kierunku Wallace'a. – Chcę pistolet...

Huller popatrzył na Wallace'a. Opuścił rękę i otworzył drzwi.

– Wejdz – powiedział do Dotty, nie spuszczając wzroku z Wallace'a. – Wejdz do środka. Ja...

– Nie! – rzekła, usiłując się cofnąć. – Nie o to mi chodziło!

Huller przytrzymał drzwi. Pies wahał i rył pazurami ziemię obok nóg swego pana.

– Nieważne – powiedział Huller. – O to czy nie o to. Wszystko mi jedno.

– Jestem zmęczona – powiedziała. – Z nim też wszystko załatwię. Tylko się prześpię.

– Dawaj kluczyki – zażądał Huller i wyciągnął po nią rękę. Potem podszedł do auta od strony Wallace'a i otworzył drzwi.

– Wychodź! – rzucił. – Wychodź, mały.

Wyciągnął Wallace'a z wozu i przygniół go do drzwi. Pies parsknął i skoczył

do nóg Wallace'a. Warcząc, ugryzł go lekko w nogawkę.

Wallace oparł się bezwładnie o samochód. Nie bał się psa. Nie bał się Hullera. Nagle poczuł się bardzo zmęczony.

Huller wybuchnął śmiechem. Odwrócił się i poszedł do pikapa, po czym wyjął z niego zwój liny. Rozwinął ją i wciąż chichocząc, kazał Wallace'owi odwrócić się twarzą do samochodu i założyć ręce za plecy. Podczas gdy pies warczał i podgryzał Wallace'a, Huller zawiązał koniec liny wokół przegubów mężczyzny; drugi koniec omotał wokół skurczonej i sztywnej obroży psa tak, że długość liny między człowiekiem a zwierzęciem nie wynosiła nawet pół metra.

– Teraz nie będziesz miał już żadnych problemów – zaśmiał się Huller.

Gdy pies wił się i walczył, by uwolnić się ze sznura, ciągnął za sobą Wallace'a, który włókł się za nim z przygiętymi kolanami i wykrzywionymi plecami.

– Biedny, stary Rudy – śmiał się Huller, lecz nagle jego twarz spoważniała. Pochylił się nad psem i podrapał go po głowie. – Biedny dureń.

Powinienem obu ukrócić cierpień – dodał ze smutkiem w głosie.

19.

Ciemność nie przeszkadzała, bo i tak Dotty ledwie widziała przez opuchnięte powieki. To jej ręce, drżące i słabe, tak długo rozplątywały linę. Uwolniony pies natychmiast przywarował przy drzwiach z pyskiem opartym na łapach.

Wallace czuł, że zwierzę przygląda mu się w ciemnościach. Dotty siedziała na swoim łóżku niczym popsuta lalka. Wallace przycupnął na posłaniu obok. Był tak senny, że od czasu do czasu opadała mu głowa. Na zewnątrz ucichło cykanie świerszczy.

– Muszę się przespać – powiedziała z rozpaczą w głosie Dotty. – Po prostu muszę.

– Już prawie ranek – odparł Wallace, patrząc niespokojnie na jaśniejące niebo, na którym pozostała zaledwie cienka smuga ciemności.

Gdy usiłował przełknąć ślinę, bolało go gardło. Wiedział, że Dotty zaraz pójdzie do domu obok. Po chwili drzwi się otworzą i stanie w nich Huller, i tym swoim surowym głosem, którego używał w stosunku do psa, każe Wallace'owi się odwrócić, i wtedy Wallace poczuje na skroni zimny i twardy metal, a kula wejdzie

w to miękkie, pozbawione kości zagłębienie, którego nigdy nie dotykał z obawy o to, że uszkodzi mózg, uszkodzi go jeszcze bardziej niż, jak mówili lekarze, uszkodził się przy narodzinach Wallace'a.

Odpywał w drzemkę, gdy poczuł, że Dotty siada obok niego na łóżku. Przerzuciła sobie jego rękę przez barki.

– Żałuję, że nie umarłam – jęknęła mu w szyję. – Nie ma wyjścia. Nic już nie zostało, nie ma gdzie uciec.

– Hyacinth wyszła za mąż – powiedział nieoczekiwanie z nutą zdziwienia w głosie, jak gdyby dopiero to do niego dotarło i wreszcie zrozumiał. – Nigdy o tym nie pomyślałem, o tym, że mogłaby znaleźć męża.

– Skąd wiesz, że znalazła? – zapytała, a szloch uwiązał jej w gardle.

– Powiedziała mi – odparł. – Przez telefon. Powiedziała, że nazywa się pani Hyacinth T.J.P. Farnham.

– I co ty na to? – wyprostowała się i wydmuchała nos w róg prześcieradła.

– Nic. Nie mogłem nic wymyślić.

Dotty wstała i podeszła do drzwi. Pies skulił się i położył między łóżkami. Dziewczyna wpatrywała się w dom. Zapaliła papierosa, zaciągnęła się szybko kilka razy, po czym rzuciła go na ziemię i przydeptała bosą stopą. W jej piersi narastał głęboki szloch, który wydobył się z niej w formie cichego jęku. Popchnęła drzwi, po czym przytrzymała je tak, żeby nie trzasnęły.

Wallace zwiesił głowę. Zamknął oczy i znowu niemal zasnął. Miał całkiem zdrętwiałe ręce i nogi niczym metalowe pręty, nieustępliwe i zimne jak jego dawna obręcz. Wydawało mu się, że przestaje oddychać, i pomyślał, że już od dłuższego czasu śpi i śni. Przez cały ten czas spałem, mówił jego głos. Wszystko przespałem. Canny zniknęła i Dotty zniknęła, i Hyacinth zniknęła, i obaj chłopcy. Wszyscy zniknęli. I ty też, powtarzał głos. Ty też... zniknąłeś...

BUMBUMBUMBUMBUMBUMBUMBUM

Pomyślał, że to uderzenia jego serca brzmią niczym głuche wybuchy. Ale to nie było jego serce, bo i ono zniknęło. Oto otwierał klejące się oczy na jasne smugi porannego światła, które migotało pośród powykręcanych drzew.

Na podłodze obok pies podniósł nagle głowę i zawył.

– Ja tylko wstaję – obwieścił Wallace i ostrożnie uniósł nogę. – Nic więcej – powiedział i wyciągnął rękę w pojednawczym geście. – Naprawdę tylko wstaję.

Z miejsca, w którym siedział, Wallace'owi zdawało się, że widzi błysk pomarańczowego światła wśród szybko przemieszczających się cieni poranka. Pies także to ujrzał. Cofnął się, po czym zesztyniał, niczym potężna, znieruchomiła energia. Jego naprężone uda przygotowywały się do skoku, a krzyż drżał i dygotał.

Właśnie wtedy drzwi otworzyły się, a pies wypadł na zewnątrz, przebiegając obok Dotty, która wbiegła do domku wraz z Canny. Dziewczynka miała na sobie to samo ubranie, co w nocy. Jej włosy zwisały w strąkach, a zmęczone i zamglone oczy mrugały intensywnie.

– Mamo – powtarzała, usiłując skupić na sobie uwagę Dotty. – Mamo...

– Masz! – Dotty rzuciła mu kluczyki od samochodu. – Nie mogłam znaleźć jego kluczyków, cholera. Będziesz musiał ominąć jego wóz.

Wbiegła do łazienki i wyszła z niej z kosmetykami grzechoczącymi w wypłowiałej torbie.

Nawet gdy na chwilę przystanęła, wciąż sprawiała wrażenie, jak gdyby nie przestawała się kręcić. Wszystkie te nieskoordynowane ruchy były w jej głosie. Zdawała się tryskać energią, nawet jej kręcone włosy nią emanowały. Czuć było od niej lekki zapach spalenizny.

Pies na podwórzu wciąż czekał.

– Chodź – powiedziała. – Jedziemy! Jedziemy! Chryste Panie, nie ma czasu...

– Mamo! – Canny złapała ją za ramię. – Co to był za hałas? Oni...

– Cholera! Potrzebuję butów! – wrzasnęła Dotty. – Znajdź jakieś!

Wallace złapał błyszczące, czerwone buty na obcasach i postawił je obok dziewczyny.

– Weź je! Weź je! – rzekła, więc przycisnęła je do piersi.

– Co się stało? Powiedz mi! – błagała Canny.

– Nic! Idź już! – Dotty popchnęła ją lekko. – Chcesz, żeby zabili tatusia? Chcesz, żeby zginął? Ruszaj się! Byle szybko!

Przytrzymała drzwi, przez które przebiegła Canny, a za nią Wallace. Właśnie wtedy ujrzał przyciśnięty do szyby pistolet, wyglądający jak przedłużenie ręki Dotty, jak długi błyszczący palec, który okazał się lufą Hullera.

Pies biegał jak szalony wokół domu, po czym wspiał się po schodkach na werandzie do drzwi i rzucił się na nie, wyjąc jak zdychające stworzenie.

W samochodzie Dotty śmiała się cicho i nerwowo. Światło pośród drzew drażniło oczy, było tak jaskrawe, że Wallace musiał odwracać wzrok.

Silnik zaskoczył od razu. Wallace był zdumiony, że Huller nie wyjął akumulatora. Wycofał się i skręcił, po czym podjechał do końca podjazdu, który blokowała wielka furgonetka Hullera. Wallace wciąż zerkał w lusterko, spodziewając się, że lada chwila Huller ruszy za nimi w pościg.

– Jedź z drugiej strony – Dotty wychyliła się do przodu. – Jedź tamtędy! – wrzasnęła.

Tak zrobił i skręcił samochodem w kierunku lasów, za którymi była droga. Liściaste gałęzie i ostre szpilki uderzały o przednią szybę i przez otwarte okno obijały się o twarz Wallace'a.

– Cholera... cholera – mamrotał i krzywił się, prowadząc prawą ręką, podczas gdy lewą starał się chronić oczy.

– Tu! – wykrzyknęła Dotty i wyciągnęła rękę. – Skręć w lewo! Tam jest droga!

W chwili, gdy samochód wyłonił się z lasu i wjechał w płytki rów wzdłuż drogi, ziemią wstrząsnęła potężna eksplozja.

– Tatusiu! – krzyknęła Canny.

Początkowo pomyślał, że to kamień uderzył w podwozie. Gdy jednak samochód wytoczył się na drogę, rycząc znajomo, a wybuch się powtórzył, Wallace zerknął w lusterko i ujrzał kłęby gęstego, czarnego dymu nad wierzchołkami drzew. Biedne dziewczynki, pomyślał. Nie mógł przestać tak myśleć. Biedne, naprawdę biedne dziewczynki...

– Tatusiu – mruknęła Canny, lecz kiedy zerknął na nią w lusterku, nic nie powiedziała.

Dotty ściągnęła osłonkę przeciwsłoneczną. Zniszczone zdjęcie księżycowego spaceru wisiało na jednej tylko pinezce. Usiłowała je poprawić, lecz wciąż się zsuwało. Nagle zerwała je gwałtownie, podarła i wyrzuciła przez okno.

Wyraz jej twarzy nie zmienił się ani na jotę. Oczy Dotty wciąż były pełne tej jaskrawej, pulsującej światłości, a usta drżały od dziwnej, nieruchomej energii, która niemal iskrzyła się w porannym powietrzu. Tylko głos był inny, głęboki i głuchy, jak gdyby wydobywał się nie z ciała czy więzadeł, nawet nie z kości, a z kamienia.

– A teraz wyjeżdż na główną drogę – poleciała Wallace'owi.

Nigdy wcześniej tam nie skręcał.

– O tutaj, zjedź! – wskazała na zabitą deskami stację benzynową.

Kazała mu zjechać za stację i zaparkować tuż obok budynku.

– Daj proszek – zażądała. – Chryste Panie... Chryste Panie... – jęczała, rozglądając się wokół stosów zużytych opon i wypełnionych wodą zardzewiałych puszek po oleju. Wallace pogrzebał w kieszeni i wyciągnął owiniętą w celofan pigułkę, którą dał mu Huller.

Dotty chwyciła papierek i uklękła na krześle, twarzą do Canny.

– Nie, jest mi niedobrze – rzekła Canny na widok proszka.

– Dopiero będzie, jeśli tego nie weźmiesz – ostrzegła ją Dotty, wpychając pigułkę w zaciśnięte usta dziecka.

– Nie! – Canny opadła do tyłu.

Aby ją osiągnąć, Dotty musiała przechylić się przez oparcie. Zakłęła i uniosła rękę, po czym uderzyła dziewczynkę w twarz.

– Chodź no tu, ty bachorze – mruknęła, chwytając małą za włosy i ciągnąc ku sobie.

Canny jęknęła i zaczęła płakać.

– Trzeba pokruszyć – powiedział szybko Wallace. – Ona łyka tylko pokruszone.

– Nie teraz! – wrzasnęła Dotty, usiłując przepchnąć żółtą tabletkę przez usta Canny. – Otwieraj, ty cholerna... przekłeta...

– Daj. – Wallace wziął od niej proszek. Zanim się zorientowała, przełamał go na pół i włożył jedną z połówek w usta Canny. – Połknij. – Popatrzył na nią błagalnie.

Dziewczynka przełknęła, a jej oczy napełniły się łzami. Wallace zerknął na drugą połówkę w swojej dłoni. Pigułka była olbrzymia.

– Nie szkodzi dzieciom?

– Nie zaczynaj – ostrzegła go Dotty. – Daj jej to. Szybko!

Przekreślił się na siedzeniu.

– Masz – powiedział, a kiedy Canny otworzyła usta, mrugnął do niej i udał, że daje jej drugą połówkę.

Dotty zerknęła przez ramię.

– Połknij – rzekł Wallace, a Canny głośno przełknęła ślinę.

– Teraz się połóż – zażądała Dotty. – Zamknij oczy i lada chwila całe to gówno okaże się złym snem.

Wallace uruchomił silnik i wjechał na drogę. Dotty powiedziała mu, żeby zatrzymał się przy pierwszej budce telefonicznej, którą ujrzy.

– Nie potrzebuję go – mamrotała z głową na siedzeniu. Miała zamknięte oczy. – Nikogo nie potrzebuję.

Łzy ściekały spod jej powiek na policzki, tak posiniaczone, że skóra na nich była niemal czarna. W końcu jednak otworzyła oczy i popatrzyła na Wallace'a.

– Co jest ze mną nie tak, Aubie? – wyszeptwała. – Co jest, kurwa, nie tak? Tylko krzywdzę ludzi.

Wallace myślał nad tym przez chwilę.

– Jesteś zła – powiedział w końcu, kiwając głową, jak gdyby wypompowywał z niej myśli. – Ale jesteś też dobra. Tyle że twoja zła część jest... jest silniejsza niż ta dobra.

– O, jest! – krzyknęła Dotty, wskazując budkę na parkingu przy włoskiej restauracji.

Obserwował ją z samochodu. Pochyliła się nad telefonem, po czym nagle wyprostowała się gwałtownie, przebijając rękami w powietrzu.

Z tyłu auta Canny skuliła się w kącie. Głowa opadła jej na pierś i kołysała się lekko, jak gdyby dziewczynka jeszcze nie zapadła w głęboki sen. Wallace znowu spojrzął na Dotty. Właśnie rozmawiała z Birdami. Pewnie zastanawiali się, ile zapłacić. Ubiegłej nocy za bardzo się przestraszył. Dzisiaj zrobi to, jak trzeba.

Nagle pomyślał o Krystal i Kelly, i ogarnęły go mdłości. Na moment przed oczami stanęły mu ich nieładne, okrągłe twarzyczki. Mrugał i mrugał, aż wreszcie mógł dojrzeć coś poza nimi, mógł dojrzeć Dotty przez zalaną słońcem, brudną szybę budki – nie Dotty, ale szarą plamę, cień.

Ona nie ma racji, pomyślał, powoli unosząc dłonie, jedną do kierownicy, a drugą do stacyjki. On też nie powiedział prawdy. Nie była częściowo dobra i częściowo zła – nie, jeśli to zrobiła; jeśli zastrzeliła dwie dziewczynki, obie młodsze od Canny – jeśli to zrobiła. Może nie. Może to przelatowały samoloty ponaddzwiękowe, i to one narobiły tyle dymu. Wallace odetchnął głęboko. Biedne dziewczynki, pomyślał znowu. Biedna, tłusta Alma. Jego dłonie zacisnęły się na kluczykach. Już! zażądał mózg. Już! Jedź! Zostaw ją i jedź!

Ale ona zostanie całkiem sama, pomyślał, przyglądając się, jak Dotty wychodzi z budki telefonicznej. Szła boso po żwirze, ze skrzyżowanymi ramionami i pistoletem zwisającym spod pachy.

– Będą czekać na mój następny telefon – powiedziała, gdy wsiadła do samochodu. – Pieniądze są już przygotowane. – Popatrzyła na niego. – To na cmentarzu, Aubie, więc nie chcę, żebyś histeryzował, słyszysz?

Wallace przytaknął.

– Musisz to zrobić – dodała po chwili. – Nie wolno ci tego spieprzyć, Aubie.

Objęła się ramionami i niemal zauważalnie zadrżała. Wallace był za to cały mokry. Pot spływał mu ze skroni i nasady nosa i zbierał się pod oczami.

– Najpierw musimy pojechać do lasku. – Cała się trzęsła, a mapa w jej dłoni trzepotała. – Tam ją zostawimy, pojedziemy po pieniądze, zadzwonimy do nich i powiemy im, gdzie ją znajdują.

Pochyliła się i oparła czoło o deskę rozdzielczą.

– Chyba będę rzygać – jęknęła.

W czasie jazdy Wallace przez cały czas mrugał powiekami. Ledwo widział przez ten pot. Wydawało mu się, że samochód nigdy jeszcze nie jechał tak sprawnie. Silnik pracował niemal bezgłośnie. Jeśli w jezdni były dziury, opony najwyraźniej nad nimi przelatowały.

Powiedziała, żeby skręcił, więc skręcił... w lewo... w prawo... w prawo... w lewo. Raz powiedziała, hamuj, zatrzymaj się, szybko, zaraz zwymiotuję. Posłuchał jej. Otworzyła drzwi i ze skrzyżowanymi nogami wychyliła się nad jezdnię. Słyszał, jak jej wymiociny rozpryskują się na asfalcie. Czuł je, widział, jak drgają jej ramiona i słyszał, jak pod koniec Dotty spazmatycznie łapie powietrze.

W końcu opadła na siedzenie, blada i wyczerpana. Powiedziała, że już lepiej się czuje.

– Wjedź na autostradę – zażądała. – Przed nami jest droga.

Wjechał na autostradę. Mijał domy farmerów i sad z jabłoniąmi, a w końcu w oddali ukazały się fabryczne kominy, wyglądające niczym paliki u zniszczonego płotu. Nagle autostrada przemieniła się z trzypasmowej w dwupasmową. To jego pas zniknął, więc Wallace nie miał dokąd jechać, dopóki gwałtownie nie szarpnął kierownicą. Dookoła rozległo się trąbienie klaksonów i pisk hamulców. Canny spała tak głęboko, że nie obudziły jej żadne dźwięki.

Wkrótce zjechali z autostrady na szeroką drogę okoloną z obu stron gęstymi sosnami. Nie było tu żadnych domów. Lasy ciągnęły się całymi kilometrami.

– Tam.

Pokazała na stojący po prawej stronie znak z czarnym napisem „LAS MIEJSKI W STONEFIELD”.

Wallace skręcił w wąską ścieżkę i przejechał powoli obok zaśmieconego puszkami po piwie i potłuczonymi butelkami parkingu.

– Jedź – powiedziała – aż dojedziesz do rozwidlenia. – Ponownie spojrzła na mapę, a potem na Canny. – Lepiej żeby się nie obudziła. Tam! Teraz po prawej – zjedź z drogi. Cały czas przed siebie.

Wkrótce droga zamieniła się w dwie pełne dziur i porośnięte chwastami ścieżki. Kiedy Wallace jechał powyżej dwudziestu kilometrów na godzinę, oś wozu zahaczała o wystające kamienie.

Dotty upierała się, że gdzieś tu stoi chata, którą pokazywał jej Jiggy.

– Jedź przed siebie. Jest głębiej – mówiła. – Mówił, że nikt tędy nie chodzi.

Po kilku kilometrach droga zwężiła się jeszcze bardziej. W niektórych miejscach cierniste winorośle uderzały o dach i zamknięte okna. Dotty cały czas zerkała na mapę na swoich kolanach, na miejsce, w którym trzymała palec. Pistolet pod mapą utworzył lekkie wzniesienie.

– Dokąd pojedziemy potem? – zapytał Wallace.

– Potem? Po czym?

– Po pieniądzach. Kiedy ją zabiorą – odparł z trudem.

– Jeszcze nie wiem.

– Ciągle chcesz jechać do Hollywood?

Dotty nic nie odpowiedziała.

– Ciągle chcesz jechać do Hollywood?– spytał ponownie, przekrzykując motor.

Spojrzła na niego i zaśmiała się nagle, i wtedy po raz pierwszy ujrzał, że ma wybitą jedynkę. Czarna dziura przyprawiała go o mdłości. Znowu popatrzył na drogę, na wałącą się, powykrzywianą chałupę przed nimi.

Zjechał na świeżo wyrąbaną polanę za chatą. Drzwi zrobiono z trzech zbitych deskami płyt, ktoś zamocował też nowy, błyszczący skobel. Wallace otworzył drzwi i zajrzał do środka. Wnętrze przypominało ciasną, ciemną, duszną skrzynię. W rogach pomieszczenia połyskiwały pajęczyny. Odór zimnego, wilgotnego kurzu sprawił, że Wallace zadrzał. Będzie się bała, pomyślał. Mógł sobie wyobrazić, jak Canny siada nagle w tych strasznych ciemnościach i zaczyna krzyczeć, myśląc, że to jakiś senny koszmar, myśląc, że Wallace lada chwila tu przyjdzie. A jeśli coś pójdzie nie tak? A jeśli nigdy po nią nie przyjadą? Nikt by jej nawet nie usłyszał...

Z auta Dotty krzyczała coś do niego.

– Rusza się – usłyszał. – Szybciej! Zanieś ją tam, zanim się obudzi.

Powieki leżącej na tylnym siedzeniu Canny zatrzepotały. Mała usiłowała podnieść głowę, ale tylko wywróciła oczami i opadła bezwładnie z powrotem.

- Canny? – Wallace wetknął głowę do auta.
- Gdzie moja...? – reszta słów utonęła w niewyraźnym bełkocie.

Wallace uniósł głowę dziewczynki i zbliżył jej twarz do swojej. Popatrzyła na niebo i uśmiechnęła się leniwym, obślinionym uśmiechem, po czym jej tęczołki poleciały do góry, jak gdyby utonęły gdzieś w głowie.

- Canny? – Potrząsnął nią mocno.
- Wyciągnij ją! – powiedziała Doty. – Po prostu ją wyciągnij.
- Budzi się, ale nie kontaktuje! – odparł przerażonym głosem.
- No to zanieś ją tam, zanim się obudzi! Wyciągnij ją! Wyciągnij!

Wallace podniósł dziecko. Z łatwością dźwignął ten mały, bezwładny szkielecik, jak gdyby zrobiony z powietrza, z suchych gałązek i powietrza. Cofnął się o krok, po czym przystanął na moment, a Doty wręczyła mu przez okno kłódkę.

- Pośpiesz się – zawołała. – Połóż ją tam, cholera, i zamknij!

Tak też zrobił. Wszedł w wilgotny mrok, po czym pochylił się i położył dziecko na brudnej podłodze, sprawdzając po omacku, czy nie ma tam jakichś kamieni albo gałązek, które mogłyby ją zranić. Kiedy pochylił się, by pocałować dziewczynkę, jego palce natrafiły na lepką pajęczynę.

- Tatusiu – mruknęła Canny.

Poczuł ruch powietrza, gdy wyciągnęła do niego rękę. Wstał szybko i zamknął za sobą drzwi.

- Zamykaj! – krzyknęła Doty. – Załóż kłódkę!

Wallace przełożył kłódkę przez skobel.

- Zamykaj!

– Tatusiu! – dobiegł go cieni, przytłumiony głosik Canny. – Boli mnie głowa...

- Obudziła się! – zawołał do Doty.

- Czuję coś dziwnego w ustach – skarżyła się Canny.

– Ona źle się czuje – krzyknął. Obie dłonie trzymał na wciąż otwartej kłódce.

– Będę wymiotować – jęknęła dziewczynka. – Tatusiu? Tatusiu, pomóż mi...

- Zamykaj, cholera jasna!

Zgarbił się i wbił wzrok w miękki zielony mech porastający próg chaty.

- Nie mogę się podnieść... Tatusiu... och....

Kiedy otworzył drzwi, klęczała i na oślep wyciągała przed siebie ręce. Na jej twarzy widniały ślady brudnych palców.

– Niedobrze się czuję – powiedziała słabym głosem i zmrużyła oczy. – Dlaczego tu jestem? Co zrobiłam źle?

– Odpoczywaj – wyszeptał jej do ucha, gdy niósł ją do auta. – Odpoczywaj...

– Odnieś ją! – wydarła się Dotty, otwierając drzwi. – Powiedziałam, odnieś ją, ty głupi...

Dopiero gdy położył Canny na siedzeniu i się cofnął, ujrzał wycelowaną w siebie lufę pistoletu.

– Jest chora – rzekł. – Przestraszyła się.

– Wyciągnij ją stąd, sukinsynu, i zanieś do chaty. – Obiema rękami objęła pistolet.

Popatrzył na broń, a potem przeniósł wzrok na Dotty.

– Zabierzemy ją ze sobą – powiedział. – I potem zadzwonimy.

– Nie możemy! Złapią nas, jak ją zobaczą!

– Ukryjemy ją – zapewnił. – Jak poprzednio – pod kocem czy jakoś tak.

– Nie! Słuchaj mnie...

Ale on już siedział w samochodzie i włączał silnik.

– Aubie! Posłuchaj mnie. Nie jest tak jak przedtem. Zaraz będzie po wszystkim.

Przez chwilę siedziała nieruchomo i płakała, lecz nagle zamachnęła się i uderzyła go w bok głowy. Klnąc, tłukła go pięściami, gdy zjeżdżał po wąskiej drodze. Po pewnym czasie zakrzuszyła się i opadła na Wallace'a, opierając głowę na jego ramieniu.

– Zabiją nas... wszystkich... zastrzelą... – szlochała.

Wallace spojrzał na nią.

– Zabiłaś te dziewczynki, Dotty? – spytał.

Gwałtownie uniosła głowę i przez chwilę wyglądała tak, jak gdyby usiłowała ukryć uśmiech.

– On to zrobił – odparła, rozcierając ramię. – Chodził od jednego łóżka do drugiego. Wszystkie spały. A potem ruszył do Canny. – Ściszyła głos. – Wtedy złapałam za pistolet. Walczyliśmy o niego, a on wciąż mnie odpychał... O, tak. – Pokazała mu, wyciągając dłoń. – No i nagle usłyszałam, jak pistolet wypalił, a Jig tylko zaświszczał, jak gdyby uchodziło z niego powietrze. Psssss – wysyczała, a jej ręka powoli opadła. – Jak klapnięty balon.

Łzy ciekły po jej twarzy, ale wciąż się uśmiechała. Wallace jechał przed siebie.

Czuł, jak pocał mu się ręce na kierownicy. Dotty kłamała. Zabiła całą tę rodzinę. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że ich zabiła, jedno po drugim, a potem podpaliła dom. Świadomość okropności tego czynu wzbierała w nim niczym mdłości, a jego puls zdawał się słabnąć. Powietrze jakby się przeredziło i Wallace miał teraz kłopoty z oddychaniem.

Cały czas szlochała – głos uwiązał jej w gardle, więc potrząsnęła głową i zaczęła gwałtownie sapać. Bał się na nią zerknąć i ujrzeć, że się śmieje. Jej głos drżał w ten sam zimny, rozwibrowany sposób jak w dniu, w którym się po raz pierwszy spotkali, wtedy, gdy wepchnęła go do rzeki. Nagle zrozumiał, że usiłowała go zabić. A może się jej udało, pomyślał.

Może i tak. Może przez cały ten czas nie żył – nie żył od tamtej chwili. To, co się działo, było tylko snem nieboszczyka, gdzie nikt naprawdę nie cierpiał i nie ginął, ponieważ on wciąż tam był, widział to teraz, widział i słyszał – pływając w lśniącej wodzie z odgiętą głową i rozrzuconymi, lekkimi niczym skrzydła ramionami, a na nogach miał metalowe blaszki, które przytrzymywały go jak kotwica, chroniły przed tym, co mogło się wydarzyć.

Zanim go znaleźli, jego skóra pewnie zdążyła się pomarszczyć i stała się biała, biała jak śnieg. Wyłowili go i pochowali w czystym nowym ubraniu, które Hyacinth przerabiała tego ostatniego ranka. Skracając rękawy czarnego garnituru i z ustami pełnymi szpilek zwięzała spodnie, jednocześnie mówiąc chłopcom o śmierci. *Jaki tatuś? Czyj tatuś? Wasz, rzecz jasna.* Dlatego mu nigdy nie odpowiadali. Dlatego gdy patrzyli, widzieli przez niego na wylot – bo już odszedł; już leżał w pełnym ziemi dole mogiły i patrzył na nią i chłopców po obu jej stronach, skupionych i poważnych. Nie było słychać żadnych dźwięków, jedynie tę nikłą, cichą martwość, przez którą widział ich twarze i swoją własną, równie obojętną i skrycie zadowoloną, że w końcu zdołał pozbyć się tego straszliwego ciężaru, jaki stanowił Aubrey Wallace.

20.

Jechali wzdłuż głównej ulicy. O tak wczesnej porze sklepy jeszcze się nie otworzyły. Jedynym pojazdem na drodze była jadąca w przeciwnym kierunku szara furgonetka. Włączyło się czerwone światło i oba samochody stanęły.

- Śpi? – spytał Wallace i zerknął przez ramię.
- Lepiej, żeby spała – parsknęła Dotty. – Kiedy weźmiemy pieniądze, zapakujemy ją do tej chałupy.

Uklękła i z podłogi z tyłu podniosła brudny koc i nakryła nim Canny.

Po zmianie światła Wallace zorientował się, że mężczyzna kierujący furgonetką wpatruje się prosto w niego. Kiedy się mijali, miał wrażenie, że oczy tamtego wwiercają mu się w głowę. Na kolejnym skrzyżowaniu skręcił w prawo. W pobliżu nie było żadnego samochodu, nawet zaparkowanego. Nie było tam też ludzi ani psów.

- Nie spieprz tego – powiedziała Dotty. W jej głosie pobrzmiwał lekki niepokój, niczym w modlitwie. – Proszę, nie... Tylko tym razem... Proszę...

- Może oddychać? – zapytał, zatrzymując się pod znakiem stopu.

Dotty przymknęła powieki i wskazała następne skrzyżowanie, przy którym stały dwa kościoły, jeden z brązowego kamienia, a drugi z białych desek. Biały kościół miał wysoką wieżę z zegarem o złotych cyfrach.

- Podjedź do tego białego – powiedziała – i skręć na podjazd.

- Może oddychać? – powtórzył.

Dotty jednak milczała.

Wallace zjechał na podjazd, który otaczał kościół – swój początek i koniec miał na tej samej spokojnej, obojętnej, zupełnie pustej ulicy, gdzie nic się nie poruszało, żaden liść ani ptak, ani nawet chmura na błękitnym niebie.

- Miń go i zaparkuj – wyszeptała Dotty. – Tutaj! O tutaj! – pokazała, gdy znaleźli się dokładnie za kościołem, skąd widać było cmentarz na wzgórzu, pagórkowaty i pełen wąskich ciemnych nagrobków, niektórych tak starych, że na wpół zapadniętych w ziemię, przypominających zepsute, wykrzywione zęby. – Tu ma być grobowiec – wyszeptała i zmrużyła oczy. – Z nazwiskiem Henson. Wejście ma być otwarte, a pieniądze znajdziemy w worku marynarskim.

- Nie zejść tam – powiedział.

- Wiem przecież! Ja to załatwię, i tyle. – Rozejrzała się dookoła. – Tak tu cicho. Nigdy nie byłam w takim cichym miejscu. – Potarła szyję i zakaszła. – Nawet nie mogę przełykać. Tak się denerwuję, że nie mogę przełykać.

Włożyła pistolet za pasek spódnicy i przysłoniła go bluzką. Ta cisza była dziwna. Świat przestał się kręcić. Gdy Dotty otworzyła drzwi auta, ich skrzypnięcie zabrzmiało niczym nagły krzyk.

– Cholera... Cholera – wyszeptała i puściła klamkę.

Gdy już wyszła z samochodu, obejrzała się za siebie i wzięła głęboki oddech, zanim stanęła na krawędzi porośniętego trawą wzgórze. Pobiegła, omijając groby, ostrożna i zaniepokojona niczym buszujący nocą kocur, przystając co parę kroków i oglądając się za siebie.

Boi się, że odjadę – pomyślał i pożałował, że nie może tego zrobić.

W końcu zniknęła za wzgórzem. Z tyłu Wallace usłyszał jęk Canny. Kiedy się do niej odwrócił, ujrzał w bocznym lusterku błysk światła. Zamarł, po czym znów to zobaczył. Na wieży, na małym portalu, tuż pod zegarem, stał mężczyzna w jasnym garniturze, z lornetką przy oczach. Patrzył prosto w dół, w kierunku, w którym poszła Doty.

Canny znów jęknęła. Pod kocem słychać było bełkotliwe i niewyraźne słowa jej narkotycznego snu.

– Przestań – wyszeptał Wallace w ciszę, która otaczała ich niczym szkło. – Leż tak. Nie ruszaj się.

W lusterku ujrzał, że mężczyzna opuszcza lornetkę i przybliży do ust coś, co wygląda jak mikrofon.

– Szybciej... Szybciej... – szeptał Wallace.

Doty już wracała. W obu rękach dźwigała worek marynarski. Robiła krok, po czym wyrzucała worek przed siebie i dopiero wtedy robiła następny krok.

– Tatusiu? Tatusiu, głowa mnie boli – poskarżyła się Canny. Odrzuciła koc i usiadła z nogami podciągniętymi pod brodę. – Gdzie mama? Poszła gdzieś?

– Ciiii. – Gdy spojrział w górę dostrzegł, że portal jest pusty.

To pewnie był ksiądz, pocieszył sam siebie. Pewnie wchodzi tam trzy razy dziennie i przygląda się okolicy.

Doty podeszła do otwartych drzwi i wrzuciła worek na siedzenie.

– Pieprzona fortuna – jęknęła. – Co ona... – Popatrzyła na Canny, a potem na Wallace'a. – Przykryj ją! Przykryj ją, ty durniu! – Wskoczyła do środka i zatrzasnęła drzwi.

– Boli ją głowa – wyjaśnił jej.

– Ruszaj! – wrzasnęła. Po jej twarzy spływał pot.

Wallace włączył silnik i wyjechał zza kościoła. Doty uklękła na fotelu i popatrzyła na Canny.

– Połóż się, Canny – zażądała. – Przykryj się!

– Głowa mnie boli. Ja... – zaczęła Canny, lecz nagle rozległo się klaśniecie i krótki, ostry krzyk dziewczynki. – Mamo, nie... Moja głowa...

Dotty wciąż biła ją po twarzy, każąc się jej położyć i nakryć kocem.

– Wystrzelają nas jak kaczki! – wrzasnęła. – Jeśli tu są, widzieli ją i wiedzą, że mamy ją ze sobą.

– Nikt jej nie widział – skłamał.

– Teraz mają wszystko, czego chcieli – lamentowała Dotty. – Zastrzelą nas, ty mała dziwko. Tego chcesz? Tego?

Wymachiwała rękami i wciąż biła Canny po głowie. Jęki dziewczynki wypełniały cały samochód.

– Jest przykryta! To nie jej wina! – Złapał Dotty za ramię i wyjechał na ulicę. – Nie wiedziała!

– Wiedziała! – odparła Dotty, ciągle klęcząc nad Canny. – Wiedziała!

– Pewnie, że nie – powiedział. Wszystko było nie tak, jak powinno. – To mała dziewczynka. Nie wie, czemu tu jesteśmy.

Kątem oka ujrzał wzniesioną rękę Dotty, więc złapał ją i przygniótł do siedzenia. Dziewczyna celowała w Canny, która łkała pod kocem.

– Chcesz ją zastrzelić? – zapytał, prowadząc lewą ręką, gdyż prawą wciąż przyciskał do siebie ramię Dotty.

Na jej twarzy malowała się mieszanina bólu i zakłopotania. Dziewczyna zgarbiła się i pochyliła głowę, opierając policzek o siedzenie. Wciąż trzymając w dłoni broń, objęła worek i zakaszła sucho.

Zastrzeli nas, pomyślał. Jeśli nie tu, to w drodze do lasu, a jeśli nie tam, to w chałupie, a jeśli nawet nie tam, jeśli wciąż będą jechali, kiedyś i tak to zrobi. Najpierw zabije Canny, a potem jego.

– Wysadzimy ją – rzekł cicho i skręcił w prawo.

Dotty nagle podniosła wzrok i wyjrzała przez okno. W oddali słychać było rytmiczny i coraz donośniejszy hałas silnika. Dopiero gdy rozlegał się całkiem blisko, Wallace zorientował się, że dobiega znad jego głowy.

– To helikopter! – wykrzyknęła Dotty. – Myślisz, że...

Jej słowa utonęły w wibrującym nad nimi, donośnym stukocie. Czarny wirnik rzucał cień na samochód i drogę. Dotty zmrużyła oczy i odwróciła głowę, kuląc się przy każdym błysku, zupełnie, jak gdyby ktoś ją bił. Jej usta zamykały się i otwierały, ale on nic nie słyszał. Canny leżała bez ruchu pod kocem.

Nagle helikopter skręcił gwałtownie i wbił się w powietrze, jak gdyby ktoś pociągnął go na niewidzialnej smyczy.

– To na pewno gliny – wrzasnęła Dotty patrząc, jak maszyna znika nad wierzchołkami drzew. – Widzisz! Mam pieniądze, więc teraz zaczęli jej szukać!

Nie ruszaj się, Canny! Nie wychodź spod koca! – Pochyliła się ku niemu. – A ty jedź prosto, Aubie. Wydostaniemy się na autostradę i będziemy jechać przed siebie. Muszę to przeliczyć! Muszę się upewnić, że nas nie wydymali. Zatrzymamy się później i zadzwonimy. – Usiłowała otworzyć worek. – Cholera – wyszczała, szarpiąc zaciętym zamkiem. Rozchylił się tylko na jakieś dwa centymetry. Zapięła go i ponownie usiłowała rozsunąć. – Chryste Panie! – Otworzyła schowek i zaczęła gwałtownie grzebać wśród papierów, słomek i map. Popatrzyła na Wallace'a. – Gdzie otwie...?

Jej oczy rozszerzyły się z niedowierzaniem, a usta otworzyły, gdy skręcili za róg.

– Ty kutasie! – jęknęła. – Ty głupi kutasie! – Potrząsnęła głową, a w kącikach jej opuchniętych, podbitych oczu pojawiły się łzy. – Dokąd jedziesz? Jesteśmy na jej ulicy. – Rozejrzała się z przerażeniem. – Zabiją nas! Chcesz tego! Chcesz, żebyśmy zginęli, głupi kutasie?

Uniosła pistolet i trzymając go obiema dłońmi, wycelowała w głowę Wallace'a.

– Nie zatrzymuj się, Aubie! Nie rób tego! – wrzeszczała, gdy zahamował. Cały czas oblizywała rozcięte usta. Teraz siedziała bokiem do niego, sycząc i kiwając złością.

– Mamo? – zawołała Canny.

– Słyszysz mnie? – wydierała się Dotty. – Powiedziałam, jedź!

– Mamo! Co to? – wyła Canny. – Powiedz mi!

– Zastrzelą nas, a jego to gówno obchodzi! – powiedziała do Canny, która odrzuciła od siebie koc. – Myślisz, że wybiorą mnie i ciebie, głupi kutasie? – Tym razem zwróciła się do niego. – Ją też zastrzelą! Wszyscy zginieemy! Tego chcesz?

– Nie zatrzymuj się, tatusiu! – krzyczała Canny. – Proszę, nie, proszę, nie – jęczała.

Jej oddech niczym ciepły wietrzyk poruszał włosy na karku Wallace'a.

Tuż przed nimi pojawiła się okrągła, jasna weranda domu Birdów. Zupełnie jak ta stara estrada w domu. Czy będą z niego dumni? Czy będą szczęśliwi? Orkiestra wstanie w swoich sztywnych białych garniturach i kapeluszach ze złotą nicią i ukloni mu się do pasa, kiedy go przedstawią...

„A oto nasz zaginiony przyjaciel... Zaginiony mąż Hyacinth i zaginiony tata tych dwóch wspaniałych chłopców, Answana i Arnolda, Aubrey Wallace”, wykrzyknie przez mikrofon Hazlitt Kluggs, tak głośno, że wzgórza i góry będą

powtarzać to przez cały dzień, aż w gorączkę nocy, niczym wytęskniony grzmot.

„Aubrey Aubrey Wallace Wallace Wallace”.

Prawie się uśmiechnął. Wszystko stało się tak jasne i proste, że był tym naprawdę zdumiony. Zupełnie, jak gdyby nagle przekręcił się właściwy trybik i wszystko znalazło się na swoim miejscu. Do mózgu Wallace'a docierało to, co widziały jego oczy i słyszały jego uszy, i nawet więcej. Tak jasna, tak czysta była jego wizja, że pewne rzeczy mógł przejrzeć na wylot. Słyszał muzykę, bicie bębnow i dźwięk trąbek. Coraz bliżej i głośniej. Z bardzo, bardzo daleka nadsłuchiwał cały jego stracony czas, wszystkie dni i miesiące, o których myślał, że je dawno zapomniał.

Poczuł się lżejszy. Jego skóra była teraz czysta i napięta na kościach. Był młodym mężczyzną, chłopcem, dzieckiem. On i Canny bardzo się przyjaźnili. Najpierw ją uwolnił, wołając: raz dwa trzy, jesteście wolni...

Ze wszystkiego, co w nim istniało, najpewniejsze, najmocniejsze, najbardziej godne zaufania było jego serce. Nie miało znaczenia, czy oczy zajdą mu mgłą, uszy się zamkną, a mózg przestanie pracować. O, nie! Teraz gdy dojechał do wielkiego, białego domu o lśniących, czarnych okiennicach i wychodzącej na chodnik werandzie, wiedział dokładnie, co ma robić.

– Nie! – krzychała Doty. Wyciągnęła nogę, żeby przycisnąć pedał gazu. – Nie rób tego... To moja ostatnia szansa... – wyła, gdy przejeżdżali obok domu.

Canny wpadła w histerię.

– Proszę, tatusiu! – błagała. – Rób, co ona ci każe! – zarzuciła ramiona na szyję Wallace'a i przywarła do niego. – Ścigają nas! Spójrz na nich!

Teraz w samochodzie słyszać było jedynie cienki i schrypnięty głosik dziewczynki.

– Zastrzelą nas, tatusiu! – powtarzała.

Wszędzie były wozy policyjne; trzy za nimi, a jeszcze więcej wylaniało się zza każdej ulicy, którą przejeżdżali. Spod ocienionego drzewami skrzyżowania zbliżyły się ku nim jeszcze dwa samochody.

Gdy Doty nacisnęła pedał gazu, samochód potoczył się w kierunku skrzyżowania, wzniciając ogromny tuman kurzu.

Nagle, zupełnie znikąd, wyłonił się helikopter, nurkując w ich stronę niczym olbrzymi kruk. Zbliżył się do auta tak, że słyszać było jedynie warkot jego wirnika.

Samochód prześlizgiwał się nad wybojami i koleinami, cicho i spokojnie, tak jakby nie trzeba było nim kierować na tej ocienionej drzewami, krętej drodze.

Wallace wciąż łapał za pistolet, który Dotty wbijała mu w zębra. W końcu schwycił dziewczynę za rękę i kiedy ją zgniół, zobaczył, że oczy Dotty się rozszerzyły. Odrzuciła głowę i zaczęła krzyczeć, gdy zjechali z drogi i uderzyli w gęsty mur powykęcanych i starych rododendronów, które tłukły głośno o szybę. Samochód przedarł się przez krzewy i młode drzewka i dojechał do szczytu zadrzewionego nasypu, gdzie zachwiał się, aż skrzypiąc, trzeszcząc, wyginając się i jęcząc, zanurzył się częściowo w błocie porośniętej żółtawą trawą podmokłej polany.

Auto znieruchomiało. Dotty poleciała do przodu i uderzyła policzkiem o deskę rozdzielczą, a czołem o rozbitą szybę. Cienka strużka krwi spływała z jej brody po miękkiej, białej szyi.

– Canny? – zawołał cicho Wallace, zbierając papierki z twarzy.

Tonęli w kawałkach papieru wielkości banknotów, które wysypały się z worka marynarskiego.

– Tatusiu – odezwała się Canny, usiłując podnieść się z podłogi z tyłu auta. Część przedniego fotela oderwała się, przygniatając jej nogi. – Mama nie żyje – wyszeptała i sięgnęła po pistolet.

Poruszała tylko oczyma, obserwując schodzących ze wzgórza policjantów. Mieli różne mundury; niektórzy szare, inni granatowe. Jeszcze inni nosili cywilne ubrania, koszule w kratę i dzinsy, albo marynarki i krawaty. Jeden, ubrany w szary kapelusz, niósł ze sobą megafon. Wszyscy mieli strzelby albo pistolety.

Helikopter zawrócił. Krążył nad wzgórzem, a jego wirnik brzęczał teraz miękko, kojarząc się z szumem skrzydeł, a nie warkotem stalowego śmigła.

– Nas też zastrzelą! – krzyknęła Canny, rozglądając się w panice. – Zastrzelą nas!

– Canny – wyszeptał Wallace, obserwując otaczających samochód policjantów.

– Odejdźcie! – zaskrzeczała Canny, machając pistoletem od okna do okna. – Skurwysyny! Pieprzone kutasy, odpierdolicie się od nas!

– Nic ci nie zrobią, Canny – powiedział Wallace.

Do samochodu zbliżał się wysoki, szczupły mężczyzna o spadzistych ramionach i ostrych rysach twarzy. Jego oczy były przekrwione i podkrążone ze zmęczenia. Tylko on jeden nie miał przy sobie broni.

– Caroline? – zawołał, a jego głos załamał się, gdy mężczyzna zajrzał do auta przez rozbitą szybę. Podszedł od strony Dotty i mrużąc oczy, spojrzął na Canny.

Wallace natychmiast się zorientował, kim był ten mężczyzna, i poczuł się nagle głęboko zawstydzony za to stworzenie o dzikich oczach i potarganych włosach, które przygryzało wargę i wycelowało pistolet w Louisa Birda, zaledwie parę centymetrów od jego zniszczonej twarzy.

– Canny. – Wallace bezradnie wbił wzrok w kierownicę. – To...

– Spierdalaj... – syknęła, kuląc się, kiedy Bird podszedł jeszcze bliżej.

– Boże jedyny! – krzyknął mężczyzna zdławionym głosem. – To naprawdę ty, Caroline, moja...

Właśnie wtedy, gdy sięgnął ku niej gestem tak rozpaczliwej tęsknoty, Wallace poczuł mdłości, a ona nacisnęła spust wszystkimi czterema spoconymi palcami i zamknęła oczy, a siła wystrzału rzuciła ją, bezwładną i zwiotczałą, na siedzenie. W tej samej chwili, gdy kula przeleciała obok głowy Birda, policja, wszystkich trzydziestu, czterdziestu czy pięćdziesięciu funkcjonariuszy automatycznie uniosło broń, wbiło wzrok w auto, w otwierające się drzwi, w nieogolonego, drobnego mężczyznę, który wypadł ze środka z pistoletem w garści.

– Stój! – krzyknął jeden z policjantów i przyklęknął.

Powłócząc nogą, Aubrey Wallace przemknął obok nich w kierunku nasypu. Jak na komendę, wszyscy funkcjonariusze odwrócili się i wypalili. Na początku ciało mężczyzny podskakiwało i drżało za każdym razem, gdy dosięgła je kula. Potem już nic nie bolało. Słyszał, jak do niego strzelają, i trafiają, ale nic nie czuł. Zanurkował na ziemię. Ten skok trwał w nieskończoność. Oczy Wallace'a były szeroko otwarte, szerzej niż kiedykolwiek, tak szeroko, że białka wypływały na intensywnie błękitne niebo. Słyszał, jak zabierają Canny, która kopała, gryzła i wściekle klęła.

Louis Bird biegł obok policjanta, który niósł dziewczynkę w kierunku nasypu; buty ich obu z kłaskaniem zapadały się w błocie.

– Wszystko będzie dobrze – powtarzał jej Bird. – Wszystko będzie dobrze.

Chciał jej dotknąć, ale odepchnęła jego rękę.

– Sukinsynu! – zawyła. – Zabiliście go, skurwysyny!

Rozległo się wycie syreny. Karetka zatrzymała się tuż przed nimi. Po nasypie pomknęło dwóch ubranych na biało sanitariuszy. Mężczyzna z walkie-talkie przy uchu zawołał ich, gdy ukłękli nad Wallacem.

– Dajcie sobie z nim spokój! Już po nim! Weźcie ją! Wyciągnijcie tamtą z wozu, zanim wykrwawi się na śmierć.

– Mamo! – zawyła Canny.

Właśnie wyciągali Dotty z samochodu.

– Nic się nie martw – powiedział ktoś, gdy jęknęła. – Nic ci nie będzie.

– Jezusie! – dodał ktoś inny. – Spójrz na jej twarz! Zobacz, co jej zrobił ten walnięty sukinsyn.

Przyjechała jeszcze jedna karetka. Ze wzgórza zbiegło kilku sanitariuszy, wzbijając kurz pod stopami. Doszli do Wallace'a i przystanęli.

– Biedny sukinsyn – mruknął któryś. Uniósł przegub Wallace'a, po czym opuścił go w ciepłe, czarne błoto.

Aubrey Wallace nie żył. Dostał jedenaście razy. Żadna kula nie trafiła jednak w serce. Ani jedna.

Epilog

To wszystko jest takie niesamowite. Wystąpiłam w czterech talk-showach w telewizji, a mnóstwo gazet i dwa czasopisma chcą przeprowadzić ze mną wywiad. Nagle stałam się sławna.

Ludzie pytają, co jest prawdą; jak wyglądała ta historia i dlaczego on to zrobił, dlaczego w ogóle porwał małą Caroline Bird. A ja im odpowiadam, że nie jestem pewna. Mogę tylko zgadywać. Myślę, że stało się tak dlatego, że był taki prosty, że nic innego nie przyszło mu do głowy, i taki samotny, że pragnął miłości.

Wielu ludzi twierdzi, że był tylko niegodziwym, chciwym porywaczem, mordercą. Ale to nie tak. Aubrey Wallace nigdy nie chciał nikogo skrzywdzić. Po prostu pewni ludzie stanęli mu na drodze. To nie znaczy, że pochwalam to, co zrobił. Tak jak wszyscy inni, staram się to zrozumieć.

Jak tylko poczuję się lepiej, jadę na zachód. Jeden facet przeczytał o mnie w gazecie. Nazywa się Brett Backer i powiedział, że może mnie wkręcić do filmu. Chce być moim agentem. Dziwne, jak się układa, prawda? Jak taka szansa może wziąć się z takiej okropnej tragedii – te wszystkie morderstwa, najpierw mój ojciec, a potem Hullerowie – ci, których pozabijał.

Myślę, że Aubrey mnie obserwował. Tak przynajmniej mówił. Wtedy, w górach byłam tylko dzieciakiem, a który dzieciak zauważyłby takiego starego gościa, jak kręci się w pobliżu? Chyba wbił sobie do głowy, że pewnego dnia z nim odjadę. Ja i mój tata byliśmy na spacerze, kiedy zaszedł nas z tyłu. W pewnej chwili rozwalił tacie głowę (do dziś nie wiem czym), a potem usiłował go podpalić. Wtedy jednak zaczęłam uciekać, a on gonił mnie przez wiele godzin, chyba przez pół nocy. Sama nie wiem. Teraz wszystko mi się miesza. Wiem tylko, że w końcu mnie złapał i przywiązał do drzewa, a następnego dnia wrócił po mnie i zaciągnął mnie do wozu, no i pojechaliśmy. Jechaliśmy jak wariaci, przez cały czas, aż w końcu dotarliśmy do tego małego miasteczka, i zabrakło nam benzyny i pieniędzy, i błagałam go, żeby mnie wypuścił, ale on nie powiedział ani słowa. Tylko wysiadł z ciężarówki i podszedł do tej wielkiej, okrągłej werandy i zadzwonił, a potem otworzył drzwi i wszedł do środka.

Nie było go tylko minutę. Miałam związane ręce i nogi i wierciłam się na siedzeniu, żeby się uwolnić, kiedy wyszedł. Biegł trzymając słoik z dziesięciocentówkami i słodkie niemowlę w ramionach.

– Kto to? – zapytałam.

On tylko posadziła na moich kolanach i ruszył, a kiedy kilka kilometrów dalej powtórzyłam pytanie, powiedział: „Nie wiem. Robiła strasznie dużo hałasu. Musiałem ją zabrać”.

– Zostaw ją gdzieś – powiedziałam. – Przypnij kartkę do jej koszulki i gdzieś ją zostaw.

– Dobrze – odparł tym swoim przestraszonym głosikiem. – Dobrze – mówił za każdym razem, gdy go o to pytałam.

A pytałam o to co parę kilometrów, co parę dni, miesięcy, a w końcu lat. Ale nigdy tego nie zrobił. Wciąż tylko jechaliśmy przed siebie. Byliśmy wszędzie, głównie na południu, w różnych miejscach, w takich miejscach, do których jadą ludzie, gdy w ostatnim miejscu coś im się nie podobało. Mieszkaliśmy w przyczepach i domkach kempingowych, a kiedyś w namiocie; a tamtego pierwszego lata mieszkaliśmy głównie w samochodzie, na który wymienił ciężarówkę.

Kiedyś trochę pracował i wtedy przerażały go najdrobniejsze rzeczy, jak spotkanie tej samej staruszki na chodniku przed dwa dni z rzędu, no wtedy to był już koniec – musieliśmy jechać w nowe miejsce.

Ludzie pytają mnie, jak to się stało, że nigdy go nie złapali. Tłumaczę im, że to nie dlatego, że opracował sobie jakiś plan. Myślę, że było wręcz przeciwnie, że właśnie ten brak planu sprawiał, że wszystko mu się udawało, jak gdyby tak chciał los czy co. Oczywiście, w tej sprawie z Birdami wszyscy najpierw myśleli, że zrobił to jakiś kidnaper, dla okupu. Dlaczego więc mieliby szukać biednego Aubrey'a Wallace'a? Przecież nie szukała go nawet jego własna rodzina.

Kiedyś myślałam, że nie odzywał się do ludzi, bo był taki nieśmiały. Potem zaczęłam zauważać, że nikt nie odzywał się do niego, że ludzie mijali go na ulicy, nawet go nie widząc. Zupełnie jak gdyby był niewidzialny w ten dziwny sposób, jakby sam w to uwierzył albo tego chciał. W ten sposób nikt nie mógłby go zranić. Nikt oprócz mnie, jak sądzę.

Ludzie zawsze pytają, dlaczego byłam z nim i nic nie zrobiłam. Jedyne, co mogę powiedzieć, to tylko tyle, że byłam w połowie nienormalna z tęsknoty za domem, a w połowie po prostu nienormalna. Przez cały czas przerażona i nienormalna.

Ale teraz ze mną wszystko w porządku. Czuję się tak, jak gdyby to był tylko sen, jednocześnie dobry i zły, ale się już skończył, a ja żyję i będę żyła długo i szczęśliwie. W końcu.